

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jerzy Ficowski

**Gałązka z Drzewa
Słońca**

Baśnie cygańskie

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Skąd jesteś?
Zewsząd.

Dokąd idziesz?
Wszędzie.

A po co?
*Żeby zaprzyjaźnić się
ze światem.*

THAGAR SOVNAKUNO

Moim wnukom, Filipowi i Karolowi,
na długą, piękną i szczęśliwą wędrówkę,
którą nazywamy życiem.

Baśń przed baśniami

Nazywali ją Cyganie Siostrą Ptaków. Dyktowała ptakom, jak mają śpiewać. Jeśli zechciała, aby w lesie śpiewały tylko turkawki – śpiewały tylko turkawki. Jeśli chciała słyszeć tylko kukułki – było słychać tylko kukanie kukułek. Wystarczyło, aby zarzuciła żółtą chustę na ramiona – a już cały las był pełen trelów żółtych wilg; kiedy włożyła różowy fartuch – zięby świergotały na wszystkich drzewach; kiedy ubrała się w rudą spódniczkę – do lasu zlatywały się zewsząd ćwierkające rudziki. Miała też strój w ciemne prążki. Był to strój do wrózenia, bo kiedy w nim szła przez las – nie milkły kukułki, podpowiadając jej swoim kukaniem, co ma mówić i jaką ludziom wróżyć przyszłość.

Siostra Ptaków miała starego dziadka, który dawno już ośleplł i był zupełnie niewidomy. Podpierał się białym kosturem, wyciętym z brzoźowej gałęzi, i bardzo lubił mówić o kolorach.

Pewnego dnia usłyszał śpiew setek zięb i wilg.

– Oho! – powiedział dziadek. – Siostra Ptaków pięknie się dziś ubrała: nadchodzi właśnie w żółtej chuście i różowym fartuchu!

Dziadek nie omylił się, tak właśnie było. Siostra Ptaków nie wybierała się tego dnia do wsi na wróżby, więc swoją kukułczo prążkowaną suknię schowała do kuferka, a sama ubrała się kolorowo. Choć jej nikt prócz ptaków nie widział, przyodziła się tak barwnie, aby sprowadzić dla dziadka najpiękniejszą ptasią muzykę.

Wtedy właśnie przyszedłem na polanę i usłyszałem świergot, i zobaczyłem Siostrę Ptaków i jej dziadka, siedzącego u wejścia do namiotu.

– Dokąd idziesz? – zapytała mnie Siostra Ptaków.

– Przed siebie – odpowiedziałem. – Słyszałem, że kiedy idzie się przed siebie, zawsze się gdzieś dojdzie, i rzeczywiście: doszedłem do tej polany i spotkałem was, choć nie wiedziałem, że tu jesteście. Gdybym nie ruszył się z domu, na pewno nie spotkałbym nikogo.

– Prawdę mówisz – odrzekła Siostra Ptaków. – Ale powiedz mi, czego szukasz.

– Baśni – powiedziałem. – Ale jakoś nie znalazłem jeszcze ani jednej. Zebrałem trochę jagód, kilka grzybów, ale dotąd nie natknąłem się na żadną bajkę.

– Zostań z nami – powiedziała Siostra Ptaków. – Kiedy wyruszymy na dalszą wędrowkę z lasu do lasu, ty pojedź razem ze mną i z moim dziadkiem. Na pewno napotkamy w drodze niejedną cygańską bajkę, bo o tej porze od bajek w tych lasach aż się roi.

– Dobrze – odpowiedziałem. – Zostanę z wami.

I zostałem.

Wieczór już zapadł i Siostra Ptaków poszła spać do namiotu razem ze swoim dziadkiem. Noc była ciepła, położyłem się więc na trawie pod gołym niebem i patrzyłem w gwiazdy. Nagle spostrzegłem, że gwiazdy jedna po drugiej znikają z moich oczu i niebo, które było nakrapiane złotem, staje się zupełnie czarne. Wdrapałem się na szczyt ogromnej topoli, aby przyjrzeć się gwiazdom z bliska i zobaczyć, dlaczego znikają i gasną. Kiedy byłem już blisko wierzchołka, ujrzałem wielkiego ptaka Czarana, który wydziobywał z nieba gwiazdy tak, jak kury dziobią proso. Ptak Czarana siedział na wysokim drzewie i nie śpiewał, ale skrzypiał jak złamana gałąź.

– Dlaczego zjadasz gwiazdy i skrzypisz po swoim?! – zawołałem. – Czy Siostra Ptaków pozwoliła ci na to?

– Wcale jej nie pytałem – powiedział ptak Czarana. – Teraz jest noc, a w nocy usypiają kolory i Siostra Ptaków nie ma nad nikim władzy. My, ptaki Czarana, od początku świata żywimy się gwiazdami i mlekiem, którym karmią nas kobiety. Nie przeszkadzaj mi!

Powiedziawszy te słowa, ptak Czarana wydziobał z nieba resztę gwiazd i zrobiło się zupełnie ciemno. Strach mnie ogarnął i postanowiłem rozniecić ogień, żeby w jego świetle przesiadzieć aż do rana. Nie miałem jednak zapalek, ruszyłem więc po omacku przed siebie, aż natrafiłem na wielki, gładki krzemień, który sterczał na polanie do połowy zaryty w ziemię. Uderzyłem weń kawałkiem żelaza, ale wtedy usłyszałem jęk krzemienia i słowa:

– Nie rusz mnie. Czy nie widzisz, że nie sypią się ze mnie złote iskry, tylko czerwone jak krew?

Rzeczywiście, od uderzenia żelazem z krzemienego głazu posypały się czerwone iskry. A krzemień mówił dalej:

– Byłam złą Urną i zamieniałam ludzi w kamienie. Spotkała mnie za to kara: Bakrengro przemienił mnie w krzemień. Zostaw mnie. Poszukaj lepiej małych krzemyków na ziemi u moich stóp; to są zwykle krzemyki w których mieszkają zwykle złote iskry.

Prawdę mówiła Urna zamieniona w krzemień. Znalazłem parę małych krzemyków i już po chwili na polanie paliło się jasne ognisko, do którego dokładałem wciąż chrustu i suchych szyszek. Do rana było jeszcze daleko, kiedy okazało się, że nie mam już ani jednego patyczka, ani jednej szyszki do podsycenia ognia.

– Co tu robić? – powiedziałem do siebie samego. – Za chwilę znów ciemno będzie choć oko wykol.

Ledwie zdążyłem to powiedzieć, gdy nagle w miejscu, w którym wczoraj palił się ogień, ziemia poruszyła się, jakby kret uniósł ją na swoim grzbiecie, i spod ziemi wychynał potwór Phuwusz.

Nie znałem go dotąd osobiście, tylko ze słyszenia, a wydał mi się okropniejszy niż myślałem. Podeszedł do ogniska i odezwał się do mnie w te słowa:

– Wiem, co cię gnębi. Boisz się, że ogień wygaśnie i zostaniesz znowu bez światła w bezgwiazdnej nocy. Posłuchaj więc mojej rady: weź biały, brzozyowy kostur ślepego dziadka Siostry Ptaków i uderz tym kosturem siedem razy w ognisko.

Rzekłszy to, Phuwusz znikł pod ziemią, a ja zrobiłem tak, jak mi poradził.

Kiedy uderzyłem w ognisko, wyfruwały z niego iskry i leciały wysoko do nieba, aby tam zamienić się w gwiazdy. Po siódmym uderzeniu niebo było już pełne gwiazd, a biały kij dziadka szerniał i nie pozostał na nim nawet ślad białej kory.

Ognisko wkrótce wygasło do cna, ale noc była jasna znowu, bo niebo świeciło usiane gwiazdami.

Rankiem dziadek wziął swój kostur w rękę i aż oniemiał na chwilę ze zdumienia! Bielmo na jego oczach znikło, jak znikła kora brzozywa na jego kosturze, a oczy widziały znowu wszystkie kolory świata. Oczy miał teraz czarne jak kostur osmolony w ogniu. Staruszek cieszył się i podskakiwał, a Siostra Ptaków z radości ubrała się we wszystkie kolory – i zaraz las napelnił się śpiewem wilg, zięb, sikor, rudzików, turkawek, kukułek, kowalików, krasek, mucholapek i mnóstwa innych ptaków.

Zwinęliśmy namiot i wyruszyliśmy w stronę Krościenka. W Krościenku Siostra Ptaków kupiła w sklepie trochę zielononiebieskiego jedwabiu, bo chciała urządzić koncert zimorodków na najbliższym leśnym postoju. A ja opowiedziałem dziadkowi o ptaku Czarana, którego widziałem w nocy.

– Ptak Czarana już nie żyje – powiedział dziadek. – Umarł tej nocy.

– Skąd wiesz o tym? – zapytałem.

– Ptaki przyniosły mi wiadomość – rzekł dziadek. – Zresztą od kukułek dowiedziałem się już dawno, że Czarana nie pożyje długo.

I opowiedział mi dziadek całą długą historię ptaka Czarana. Zapisałem ją węglem z ogniska na korze brzozywej.

Tak zaczęło się zapisywanie cygańskich opowieści, z których potem złożyła się ta książka. Wszystkie one pochodzą od dziadka i Siostry Ptaków. Niektóre wyśpiewały im ptaki, inne opowiedział leśny wiatr szumiący w gałęziach. Bywało i tak, że dziadek zaczynał opowieść i zasypiał nie dokończywszy jej. Wtedy dopowiadały ją do końca las i ptaki. Zapisywałem wszystko na białych arkuszach kory brzozonej, które chowałem w wielkiej dziupli starego dębu.

Minęło lato i jesień. Kiedy pewnego dnia obudziłem się wcześniej i wyjrzałem z namiotu, cały świat był już okryty białym śniegiem, który cichaczem napadał w ciągu nocy. Zmartwiłem się bardzo. Myślałem bowiem, że wraz z końcem lata umilkły aż do wiosny opowieści cygańskich lasów, że zapadły w sen zimowy. Już chciałem pożegnać się z Cyganami i wrócić do mego miasta, gdy rzekła mi Siostra Ptaków:

– Martwisz się, że umilkną baśnie, ale jesteś w błędzie. Zaraz przywołam kruki, kawki i gawrony, które opowiedzą ci takie piękne historie, o jakich ci się nie śniło.

Rzekłszy te słowa, Siostra Ptaków rozpuściła swoje długie, czarne włosy i ubrała się w nie, jak w długą, czarny płaszcz, i już po chwili, kracząc wniebogłosy, zleciały się ze wszystkich stron kawki, gawrony i kruki. Usiadły na śniegu, a potem przebiegły całą polanę na przelaj, znikając w gęstwinie.

– Uciekły! – zawołałem. – Nie powiedziały ani słowa i uciekły!

– Nie martw się – rzekł dziadek. – Opowiedziały ci już wszystko, co miały opowiedzieć, tylko nie zauważyłeś tego. Czy widzisz tysiące śladów ptasich nówek na śniegu? Kto odczyta te znaki, ten pozna najpiękniejsze baśnie. Ja znam te ptasie litery pisane na śniegu. Jeśli chcesz, to ci przeczytam, co napisały kruki, gawrony i kawki. Jedna baśń opowiada o białej łani, a druga o dziewięciu krukach.

Baśń o białej łani przeczytał mi dziadek, a ja zapisałem ją na nowym kawałku kory brzozonej. Potem szybko nauczyłem się ptasich liter i sam, bez niczyjej pomocy, przeczytałem drugą baśń – tę o krukach. Pewno, że nie czytałem tak płynnie jak dziadek, tylko sylabizowałem od jałowca do jałowca, od początku – do końca. Potem spisałem wszystko na korze i schowałem w dębowej dziupli. Zresztą w najmroźniejsze dni przeprowadzałem się z namiotu do dziupli, gdzie było zaciszniej i przytulniej.

Pewnego dnia raniem usłyszałem wołanie. Wskoczyłem czym prędzej z dziupli i przybiegłem do namiotu. Tam zobaczyłem dziadka, który na znak żałoby czernił sobie siwiutką brodę węglami z ogniska. Gdy mnie ujrzał, zawołał ze smutkiem:

– Dziś w nocy znikła Siostra Ptaków! I to właśnie teraz, kiedy lada dzień zacznie się już wiosna i powrócą wszystkie kolorowe ptaki! Jeszcze widać jej ślady na śniegu!

– Jedźmy za nią po tych śladach! – powiedziałem.

Zaprząłem konia, zwinąłem namiot i ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy trzy dni i trzy noce. Kiedy raniem czwartego dnia słońce wzeszło, spotkaliśmy się z wiosennym wiatrem, który rozpuścił śnieg i ślady Siostry Ptaków na śniegu. Teraz już nie wiadomo było, w którą stronę jechać. Dziadek posmutniał, choć wiosna zawsze rozweselała go, nawet wtedy, kiedy był jeszcze ślepy.

Słońce grzało coraz silniej. Wyciągnąłem z namiotu czerwoną pierzynę dziadka i rozwiesiłem na konarze wiązu, aby przewietrzyła się w ciepłym powietrzu i aby odetchnęło w niej pierze, które przez całą zimę było skulone i zmarznięte.

Ledwo to uczyniłem, ze wszystkich stron lasu zleciały się czerwone gile i coś mówić zaczęły do mnie, ale nie rozumiałem ich ćwierkania. Wtedy gile napisały mi łapkami na resztkę śniegu, który ocalał jeszcze pod rozłożystym jałowcem:

Przylatujemy na widok czerwonej pierzyny, bo same jesteśmy czerwone. Wezwalesz nas w ostatniej chwili. My mieszkamy tu przez całą zimę, a teraz kiedy zaczyna się wiosna, odlatujemy stąd. Czego chcesz od nas?

– Chcę, żebyście mi powiedziały, gdzie Jest Siostra Ptaków i co się z nią stało.
Wtedy gile wypisały na śniegu takie słowa:

Siostra Ptaków obudziła się w środku w nocy, słysząc jakieś ćwierkanie koło namiotu. Wyszła na dwór i zobaczyła białą łasicę trzymającą w zębach wróbla, który wyrywał się i pisał. Kiedy chciała uwolnić ptaka, łasica zaczęła uciekać. Siostra Ptaków pobiegła za nią. Gonitwa trwała cztery dni. Piątego dnia łasica zamieniła się w czarownicę – złą Urwę, schwytała Siostrę Ptaków i uwięziła ją w swym zamku... Odlatujemy zaraz stąd i będziemy lecieć w stronę zamku złej Urwy. Jedźcie za nami.

To była jazda! Koń galopował ile sił, popędzałem go bez przerwy, aby nie stracić z oczu gilów, które leciały nad lasem, wskazując nam kierunek.

Kiedy dojechaliśmy w pobliże zamku złej Urwy, gile odleciały.

Zamek był otoczony wokół wysokim murem i szeroką wodą. Sięgnąłem do kuferka i wyjąłem różowy fartuch Siostry Ptaków. Za chwilę przyleciały tysiące zieb i każda z nich zostawiła mi po jednym różowym piórku. Potem wyciągnąłem żółtą chustę – i przyfrunęło tysiąc wilg, a każda podarowała mi jedno żółte pióro. Wówczas wziąłem z kuferka płachtę szaroburą – i przyleciało tysiąc skowronków i dziesięć tysięcy wróbli, a każdy z nich dał mi jedno pióro. Wyjąłem z kuferka białe prześcieradło i w tej samej chwili przyfrunęła, gęgając, dzika gęś i zaniósła te wszystkie piórka Siostrze Ptaków uwięzionej na zamkowej wieży.

Dwa dni i dwie noce Siostra Ptaków szyla sobie skrzydła, a trzeciego dnia wyfrunęła przez okienko wieży i przyleciała prosto do nas.

Ptaki rozgadały i rozćwierkały całą historię we wszystkich lasach. Niebawem zaczęły się zewsząd zjeżdżać wozy cygańskie, aby świętować wielką uroczystość uratowania Siostry Ptaków. Rozpalono wiele ognisk i starzy Cyganie zaczęli opowiadać baśnie, a ja zapisywałem jedną po drugiej: i o czerwonym wężu, i o Andruszu, co nie lubił fasoli, i o braciach przemienionych w konie, i o wszystkowiedzącym lusterku...

I wtedy przypomniałem sobie, że wiele baśni zostawiłem daleko stąd, w dziupli wielkiego dębu. Zmartwiłem się bardzo. Ale Siostra Ptaków rozpuściła swoje długie, czarne włosy i ubrała się w nie jak w długi, czarny płaszcz. Przyleciały kawki, którym kazałem przynieść z dziupli moje bajki. Pofrunęły – i przyniosły. Niektóre kawałki kory były już nadgryzione przez korniki: jedna baśń miała zjedzone zakończenie, inna – początek, inna znów – sam środek. Musiałem je więc odtwarzać z pamięci, a tam gdzie nic nie pamiętałem – dopisywałem brakującą część z niepamięci.

Tak zebrałem do worka dużo, dużo cygańskich baśni. Ożeniłem się z Siostrą Ptaków, a kiedy urodziły się nam córeczki – Jeżynka, Magduszka i Anulajka – postanowiłem przepisać wszystkie opowieści na czysto i wydrukować je w tej książce dla moich trzech dziewczynek i dla wszystkich innych dzieci, które lubią baśnie cygańskie.

*Odwróć kartkę: za nią właśnie
zaczynają się te baśnie.*

Zaczarowana skrzynka

Na granicy boru jodłowego i lasu bukowego mieszkali latem biedni Cyganie. Na zimę odchodzili ze swoimi tobołkami do opuszczonego, starego młyna, żeby w mroźne dni mieć dach nad głową. Wiosną wracali na granicę boru jodłowego i lasu bukowego i tam rozbijali na polanie swój namiot połatany i postrzępiony przez wiatry.

Było ich dwoje: Cygan i Cyganka jego żona. Chociaż minęło już siedem zim i siedem wiosen, lat i jesieni, nie mieli oni dzieci, a bardzo, bardzo pragnęli mieć synka. Pewnego dnia Cyganka poszła do boru jodłowego po szyszki. Zbierała je z ziemi do wielkiej chusty, zbierała i popatrywała wokoło. Widziała, jak wąskimi ścieżkami, tak wąziutkimi jak paznokcie, szły długim szeregiem mrówki i niosły białe zawiniątka, w których spały ich dzieci – małe mrówczęta. „Szczęśliwe mrówki!...” – wzdychała Cyganka i dalej zbierała szyszki. Widziała jak w krzaku jałowca zięba karmi swoje pisklęta czarnymi muchami. „Szczęśliwa zięba!...” – wzdychała Cyganka i dalej zbierała szyszki. Widziała jak jeź prowadził na przechadzkę cztery małe jeźątka. „Szczęśliwy jeź!...” – westchnęła Cyganka, zarzuciła na plecy chustę pełną szyszek i wróciła do swojego namiotu na pograniczu boru jodłowego i lasu bukowego. Wysypała szyszki i rozpałała ognisko, bo już zaczęło się robić chłodno, wiał wiatr i z jodłowego boru szedł szum, a z bukowego – szelest. Usiadła Cyganka przy ognisku, obok niej usiadł Cygan.

– Szkoda, że rozpałałaś takie duże ognisko – powiedział Cygan do żony. – Dla nas dwojga starczyłoby o wiele mniejsze.

– Tak, to prawda – odrzekła Cyganka. – Ale gdybyśmy mieli dzieci, siedziałyby wokół ogniska i dla każdego starczyłoby ciepła. Wtedy nie żał by mi było wrzucić naraz do ognia wszystkie szyszki z jodłowego boru.

Szyszki paliły się wielkim ogniem. Czerwone płomienie trzepotały złotymi skrzydłami, jakby chciały pofruwać. Ale nie mogły. Kiedy ognisko wypaliło się. Cygan i Cyganka poszli spać do namiotu i śnił im się obojgu ten sam sen: sen o małym, czarnowłosym chłopcu, który był ich synkiem.

O świcie Cyganka zbudziła się i poszła ze swoją chustą do bukowego lasu, aby zbierać bukwie, z której robiła piękne naszyjniki, nawlekając bukowe orzeszki na włos z końskiego ogona. Naszyjniki takie sprzedawała potem na targu, bo pomagały na ból w kościach temu, kto je nosił na szyi. Bukwi było mnóstwo, ale ledwie Cyganka zebrała trzy garście, ujrzała kobietę wyglądającą z dziupli starego buka. Była to dusza drzewa imieniem Matuja. Wychyliła się z dziupli i powiedziała do Cyganki:

– Nie bój się mnie, jestem duszą drzewa bukowego i nie zabraniam ci zbierać bukowych orzeszków. Mów, czego pragniesz, a wszystko spełnię.

– Duszo bukowa! – powiedziała przestraszona Cyganka. – Chciałabym mieć synka.

– Będziesz miała synka – odrzekła Matuja. – Zrób tak, jak ci poradzę. Kiedy pójdziesz do wsi na wróżby, poszukaj dyni, a kiedy ją znajdziesz, zetnij i przynieś do swojego namiotu. Pamiętaj tylko, że dynia musi być wielka i dojrzała jak wschodzący księżyc. Wydrążysz ją i nalejesz do środka mleka, a potem wypijesz je aż do dna, do ostatniej kropelki. Jeśli tak zro-

bisz, urodzi ci się chłopiec piękny i szczęśliwy. A kiedy dorośnie, niech idzie w świat szukać szczęścia, które jest mu przeznaczone. Aby nie musiał wędrować z pustymi rękami, daję ci oto skrzyneczkę z bukowego drzewa, która może mu się kiedyś przydać...

To mówiąc, Matuja dała Cygance małą drewnianą skrzynkę i znikła, a dziupla w okamgnieniu zarosła korą bukową.

Uradowana Cyganka tak prędko biegła w stronę swojego namiotu na granicy boru jodłowego i lasu bukowego, że pogubiła po drodze połowę uzbieranej bukwi. Przyniosła ze wsi pękata dynię, wydrążyła ją, nalala do wnętrza garniec koziego mleka, które dostała za naszyjnik od bólu kości. Wypiła mleko aż do dna, tak jak jej przykazała Matuja. A potem, czekając na przyjście na świat synka, taka była zamyślona, że przez pomyłkę nawlekała orzeszki bukowe na swoje własne włosy. Spostrzegła się dopiero wtedy, kiedy naszyjniki porozrywały się, a orzeszki rozsypały po mchu. Zaczęła więc nizać je znowu, ale przez roztargnienie nawlekała orzeszki na nitkę pajęczyny, która była jeszcze cieńsza i słabsza niż włos. Orzeszki rozleciały się na wszystkie strony, ale Cyganka nie zmartwiła się tym, bo wielka radość zapanaowała na granicy jodłowego i bukowego lasu; przyszło na świat małe Cyganiątko.

Cygan i Cyganka obmyli malutkiego chłopca w leśnym strumyku, który miał swoje źródło w bukowym lesie i płynął do boru jodłowego i dalej aż do morza, które było za jodłowym borem. Wykąpawszy synka, dali mu imię Bachtąło, to znaczy Szczęśliwy.

Odtąd już przy ognisku na polanie ogrzewało się ich troje – Cygan, Cyganka i Cyganiątko. I dla każdego starczyło ciepła. Szczęśliwi byli rodzice chłopca, ale biedni. Mijał rok za rokiem, szły chłody i głody. Cyganka nie miała czym synka przyodziać w mroźne zimowe miesiące, kiedy przenosili się, jak zwykle, do starego, opuszczonego młyna. Mijały lata, a przepowiednia Matui nie spełniała się jakoś i tylko imię chłopca było szczęśliwe.

Tak minęło dwadzieścia lat. Pewnego dnia wyszedł Bachtąło rankiem z namiotu, pożegnał się z rodzicami i poszedł w świat szukać szczęścia. Wziął ze sobą skrzynkę bukową na szczęście i patyk, żeby się nim od złych psów opędzić. Szedł lasem, drogi wybierał kręte, a spotkane w gęstwinie zwierzęta przyjaźnie doradzały mu, któredy najlepiej iść w świat. Bo Bachtąło żył ze zwierzętami w zgodzie od swoich najmłodszych lat i rozumiał ich mowę rozmaity: lisia, wilczą i wiewiórczą czy borsuczą. Szedł Bachtąło lasami, ale swojego szczęścia nigdzie nie mógł znaleźć, choć szukał go na ziemi, w dziuplach i na najwyższych gałęziach drzew. Aż pewnego dnia stary borsuk powiedział mu, że trzeba iść na południe. Bo na południu mieszka bogaty leśny król, który obiecał uszczęśliwić tego, kto zrobi coś, czego jeszcze świat nie widział.

– A czym uszczęśliwia ten król? – spytał Bachtąło.

Stary borsuk odpowiedział:

– Król obiecał oddać dzielnemu młodzieńcowi swoją córkę za żonę oraz pół królestwa. Sam zastanawiałem się, czy nie spróbować szczęścia. Gdyby mi się udało, otrzymałbym królową i wielu poddanych. Ale rozmyśliłem się, bo już jestem za stary i uszy mi całkiem osiwały. Ty, Bachtąło, jesteś młody – dodał borsuk – i powinienes spróbować. A może ci się uda spełnić żądanie króla i zostać mężem jego córki?... Idź na południe.

– Dobrze. Dziękuję ci – powiedział Bachtąło i poszedł na południe. Szedł przez bór jodłowy i las bukowy, przez sosnowy i klonowy, aż dotarł do wielkiej polany, która była stolicą leśnego króla. Na środku polany stał wielki, czerwony namiot, w którym mieszkał król ze swoją rodziną. Wszedł Bachtąło do namiotu królewskiego i powiada:

– Jestem Cygan Bachtąło. Przychodzę do ciebie królu, żeby spełnić twoje żądanie...

Ale w tej samej chwili słudzy króla wypchnęli go z namiotu, bo król był zajęty słuchaniem leśnego szumu, nie miał więc czasu.

– Pamiętaj – rzekł Cyganowi sługa – że król codziennie słucha szumu lasu od godziny piątej do siódmej i wtedy nie wolno mu przeszkadzać. Przyjdź jutro wcześniej.

Bachtało odszedł poszukać sobie jakiegoś legowiska w lesie i pomyślał, że powinien by zobaczyć królową, zanim znów stanie przed królem.

Aż oto zobaczył, że nad lasem wschodzi księżyc pękaty i wielki jak dynia. Oświetlił księżyc jezioro, w którym kąpała się właśnie córka leśnego króla. Bachtało pomyślał, że jest bardzo piękna, i nie mylił się, bo była piękna naprawdę.

Nazajutrz rano poszedł Bachtało do króla i tak mu powiada:

– Słyszałem, królu, że chcesz oddać swoją córkę za żonę temu, kto zrobi coś, czego jeszcze świat nie widział. Otóż wiedz, że ja chcę wziąć twoją córkę, powiedz tylko, co mam zrobić?

Zapłonął król wielkim gniewem, gdy usłyszał te słowa, i zakrzyknął:

– Cóż ty sobie myślisz? Pytasz mnie, co masz zrobić? Toć wiesz, że tylko temu oddam córkę, kto zmajstruje taką rzecz, jakiej jeszcze nie bywało! Za takie głupie pytanie pójdiesz do więzienia!

W tej samej chwili zbiegli się pacholki królewscy i wsadzili biednego Cygana do ciemnych lochów pod korzeniami starego dębu. Zamknęli loch wielkim kamieniem i Bachtało został sam jeden w ciemności. Zimno było pod ziemią, bo nie wschodziło tam słońce ani nawet księżyc. A jeśli nawet wschodził jakiś księżyc podziemny, to musiał być czarny, bo go wcale nie było widać. Przychodziły do Bachtały krety, żeby go ogrzewać swoim ciepłym futerkiem. Ich też Bachtało nie mógł widzieć w podziemnej ciemności, ale poznał je po głosie, bo znał krecią mowę.

Nie wiadomo jak długo siedział, gdy nagle w lochu zrobiło się zielonkawo, a potem aż biało od światła i ukazała się chłopcu Matuja. Miała długie włosy srebrne jak strumień.

Odezwała się szeptem, a Bachtało wydało się w pierwszej chwili, że to nie szept, tylko wiatr, albo że ktoś nad nim w lesie chrust grabi i szyszki. Po chwili Bachtało zaczął już rozumieć szeptane słowa Matui. A były one takie:

– Nie bój się i nie martw, Bachtato. Jeszcze wyjdiesz stąd i poślubisz córkę leśnego króla. Jestem Matuja i obiecałam, zanim jeszcze przyszedłeś na świat, że będziesz szczęśliwy. Teraz przyszedłam, żeby dotrzymać obietnicy. Masz przecież przy sobie małą skrzynkę z bukowego drewna...

– Mam – odpowiedział Bachtało mrużąc oczy od światła – ale na nic mi się nie przydała. Zbierałem kostki nietoperzy, które przynoszą szczęście i wkładałem do tej skrzyneczki. Zrywałem czterolistne koniczyny i wrzucałem je do niej, ale zeschły się i rozsypały w proch. A szczęścia jak nie było, tak nie ma.

– Nie martw się, Bachtało – zaszeptala Matuja. – A czy masz patyk z bukowej gałązki?

– Mam – odpowiedział Bachtało. – Wcale mi się nie przydał, bo nie spotkałem ani jednego psa, przed którym musiałbym się oganiać. Ale gdybym nawet spotkał i odpędził – to czyż miałoby to już być szczęście?

– Nie martw się – odpowiedziała Matuja. – Weź pasmo moich włosów i odetnij je.

Gdy Bachtało zrobił to, rzekła jeszcze:

– A teraz umocuj część tego pasma na twej skrzynce, a resztę przywiąż do patyka bukowego. Odtąd skrzynka będzie radowała ludzi albo zasmucała, jak zechcesz.

Wzięła Matuja w dłonie skrzynkę i przyłożywszy ją do ust zaśmiała się cichutko do jej wnętrza. Potem zapłakała i kilka łez stoczyło się jej z oczu prosto do skrzynki.

– Weź teraz patyk i przesuwaj nim po skrzynce, po moich włosach, tam i z powrotem.

Spróbował Bachtało tak uczynić i oto ze skrzynki zaczęły płynąć w świat najpiękniejsze tony. Matuja znikła, ciemno zrobiło się w lochu, a Bachtało grał i grał. Najpierw zagrał powoli i smutno. Słuchały go w głębi ziemi ślepe krety i myślały, że to już jesień, że smutne mgły włóczą się nad ziemią i rude liście opadają w kałuże. A potem zagrał Bachtało skocznie i wesoło, aż cieplej się stało w lochach, słysząc było trzepot ptasich skrzydełek i świergot tysięcy gardziołek.

Wtem jasno zrobiło się w jamie więziennej. Bachtąło myślał, że to Matuja wraca, promieniając swym światłem. Ale nie! To było światło dnia. To król leśny usłyszał granie i kazał swoim sługom odwalić głaz i wyprowadzić więźnia z lochów.

Stanął Bachtąło przed królem i rzekł:

– Patrz, królu, i słuchaj! Oto rzecz, jakiej jeszcze świat nie widywał, nie słychiwał.

I zagrał na swej skrzynce. Najpierw smutną pieśń. Król zapłakał strasznie, a od łez jego – jak po deszczu – mnóstwo grzybów wyrosło. Potem zagrał wesołą piosenkę. Król uśmiechnął się, a wraz z nim uśmiechnęli się dworzanie, rodzina królewska i cały las. Najpiękniej uśmiechnęła się królewna i jeszcze tego samego dnia urządzono na królewskiej polanie wesele. Bachtąło przyprowadził swoją matkę i swojego ojca z pogranicza lasu bukowego i boru jodłowego i wszyscy razem jedli i pili, i bawili się przez trzy dni. A Bachtąło grał najweselsze piosenki. Leśny król przestał już słuchać szumów leśnych od piątej do siódmej, bo muzyka zaczarowanej skrzynki była stokroć piękniejsza od szumu.

Tak oto przyszły na świat skrzypce.

Stworzenie świata

Za dawnych, pradawnych czasów nie było jeszcze świata, tylko wielka woda. Bogu Baro znudziła się szumiąca woda bez żadnego brzegu lub choćby maleńkiej wysepki. Pomyślał więc sobie Bóg Baro, że warto by jakiś świat stworzyć, ale nie wiedział ani – jak się to robi, ani – jaki powinien być ten świat. Zabrałby się Bóg Baro do roboty, popróbowaliby tak i inaczej, może by mu z tego wreszcie coś wyszło, ale nie chciało mu się ruszyć palcem. Siedział sobie na powietrzu osowiały i znudzony, bo nie miał brata, ani nawet przyjaciela, a samemu na świecie – niewesoło. Oganiał się tylko czasem od obłoczków, co mu pod sam nos podfrwały.

Dojadała Bogu Baro samotność, aż zagniewany cisnął swój kostur, którym się podpierał w wędrówkach po chmurach. Poleciał kostur z ręki Boga Baro prosto w wodę, która się rozposcierała wszędzie i nie miała ani początku, ani końca.

Zawrzało w wodzie i nagle w tym miejscu, w którym się pogrążył kostur, wyrosło drzewo olbrzymie, zielone i rozłożyste. Tylko jedna z jego gałęzi była sucha. Przycupnął na niej dziwny jakiś stwór – jasnowłosy i kosmaty. Był to sam Diabeł, pierwszy z diablego rodu. Uśmiechnął się do Boga Baro i rzekł:

– Dzień dobry, kochany braciszku. Nie masz brata ani nawet przyjaciela: ja ci będę przyjacielem i bratem.

Ucieszył się Bóg Baro i powiada:

– Dobrze. Bądź moim przyjacielem, ale nie bratem. Bo ja jestem jedynak. Któż to słyszał, żeby Bóg miał brata?

Zaprzyjaźnili się więc i przez dziesięć dni pływali po wielkiej wodzie łódką, którą Diabeł wyciął z suchej gałęzi olbrzymiego drzewa. Z początku Bóg Baro zadowolony był z tego pływania, bo kiedy mieszkał w powietrzu, wysoko, żywił się tylko ptakami i już mu przestały smakować. A teraz mógł jeść smakowite, tłuste ryby. Ale Diabłu znudziło się łowienie ryb. I Bóg Baro zauważył, że już dziewiątego dnia złowione ryby Diabeł sam ukradkiem pozjadał.

Nazajutrz rano powiada Diabeł:

– Braciszku kochany. Źle nam się żyje we dwóch tylko, kiedy nigdzie, jak okiem sięgnąć nie ma żywej duszy. Chętnie bym stworzył jeszcze kogoś...

– Stwórz, jeśli chcesz – odrzekł Bóg Baro.

– Ba, nie umiem – powiedział Diabeł. – Już raz chciałem stworzyć wielki świat, ale nie dałem rady, nic z tego nie wyszło.

– Dobrze więc – rzekł Bóg Baro. – Ja stworzę świat, tylko nie nudź już więcej. Skocz zaraz w wielką wodę i przynieś mi z dna piasku, bo właśnie z piasku chcę stworzyć Ziemię.

– Jakże to można z piachu zrobić Ziemię?! – wykrzyknął Diabeł.

– Całkiem zwyczajnie – odpowiedział Bóg Baro. – Wypowiadam swoje boskie imię – i już. Idź i przynieś piasku.

Skoczył Diabeł do wody, zanurzył się w głębinie. Tam pomyślał sobie, że będzie lepiej, jeśli sam stworzy świat, bez niczyjej pomocy. Wydobył więc na powierzchnię sporą kupę piachu i wyrzekł nad nią swoje diabelskie imię, a jest to imię: Beng.

Biały piasek ozłocił się, potem zrudział i buchnął dymem w twarz Diabła, sparzył go i osmalił. A świata jak nie było, tak nie było. Rzucił Diabeł gorący piasek z powrotem do wody, aż zasyczało i wleciały w górę kłęby pary.

Wrócił Diabeł do Boga z pustymi rękami i powiada:

– Nie znalazłem piasku na dnie.

A Bóg Baro na to:

– Idź, mówię ci, i przynieś mi piasku, jakieś przyrzekł.

Przez dziewięć dni skakał Diabeł w wielką wodę, dźwigał z dna piach, wynurzał się na powierzchnię jak najdalej od Boga Baro, wypowiadał imię Beng – a piasek parzył i osmalał, tak że trzeba go było czym prędzej wrzucać do wody. Tyle pary z tego szło, aż gęsta mgła wstała nad wielką wodą.

Piasek był tak gorący i tak przypiekał, że Diabeł po dziewięciu dniach był już całkiem czarny. Gdy dziewiątego dnia znów przyszedł z pustymi rękami, Bóg Baro rzekł:

– Jesteś zupełnie czarny, i dusza w tobie – też czarna. Zły z ciebie przyjaciel. Idź natychmiast i przynieś piasku. Ale nie wymawiaj swego imienia, bo spłoniesz i zamienisz się w popiół.

Poszedł Diabeł jeszcze raz po piasek i wreszcie przyniósł go Bogu.

Bóg Baro uczynił więc Ziemię, a Diabeł uradowany zawołał:

– Tu, pod tym wielkim drzewem, jest moje mieszkanie, a ty, braciszku, poszukaj sobie miejsca gdzie indziej!

Rozgniewał się Bóg strasznie i krzyknął:

– Taki z ciebie przyjaciel? Nie chcę cię znać. Idź precz! Niech twoje dzieci i wnuki: diabły, diabluki i diablęta – będą czarne jak ty teraz.

W tejże chwili zjawił się wielki, czarny byk, wziął Diabła na grzbiet i wraz z nim zapadł się pod ziemię u stóp olbrzymiego drzewa. Ale było to boskie drzewo. Bóg Baro uczynił czar – i z gałęzi wylęgło się mnóstwo zwierząt i ludzi, i wszyscy po kolei zeskakiwali na nową Ziemię, mokrą jeszcze i bez trawy i ziół.

Tak Bóg Baro stworzył Ziemię, zwierzęta biegające po niej i ludzi.

Ale sam wyprowadził się na stałe do nieba, bo w głębi Ziemi zadomowił się Diabeł, a Bóg Baro nie chciał go mieć za sąsiada.

Matka Słońca

Przed wielu, wielu laty, kiedy Król Chmur był jeszcze bardzo młodziutki, żył w wielkiej przyjaźni z Królem Słońca. To były dobre czasy! Kiedy Król Słońca odpoczywał, zmęczony po długiej wędrówce, wówczas Król Chmur wychodził ze swego pałacu i rozkazywał swoim sługom, aby nawodnili deszczem spragnioną ziemię. Nigdy nie zdarzyło się w owych czasach, aby prażyło słońce, kiedy ludzie prosili o deszcz; nigdy też nie bywało, aby padał deszcz, kiedy ludzie pragnęli słońca.

Razu pewnego – a było to po południu – Król Słońca spotkał swojego przyjaciela, króla Chmur, i rzekł mu:

– Kochany przyjacielu, jestem dziś bardzo znużony, bo miałem wiele roboty. Byłem w kraju, w którym nocą była ulewa rześista, musiałem więc dwoić się i troić, aby wysuszyć ziemię, bo biedni ludzie mieliby kiepskie plony. Bądź tak dobry i nie przeszkadzaj mi, kiedy pójdę już spać.

– Przykro mi bardzo – odrzekł Król Chmur – ale właśnie ruszam w drogę do tego kraju, gdzie wczoraj była ulewa. Niepotrzebnie wysilałeś się na suszenie ziemi, bo ja postanowiłem, że w owym kraju będzie padać przez dziewięć tygodni bez ustanku. Niech ludzie wiedzą, kto ja jestem!

– Za co chcesz karać biednych ludzi! – zapytał Król Słońca.

– Zaraz się dowiesz – odpowiedział Król Chmur. – W kraju tym panuje władca, który ma precudną córkę. Chcę, aby została ona moją żoną, ale król, jej ojciec, sprzeciwił się moim zamiarom i rzekł, że nie ma żadnej córki dla jakiegoś tam Króla Chmur. Jeśli tak, to ja już pokażę ludziom, kim jestem! Zabiorę ze sobą wszystkie moje sługi – Deszcz, Wiatr, Błyskawice, Grzmot, Grad i Śnieg i wypuszczę jak psiarnię, wszystkie naraz, żeby nasycić serce moje zemstą!

Na to rzekł Król Słońca:

– Nic nie zrobili ci złego biedni ludzie. Obraziłeś się na ich króla, to na nim się zemścij!

– Nic mnie to nie obchodzi! – powiedział Król Chmur. – Któż mi może zabronić?

– Ja! – zawołał Król Słońca.

– Chciałbym to widzieć! Bardzo jestem ciekaw! – zaśmiał się Król Chmur, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Ale dobry Król Słońca nie zasypiał gruszek w popiele. Popędził najspieszniej, jak tylko umiał, w stronę owej krainy i dotarł tam, zanim jeszcze Król Chmur zdążył przybyć na miejsce wraz ze swoimi sługami. A kiedy wreszcie i on się zjawił, nie mógł nic wskórać, bo słońce tak świeciło i grzało, że słudzy Króla Chmur musieli się ratować ucieczką, aby nie spłonąć.

Wściekły z gniewu Król Chmur powrócił do swojej ojczyzny ze służbą poparzoną i osmoloną od słonecznego skwaru. Odtąd często wyruszał ze swej siedziby położonej na szczytach najwyższych gór świata i nadciągał wraz ze służbą nad ów kraj rządzony przez króla, któremu poprzysiągł zemstę. Ale zawsze uprzedzał go Król Słońca i przepędzał stamtąd całą złowrogą bandę. Wściekłość Króla Chmur potężniała z dnia na dzień i z miesiąca na

miesiąc. Zaczął przemyślać sobie, jak by tu wszelką moc odebrać Królowi Słońca i wszelką władzę. Podzielił się swoimi troskami i zamysłami ze służbą, a wtedy rzekł mu Wiatr:

– Mam myśl! Wszyscy wiecie, że Król Słońca, nasz wspólny wróg, wyfruwa w świat wczesnym rankiem – i jest wtedy malusieńkim dzieckiem. W południe jest już mężem dojrzałym, a wieczorem kiedy wraca do domu, jest sędziwym starcem i zasypia na kolanach swej matki. Gdyby nie usnął na jej kolanach, nie odmieniłby się rankiem w dziecko, ale na zawsze by już został starcem bezsilnym, i nie mógłby już nazajutrz wyfrunąć w świat. Musimy więc pojmać jego matkę, a wtedy już jej syn nie będzie mógł nam szkodzić!

Wysłuchawszy rady Wiatru, wszyscy w radość wpadli i z uciechy wrzeszczeć zaczęli jak głupi jeden przez drugiego. Śnieg i Grad zawołali:

– Knarr! Klirr! To dopiero sposób!

Błyskawica jęła biegać z kąta w kąt, pokrzykując:

– Kiskos! Kis! Kos! To ci heca! Kos! Koskis!

Grzmot zadudnił:

– Bumbaro, bumbaro, bummm! Dobrze będzie!

Deszcz zaszeptał:

– Bri szint! Szint! Szint! Przebiegły z ciebie wietrzyk, nasz braciszku!

Po chwili ozwał się sam Król Chmur:

– Dobra to rada! Spróbuję schwytać Matkę Słońca.

Rzekłszy, udał się do mieszkania Króla Słońca, kiedy ten był właśnie gdzieś daleko w świecie. Po drodze Król Chmur przemienił się w siwego konia, a przycwałowawszy do złotego domku Króla Słońca, rzekł do Matki Słońca siedzącej u progu:

– Dzień dobry, kochana pani! Jestem Wichrokoniem. Twój syn, Król Słońca, przysłał mnie tutaj, abym cię jak najszybciej zaniósł do niego. Znajduje się on teraz w zalanej wodą krainie i sił mu już zabrakło, by ją osuszyć. Chciałby więc przespać się godzinę na twoich kolanach, aby nabrać nowej siły!

– Tego mój syn nigdy ode mnie nie żądał! – odpowiedziała matka. – Ale jeśli naprawdę tak osłabł, to chcę mu pomóc jak najspieszniej. Udam się do niego z twoją pomocą, jeśli mi pozwolisz wsiąść na swój grzbiet!

O to właśnie Królowi Chmur chodziło. Matka Słońca dosiadła konia, a on szybko jak wicher pomknął przed siebie, aż wpadł do wielkiej jaskini. Tam przemienił się na powrót w Króla Chmur i zamknął Matkę Słońca w skalnej pieczarze.

Zapadł wieczór. Król Słońca był już zdrożonym starcem. Kiedy wrócił do domu, nie zastał swojej matki, nie mógł więc usnąć na jej kolanach, jak to czynił dotąd zawsze od początku świata. Biedny osłabł do cna i wcale nie mógł się poruszyć. Nazajutrz nie wzeszło słońce i noc nie odeszła, bo Król Słońca nie wyszedł z domu. Ciemność była wszędzie, a Król Chmur ze służbą mógł bez przeszkód gospodarzyć po swojemu.

Ale niedługo. Z chmury sfrunęła ostra i jasna błyskawica i uderzyła w pieczarę, odłupując kawał skały. Matka Słońca schwyciła ostry koniec pioruna i odłamała go. Tym odłamkiem błyskawicy, jak najostrzejszym nożem, wydłubała otwór w ścianie pieczary i przecisnęła się przezeń na wolność. Natychmiast pośpieszyła do swego syna i wzięła jego zmęczoną, złotą głowę na kolana. Król Słońca zasnął, a kiedy się obudził, był malutkim dzieckiem.

Wyfrunął przez okno i rozjaśnił cały świat. Ludzie we wszystkich miastach, wsiach i lasach cieszyli się, śpiewając i tańcząc z radości. Dziękowali słońcu, że świeci, bo ciemność trwała przez pół dnia i wszyscy już stracili nadzieję, że nadejdzie kiedyś znowu biały dzień. A Król Słońca przepędził daleko Króla Chmur.

Od tamtych czasów między Królem Słońca a Królem Chmur nie ma już zgody ani przyjaźni, tylko wrogość i wieczna zwada jak między psem a kotem albo ogniem i wodą.

Dlaczego księżyc to rośnie, to maleje

Stary Cygan, mieszkający na skraju podgórskiej wioski, miał już tyle lat, że dobrze zdążył poznać życie. Ale najlepiej poznał głód. Im Cygan był starszy, im mniej miał sił, tym trudniej mu było zarobić, tym mocniej głód dawał mu się we znaki. Wędrował w góry, zbierał chrust na rozpałkę i sprzedawał go za grosze wieśniakom. Niewiele miał z tego, ale zawsze starczało mu na kupno kukurydzy. Co dzień gotował sobie zupę kukurydzianą i zjadał jej pełną miskę.

Pewnego wieczoru wrócił do domu, dźwigając wielki wór chrustu. Kiedy zbliżył się do swej chaty, przeraził się, bo zobaczył, że drzwi do izby są otwarte szeroko. Światło księżycy zaglądało do środka i widać było siedzącego przy stole jakiegoś starca z długą, popielatą brodą. Siedzi i najspokojniej zajada zupę kukurydzianą. Zanurza w misie wielką drewnianą łyżkę i czerpie nią żółtą, gęstą, rozgotowaną kukurydzę.

Gdy to stary Cygan zobaczył, cisnął wór chrustu na ziemię i wrzasnął:

– Złodziej! Rabuś! Jak śmiesz jeść moją kukurydzę? Kto ci pozwolił?!

Starzec odpowiedział:

– Jestem zmęczony i głodny. Kiedy zobaczyłem tę żółtą i smaczną kukurydziankę, nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie spróbować.

– Patrzcie go! – zawołał Cygan. – Zobaczył misę z żółtą strawą i język mu zaczął skakać z łakomstwa! Jeśli tak lubisz żółty kolor, to idź i jedz to!

To mówiąc, Cygan wskazał palcem księżyc, który właśnie wisiał za oknem, wielki jak dynia. Nie odpowiedział starzec ani słowa, tylko dźwignął się z ławy, wziął swój kostur i chciał odejść. Ale Cygan zastąpił mu drogę i wrzasnął:

– Hola, złodziejaszku! Nie wyjdiesz, póki mi nie zapłacisz za zjedzoną kukurydziankę! Należy mi się siedem grajcarów.

– Nie mam ani grosza – odpowiedział starzec. – Daruj mi. Byłem naprawdę bardzo głodny.

– Nie daruję ci! – krzyknął Cygan. – Musisz zapłacić mi za to!

Starzec rozpiął swój płaszcz i wyciągnął na wierzch wszystkie kieszenie: były zupełnie puste.

I rzekł jeszcze raz:

– Daruj mi! Na wiosnę, kiedy zaczną się rozwijać liście, zapłacę ci za wszystko i wynagrodzę stokrotnie.

– Nie! – odrzekł Cygan i zamknął drzwi chaty, aby starzec nie mógł się wymknąć.

Wtedy starzec, przygarbiony dotąd i drżący, wyprostował się, oczy zaświeciły mu jasnym blaskiem, sękaty kostur w jego ręce zamienił się w laskę ze szczerego złota. Cygan cofnął się ze strachem, a starzec rzekł:

– Dobrze, będzie tak, jak chciałeś. Wiedz, że jestem władcą słońca, księżycy i wszystkich gwiazd. Przyniosłbym ci wiosną tyle złota, że stałbyś się najbogatszym człowiekiem na świecie. Twój sąsiad gościł mnie u siebie przez trzy dni i nie zażądał ode mnie ani grosza za tę gościnę. Za to dam mu szczęście i bogactwo. Ale i ty dostaniesz zapłatę. Będziesz mieszkać na księżycu i jeść księżyc! I nie wrócisz na ziemię, dopóki nie zjesz go do cna!

To rzekłszy, starzec skinął laską i zniknął, a Cygan, porwany czarodziejską siłą, wyfrunął przez komin w nocne niebo i leciał tak długo, aż się znalazł na księżycu. Cóż miał robić? Trzeba się było pogodzić z tym, co się stało. Cygan za młodu wędrował niemało, przywykł więc prędko do księżyca, jako że nigdy się nie przywiązywał do jednego miejsca. Ostrzygł kilka dzikich baranów księżycowych, uprządł ich wełnę, utkał z niej piękną tkaninę i zrobił z niej namiot.

Chociaż wiele głodu zaznał już w życiu, nigdy na ziemi nie był jeszcze tak głodny jak na księżycu! Jadł księżyc łapczywie, wielkimi kęsami i wciąż nie mógł jakoś zaspokoić głodu. Najbardziej smakował Cyganowi wschodzący księżyc, różowy! Bo wtedy był najsoczystszy i najśłodszy. Mniej smaczny się stawał księżyc, kiedy świecił bledziutkim, żółtawym światłem i wisiał najwyżej, jak tylko umiał. Wtedy był cierpki w smaku i dużo było w nim pestek, które trzeba było wypluwać.

Ale co tam! Taki czy siaki, słodki czy cierpkawy – wszystko jedno. Cygan wciąż był głodny i jadł bez przerwy. Aż pewnego dnia pomyślał sobie, że lepiej mu było na ziemi, i westchnął:

– Mój Boże! W mojej chatce wystarczyła mi miska kukurydzianki i głód mijał, a tu chyba nigdy nie najem się do syta.

I znów zabrał się do jedzenia. Księżyca ubywało i ubywało, stawał się coraz cieńszy, wreszcie podobny był do skórki i ledwo, ledwo świecił. Ale głodu nie ubywało ani trochę. Był głód i nic więcej. Nikogo, z kim Cygan mógłby pogadać, komu by się wyżalił.

– Mój Boże! – westchnął Cygan. – Myślałem, że mi będzie wszystko jedno, bo całe życie przewędrowałem i nigdy nie żał mi było miejsc, które porzucałem, ani drogi, co zostawała za mną!

I znów zabrał się do jedzenia. Jadł tak dzień po dniu i tydzień po tygodniu i rok po roku i z pewnością dawno zjadłby już cały księżyc, gdyby nie to, że Bóg się w to wmieszał, i sprawił Bóg, że księżyc ciągle odrasta. Czasem zdaje się, że już nic z księżyca nie zostało, ale to nieprawda: księżyc odrasta i nigdy nie będzie zjedzony przez Cygana do szczętu. A Cygan nigdy nie nasyci głodu za karę, że pożałował głodnemu paru łyżek kukurydzianki. Za to będzie żyć wiecznie, ale nikt mu takiego życia nie zazdrości!

Kiedy nad lasem świeci księżyc, Cyganie przygotowują w swoich namiotach miski pełne stawy i dają się pożywić każdemu, kto ich o to poprosi. Nie chcą bowiem zasłużyć na taką karę, jakiej doczekał się tysiące tysięcy lat temu stary Cygan z podgórskiej wioski.

Skąd się wzięli ludzie o jasnych włosach

Przed wielu, wielu laty ród cygański Kukuja przybył jesienią do stóp wielkiej góry i rozbił obozowisko, aby przemieścić tam aż do wiosny. Było to dobre miejsce, bo góra osłaniała od zimnych, północnych wiatrów.

Tymczasem jesień była słoneczna i piękna. Cyganie śpiewali i tańczyli całymi dniami, nie myśleli o zimie i było im wesoło.

Pewnego dnia śpiewali i tańczyli jak zwykle przed swoimi namiotami, a słońce świeciło i śpiewały ptaki.

Nagle świat pobladł i posmutniał, niebo w okamgnieniu spochmurniało. Piosenka umilkła, a tancerze przytupywali jeszcze przez chwilę, jakby nie zauważyli chmur i wiatru, który załopotał płótnem namiotów. Znienacka zakłębiła się gęsta śnieżycą, pobielila trawę i włosy tańczących. Chłostani wiatrem i śniegiem, który zaciął ze wszystkich stron, Cyganie pobiegli przez zawieję, aby schronić się w namiotach.

Nagle zatrzymali się jak wryci! Przed namiotem wodza stała młoda dziewczyna niezwyklej urody. Jej twarz i ręce były białe jak śnieg, a włosy błyszcząły jak złoto oświetlone słońcem. Oczy miała błękitne jak niebo wczesną wiosną.

Cyganie zgromadzili się wokół niej i przyglądali się jej szeroko otwartymi, czarnymi oczami, oniemiaли ze zdumienia i trwogi. A ona cichutkim, szepczącym głosem rzekła:

– Jestem córką Króla Mgieł. Mieszkam daleko stąd, w krainie wiecznych śniegów. Doszły mnie tam wieści, że ludzie umieją kochać i miłość przynosi im czasem szczęście, a czasem ból. Nie wiem, co to znaczy szczęście, nie wiem też, co to jest ból, ani – co to jest miłość. Chciałabym bardzo odczuć ciepło miłości, bo na wskroś przemarznięta jestem od mrozu i serce moje całkiem zlodowaciało. Kto z was powie mi, co to jest miłość?

Piękny młodzieniec imieniem Korkoro wyskoczył z gromady przypatrujących się ludzi, podbiegł do Jasnowłosej i zawołał:

– Pokochałem cię od pierwszej chwili, kiedy tylko zjawiłaś się przed naszymi oczami, pokochałem cię, zanim jeszcze powiedziałaś słowo! To, co czuje moje serce, to jest właśnie miłość. Ona ogrzeje twoje serce i ty mnie pokochasz.

Rzekłszy te słowa, Korkoro wziął w swoje dłonie rękę Jasnowłosej, ale wnet puścił ją, bo zimna była jak śnieg. Wtedy ucałował Jasnowłosę, ale twarz jej była jak lód. Nie zważając na to, zaprowadził ją do swego namiotu i nazajutrz ożenił się z władczynią śniegu.

Po pewnym czasie Cyganie ze zdumieniem spostrzegli, że Jasnowłosa zmieniła się nie do poznania. Jej twarz nie był już taka biała, jak dotychczas, ale zaróżowiła się niby mgłą o wschodzie słońca, jej włosy nie świeciły już jak złoto, lecz stały się podobne do żółtawych źdźbeł Inu.

Była jeszcze piękniejsza niż wprzód, bo wiedziała już teraz, co to jest miłość.

Tak minęło dwadzieścia lat – w szczęściu i radości. Jasnowłosa miała już dwadzieścioro dzieci, wszystkie zupełnie do niej podobne. Miłość między nią a jej mężem Korkoro wra- stała ciągle, z każdym rokiem stawała się głębsza i silniejsza.

Ale Król Mgieł od dawna gniewał się, że córka jego tak długo nie wraca, i postanowił rozłączyć ją z Cyganem na zawsze. Pewnego dnia, kiedy mąż Jasnowłosej wyruszył w daleką podróż, aby kupić parę koni, Król Mgieł rzucił na świat mgłę tak wielką i gęstą, że człowiek nie mógł dojrzeć własnego nosa.

Cygan zabłąkał się w bezdrożach, a podstępna mgła odprowadzała go coraz dalej od siedziby rodu Kukuja, aż zaprowadziła na drugi koniec świata, skąd już nie było powrotnej drogi. Chcac nie chcac musiał więc Cygan tam pozostać.

Jasnowłosa, ciągle tak samo piękna i młoda jak przed dwudziestu laty, czekała długo na powrót męża. Wreszcie, w czasie gęstej mgły, przybył do niej ze swego dalekiego świata ojciec i opowiedział, co się stało z Korkoro. I kazał jej wracać.

Jasnowłosa gorzko zapłakała i rzekła Cyganom:

– Mój ojciec wzywa mnie do siebie, muszę więc was opuścić. Opiekujcie się moimi dziećmi, wychowujcie je i kochajcie tak, jak ja was pokochałam!

Biedna Jasnowłosa nie mogła już mówić dłużej, bo głos jej uwiązł w gardle, a łzy znów napłynęły do oczu.

Najpierw łzy jej były gorące, potem – letnie, potem – chłodne, potem – zimne, a w końcu z oczu królowny posypał się grad. Jej różowe policzki stawały się blade, coraz bledsze, aż wreszcie – białe jak śnieg. Jej lniane włosy, które tańczyły na wietrze, stały się sztywne, ciężkie i poczęły lśnić jak złoto.

Wtedy przyfrunął kłęb gęstej mgły i otoczył Jasnowłosą. Cyganie długo jeszcze widzieli, wyciągając oczy, jak wznosiła się ona w obłoku mgły hen, ponad szczytami gór, aż znikła w oddali.

Jej dzieci po latach pożeniły się i powychodziły za mąż, doczekały się dzieci, wnuków i prawnuków.

I tak na świecie zjawili się i rozmnożyli ludzie o jasnych włosach.

Skąd się wzięty pchły

Wędrowali po świecie – Brud i Niedbałość. Była to bardzo zakochana para, bardzo się sobie podobali nawzajem. Bo jak mogli sobie nie przypaść do serca, jeśli on był brudny i niechlujny, a ona niedbała i leniwa? Wyruszyli razem na wędrowkę, kiedy wypędzono ich z pewnego wielkiego miasta. Wędrowali, nie rozstając się ani na chwilę i nie zatrzymując się nigdzie, bo wszyscy – ludzie, a nawet zwierzęta – przepędzali ich od siebie jak najdalej. Po długiej włóczędze Brud i Niedbałość przybyli do kraju, w którym zawsze świeciło słońce, a ludzie – bez wielkiego trudu i nie pracując ciężko – mogli żyć syto i szczęśliwie.

– Tutaj będzie nam dobrze! – powiedział Brud. – Powinniśmy tu zostać. Co myślisz o tym, moja najdroższa?

– Niech i tak będzie – zabełkotała Niedbałość i ziewnęła szeroko na powitanie.

Kogo to witała tak dziwacznie? Swoją starą ciotkę Nudę która właśnie w tej chwili przybyła także do słonecznego kraju.

Ucieszyli się wszyscy troje z tego spotkania, bo i Brudowi, i leniwej Niedbałości różniej jest i milej, kiedy im Nuda towarzyszy. Zagospodarowali się szybko na nowym miejscu. Brud naznosił znad rzeki mułu, wytarzał się w nim i dobrze mu z tym było. Niedbałość postrzępiła sobie ubranie do cna i dobrze jej z tym było, bo w kraju tym nie bywało chłódów. Nuda wylegiwała się na ziemi i ziewała od ucha do ucha i od brody aż do oczu – tak że łykała spore ptaszki, które wpadały jej do gęby w czasie tego ziewania. Brud stawał się z każdym dniem grubszy i wkrótce wyglądał jak wielki polec usmolonego i okopconego boczku. Tylko Niedbałość nie utyla wcale i była chuda jak wprzód. Zwierzyła się ze swoich zmarwień ciotce Nudzie, a ta rzekła jej na to:

– Mam ja dobrą myśl! Świetna będzie z was para! Kochacie się, pobierzcie się więc, a na pewno będziecie szczęśliwi. Ty obrośniesz brudem i przez to staniesz się tłusta. A Brud nauczy się od ciebie jeszcze większego lenistwa i niedbałości.

Jak poradziła Nuda, tak uczynili. Nad brzegiem małego bajorka odbyło się wesele. Młoda para wytarzała się w błocie, a potem cała trójka zasiadła do weselnej uczty. Jedli pijawki, psie grzybki, a potem – zdechłego psa; popijali zaś gęstą wodą z bajorka. Po uczcie zaczął się koncert. Muzykantami były rechoczące żaby. Zamiast tańczyć – Brud, Niedbałość i Nuda czochrali się o korę drzew, rosnących na brzegu bajorka, a zamiast śpiewać – ziewali wielce uszczęśliwieni.

Odtąd bardzo wesoło żyło się młodym.

Niedbałość wkrótce stała się tak samo brudna i tłusta, jak jej mąż Brud, i dawne jej zmarwienia znikły.

Minął rok i ciotka Nuda przygotowała wszystko na chrzciny, bo właśnie Niedbałość miała zostać matką.

Przyszedł oczekiwany dzień i Niedbałość urodziła malutką, czarną pchłą, która od razu zaczęła skakać i kąsać. Najpierw pogryzła swoją rodzoną matkę, i choć Niedbałość nigdy o nic nie dbała, teraz musiała się ciągle drapać i drapać: tak ją swędziała skóra od ukąszeń córecz-

ki-pchły! Nie minął jeszcze miesiąc, a już Niedbałość została babką i prababką, a Brud – dziadkiem i pradziadkiem, bo ich córeczka miała już wiele dzieci i wnucząt.

Coraz więcej pcheł było w kraju wiecznego słońca. Ludzie zaczęli drapać się i przeklinać przybyszów, którzy zapchlili wszystko dokoła.

Pewnego dnia gromada mieszkańców słonecznego kraju zebrała się w pobliżu siedziby Brudu, Niedbałości i Nudy i uchwaliła, że trzeba wygnać za granicę nieproszonych gości. Ludzie pochwycili kije i przegonili ich daleko.

Ale pchły zostały i nie dały się tak łatwo przepędzić. Były malutkie i mogły niezauważone schować się byle gdzie. Trzeba je było chwytać jedną po drugiej i zabijać. Ale zanim zdołano zabić dziesięć, rodziło się sto nowych pcheł. Te były już ostrożniejsze i ukrywały się w sierści psów, w szparach podłogi i w śmieciach, które Brud zostawił po sobie. Gryzły jeszcze ludzi od czasu do czasu, ale czuły się nieswojo, bo bardzo nie lubiły czystości.

Tymczasem Brud, Niedbałość i Nuda powędrowały w świat i do dzisiaj wędrują. A wszędzie tam, któredy przechodzą, pchły nie muszą się ukrywać w niedostępnych zakamarkach, ale gryzą ludzi, gdzie się da, i wcale się nie boją drapania.

O człowieku, co się zwał Nic

W pewnej wsi mieszkał człowiek bardzo biedny. Ludzie nazywali go Majstrem-Klepka, bo wszystko potrafił zrobić, naprawić, a każdą starą rzecz – odnowić. Roboty nie brakowało rozmaitej, ale Majster-Klepka pracował niewiele – ot, tyle tylko, aby nie umrzeć z głodu. Kiedy zjadł już ostatni kawałek chleba, uskwarzył resztkę słoniny – brał się do roboty. Dostawał pieniądze, kupował za nie coś do jedzenia i znowu próżnował aż do chwili, gdy mu głód zajrzał w oczy. Powiadali mu sąsiedzi:

– Masz złote ręce! Mógłbyś dobrze zarobić i żyć w dostatku, gdyby ci się tylko chciało uczciwie pracować.

– Na co? Po co? – odpowiadał sąsiadom. – Nic mi więcej nie potrzeba, bylebym nie umarł z głodu. Niewiele jadam, to i pracować mogę też niewiele, od czasu do czasu, aby-aby.

Jak mówił, tak też i robił. Zarobił, wracał do domu i wylegiwał się tak długo, aż poczuł głód. Wtedy wychodził do pracy, naprawił, zmajstrował to i owo – i znów wracał do domu. Dom jego był spory i ładny, ale zupełnie pusty bo Majster-Klepka nie kupował żadnych sprzętów i żył tylko z dnia na dzień.

Pewnego dnia leżał jak zwykle i drzemał sobie w łóżku. Wtem otworzyły się drzwi i do izby wszedł jakiś tłuscioch całkiem goły, przepasany tylko brudną szmatą.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem! – zawołał. – Ty nic nie potrzebujesz i mnie nic nie trzeba, a do tego jeszcze nazywam się właśnie: Nic! Podoba mi się tu, będę więc mieszkał razem z tobą.

Majster-Klepka, dopiero co obudzony z drzemki, przysłuchiwał się słowom tłusciocha. Przyjrząwszy mu się, zauważył, że jest on całkiem przezroczystry, jak szyba w oknie.

– Dobrze – powiedział Majster-Klepka – możesz zostać nawet na całe życie, ale pod warunkiem, że nie będziesz ode mnie żądał jedzenia ani picia.

Tłuscioch odrzekł:

– Już ci przecież mówiłem, że nic nie mam, nic nie potrzebuję i, jak widzę, nawet gdybym chciał czegoś, to i tak u ciebie nie znajdę. To mi się właśnie podoba, to mi dogadza i dlatego właśnie przyszedłem do ciebie. Bo trzeba ci wiedzieć, że dzieję dach nad głową tylko z takimi ludźmi, którzy nic nie mają i nie chcą mieć. Nie zapomnij, że moje imię jest – Nic.

I jegomość Nic ułożył się w kącie pokoju, bo też lubił się wylegiwać. Właśnie nadszedł taki czas, że zabrakło chleba. Dźwignął się więc Majster-Klepka z legowiska i poszedł popracować troszkę. Gdy tylko zarobił nieco grosiwa, kupił chleba i słoniny, zjadł wszystko i znów położył się w swojej izbie. Tak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, aż wreszcie Majster-Klepka zauważył, że jegomość Nic staje się z każdym dniem grubszy i że już jego potężne cielsko ledwo się mieści w izbie. Pozostał jeszcze tylko jeden ciasny kącik dla Majstra-Klepki. Rozgniewał się więc i zawołał:

– Ej, ty, słuchaj no! Tyjesz bez przerwy, z każdą chwilą jesteś grubszy! Jeszcze trochę, a zabraknie dla mnie miejsca w moim własnym mieszkaniu!

Jegomość Nic ziewnął głośno, wzruszył ramionami i powiedział:

– Nic mnie to nie obchodzi. Nic ci nie poradzę na to!

Wkrótce jegomość Nic tak się rozrósł, utył i spęczniał, że Majster-Klepka ledwo stać lub przykucnąć mógł w swojej izbie, mowy nie było, żeby się położył. Nie mógł już więc prześadywać czy wylegiwać się w domu i coraz częściej musiał wędrować po wsi. Raz, gdy tak szedł sobie, spotkał piękną dziewczynę i zakochał się w niej od pierwszej chwili. Ale kiedy poszedł do jej rodziców i poprosił o rękę pięknej dziewczyny, odpowiedzieli mu:

– Oddalibyśmy ci córkę naszą z ochotą, bo jesteś zdolny i zmyślny majster-klepka. Ale co z tego? Nie masz nic i – co gorsze – nic nie chcesz mieć. Twój dom jest pusty, twoja stajnia jest pusta, twoja piwnica jest pusta i twój strych jest puściuteńki. Najpierw spraw sobie wszystko, co trzeba, a potem porozmawiamy.

Cóż miał robić ospały Majster-Klepka? Musiał porzucić gnuśność i zabrać się do pracy. Pracował za trzech całymi dniami, a nieraz i nocą, i ani się obejrzał, kiedy uzbierało mu się sporo pieniędzy. Kupował więc wszystkie sprzęty domowe, jedno po drugim, ubranie jedno po drugim, jedną i drugą krowę, jednego i drugiego konia. Im więcej pracował i kupował Majster-Klepka, im dostatniejsze było jego gospodarstwo, tym mniejszy i chudszy stawał się jegomość Nic. Tak w krótkim czasie zmałał, że sypiał już w kątku za piecem.

Kiedy Majster-Klepka nakupił tyle sprzętu i dobytku, że i dom, i piwnica, i strych, i stajnia, i obory były już pełne i zagospodarowane, poszedł do rodziców pięknej dziewczyny i jeszcze raz poprosił o jej rękę. Tym razem z radością zgodzili się na to, aby został mężem ich córki. Urządzono huczne wesele. A kiedy Majster-Klepka wszedł ze swoją młodą żoną do izby – nie było już śladu po gościu. Jegomość Nic zniknął. Pewno poszedł w świat, aby się zagnieździć gdzie indziej.

O Cyganie, wildze i złowrogim smoku

Raz młody Cygan porzucił swoich bliskich i ruszył w świat. Kiedy szykował się do drogi, mówili mu drwale mieszkający w pobliżu:

– Jak możesz porzucić ojczyznę? Czy nie będzie ci smutno w obcych krajach?

– Nie wiem – odpowiedział im Cygan. – Nie wiem, ale spróbuję. Jak będzie, tak będzie. Szumiący las, zielona dąbrowa – to moja ojczyzna. Wyrąbaliście ją swoimi siekierami i została tylko pusta poręba, z której wyniosły się nawet grzyby. Odchodzę stąd, bo myślę, że wszędzie, gdzie las – tam moja ojczyzna, rozwłóczona po całym świecie.

– Rób, jak chcesz – mruknęli drwale, wzięli swoje siekiery i poszli. Smutno się zrobiło Cyganowi, bo przy drogach, którymi szedł, ścięte drzewa leżały jak długie, bez sił już i bez ptaków świergocących w gałęziach. Usiadł na pieńku, westchnął i zaśpiewał żalospisną piosenkę:

*Nie mam swej mateńki
ani ojca swego.
Jestem samiuteńki
jak to ścięte drzewo...*

Usłyszał las tę piosenkę i obudziło się w nim echo. Nie zwyczajne, ale – cygańskie. Powtórzyło tę samą melodię, lecz inne słowa. A te słowa były słowami pociechy:

*Nawet i te drzewa
nie leżą samotnie:
chłodny wietrzyk wiewa,
do gałązek dotknie.*

„To szczerą prawdą – pomyślał Cygan. – I ja jeszcze nie jestem sam i nie będę sam, dopóki wszystkie drogi i dróżki stoją przede mną otworem...”

– Dziękuję ci, echo! – zawołał i ruszył dalej.

Przed wieczorem znalazł się w gęstym lesie, nietkniętym jeszcze ludzką ręką ani siekierą. Położył się na trawie pod wielkim dębem i zamknawszy oczy rozmyślał, co ma dalej robić, dokąd iść i jak zarobić na kawałek chleba. Nagle usłyszał głosik, dobiegający z bliska:

– Chodź tu do mnie! Chodź tu do mnie!

Cygan zerwał się z ziemi na równe nogi i rozejrzał się dokoła, ale nie zobaczył nikogo.

– Pewno mi się coś przyśniło – mruknął i znów się położył pod dębem.

Ale za chwilę usłyszał znowu:

– Chodź tu do mnie! Chodź tu do mnie!

Rozejrzył się jeszcze raz i zobaczył wilgę siedzącą na gałęzce. To ona go właśnie wzywała. Wdrapał się Cygan na drzewo, wziął wilgę w rękę i zeskoczył na ziemię. A wtedy ptak odezwał się w te słowa:

– Mój kochany! Bądź tak dobry i posłuchaj mojego śpiewu. W chwili, kiedy śpiewać będę najpiękniej, schwyć mnie i potrząśnij. Wówczas z dziobka wypadnie mi złota kulka, która jest zaczarowanym sercem i źródłem mojego śpiewu. Schowaj tę złotą kulkę w zanadru. Gdy uczynisz to, będziesz mógł odgadnąć cudze myśli i zamiary. Kiedy kulka wypadnie z mojego dziobka – zamilknę i zasnę, a ty połóż mnie w głębi dębowej dziupli.

– Dobrze – powiedział zdumiony Cygan. – Zrobię tak.

Wtedy ptaszek zaczął śpiewać, siedząc mu na dłoni. A śpiewał coraz piękniej. W pewnej chwili Cygan podniósł go w garści, obrócił główką w dół i potrząsnął nim lekko. Wtedy mała, złota kulka wypadła z ptasiego dziobka. Cygan schował ją, a milczącego, nieruchomego ptaszka ułożył w dziupli starego dębu. Gdy wyjmował rękę z dziupli, odłupał niechcący kawałek odstającej od drewna kory, a wtedy ujrzał słowa wypisane na drzewie przez korniki: Jeśli będziesz szukał szczęścia, to przyjdź tu za rok.

Zatkał dziuplę kępą trawy i położył się spać.

Nazajutrz ruszył w dalszą drogę. Po niedługiej wędrówce dotarł do jakiegoś miasta. Widział, idąc ulicami, że wszyscy ludzie, których mijał w drodze, płakali rzewnymi łzami. Nie pytał, co ich tak zasmuciło, bo złota kulka sprawiła przecież, że odgadawał cudze myśli i przyczyna smutku owych ludzi nie była dla niego tajemnicą. Wreszcie spotkał starego człowieka, płaczącego tak samo jak wszyscy mieszkańcy tego miasta. Starzec zdziwiony przyjrzał mu się, widząc, że oczy ma suche i łzy nie spływały mu po twarzy, i słysząc, że nuci sobie pod nosem piosenkę, pomyślał:

„Jaki szczęśliwy jest ten Cygan!”

A Cygan od razu wiedział, co starzec ma na myśli. Nie chciał jednak zdradzić się ze swoimi cudownymi umiejętnościami, aby go nie wzięto za złego czarnoksiężnika. Zapytał więc starca udając, że nie wie o niczym:

– Wielmożny panie, proszę mi powiedzieć, dlaczego wszyscy mieszkańcy tego miasta płaczą?

Stary człowiek odpowiedział:

– Mamy wielkie, ale to wielkie zmartwienie. Potężny, groźny smok chciał dziewięć lat temu zniszczyć nasze miasto i pozabijać wszystkich ludzi. Strach i rozpacz zapanowały w naszym mieście. Wreszcie smok obiecał, że tego nie zrobi, jeżeli co rok damy mu na własność osiemnastoletnią dziewczynę. Niedawno właśnie musieliśmy mu oddać córkę naszego króla...

– Czyż nie możecie zabić tego smoka? – zapytał Cygan.

– To nie takie proste, mój synu – odrzekł starzec. – Już dwudziestu dziewięciu mężów próbowało zgładzić smoka, ale wszyscy polegli w walce z potężnym straszidłem. Tylko ten mógłby go pokonać, kto potrafiłby zrobić coś takiego, czego potwór nie umiałby w żaden sposób powtórzyć.

Pomyślał Cygan chwilę, podrapał się w głowę i powiedział:

– No, jeśli tylko o to chodzi, to gotów jestem odszukać smoka i zabić go!

Starzec pokiwał głową z niedowierzaniem i rzekł:

– Nie wierzę w to. Ale jeśli chcesz spróbować, zaprowadzę cię do Jego Królewskiej Mości, aby go powiadomić o tym, że znalazł się śmiałek, co chce się zmierzyć ze straszliwym smokiem.

Poszli więc obaj do króla, siedzącego na wysokim tronie z podnóżkiem. Król płakał tak rzęsiście, że w sali tronowej zamiast podłogi była wielka kałuża, a od ciągle kapiących łez powstawały na wodzie bańki, które raz po raz pękały z rozpaczą. Kiedy dowiedział się, co Cygan zamierza zrobić, powiedział pojękując:

– Dwudziestu dziewięciu najsilniejszych moich ludzi zginęło w nierównej walce ze smokiem. Czyż i tobie obrzydło życie, że chcesz iść na pewną śmierć? Ale jeżeli postanowiłeś już, że musisz ze smokiem się zmierzyć – to trudno. Przyjmij tylko ode mnie wszystko, co ci się w tej niebezpiecznej wyprawie może przydać.

I dał Cyganowi wspaniałe ubranie, zupełnie nowe, kieskę pełną pieniędzy, konia, strzelbę i szablę.

Cygan podziękował królowi pięknie, ale zwrócił mu strzelbę i szablę mówiąc:

– Nie będą mi potrzebne.

Włożył na siebie nowe ubranie, pieniądze schował do kieszeni, wskoczył na konia i ruszył w tę stronę, gdzie smok uwił sobie gniazdo z żelaza.

Po jedenastu dniach dotarł Cygan rankiem do żelaznej siedziby smoka, który właśnie wyglądał przez okno i od razu zauważył przybysza.

– Czego tu szukasz, robaku? – zagrmiał straszliwym głosem, że jeźdźca z koniem aż przygniotło do ziemi. Z trudem podźwignął Cygan konia i odpowiedział:

– Niezbyt uprzejmie witasz gości i boję się, że ci to nie wyjdzie na zdrowie. No, ale jeżeli chcesz wiedzieć, po co i dlaczego tu przybyłem, to ci powiem, bo widzę, żeś naprawdę silny i potężny. Jestem najsilniejszym i najmędrszym człowiekiem na całym bożym świecie i chcę walczyć z tobą, chcę się z tobą zmierzyć!

– Ho, ho! – wykrzyknął smok. – Ty chcesz się ze mną zmierzyć! No to okaż swoją siłę i zagrmij z taką mocą, abym ja teraz na ziemię się zwałił!

– Nie mam zamiaru tego robić! – powiedział Cygan. – Gdybym zagrmiał, jak to ja potrafię, cały twój dom rozsypałby się na kawałki. A szkoda by było, bo to ładny domek.

– Czekać no, pędruku! – wrzasnął smok. – Zaraz przyjdę tam do ciebie i wtedy zobaczymy, kto z nas jest lepszy!

Wypełził smok ze swoich żelaznych czeluści i zbliżył się do przybysza, a Cyganowi serce zaczęło bić jak młotem na widok przeraźliwego potwora. Ogon miał rudy jak pień sosny, a łeb siny jak deszczowa chmura.

– Dobra! – mruknął smok. – Jeśli chcesz się mierzyć ze mną, to chodźmy, a ja ci pokażę najlepszą z moich sztuk. Nie stracimy przy tym wiele czasu. Gdybyś dał mi dowód, że większej sztuki umiesz dokazać, wtedy osłabłbym do cna i łatwo mógłbyś mnie uśmiercić. Ale tak nie będzie! Niedoczekanie twoje!

Poszli obaj, smok i Cygan, w góry. Smok chwycił w łapy olbrzymie głazy, tak wielkie jak domy, i rzucał je w górę wysoko, aż całkiem znikwały w niebie, a potem zręcznie chwycił je, gdy spadały, jakby to były małe piłeczki do zabawy.

– Nie najgorzej – powiedział Cygan. – Wcale nieźle to robisz. Gdyby te wielkie złomy skalne były ze złota, pokazałbym ci też, co potrafię. Ale takimi zwykłymi, brudnymi kamieniami nie będę się bawił.

– Niech ci tak będzie – powiedział smok. – Nie ma tu takich wielkich kawałków złota. Spróbujmy jeszcze raz. Pokażę ci inne, jeszcze lepsze sztuki.

I poszli na brzeg jeziora tak wielkiego, że ludzkie oko nie mogło dojrzeć jego końca.

– Uważaj no, chrząszczu! – powiedział smok, położył się na brzuchu, a potem podpełznął do wody i zaczął pić. Po kilku chwilach całe jezioro wypróżnił. Pozostało tylko piaszczyste dno, po którym rzucały się z boku na bok przestraszone ryby. Ale to jeszcze nie koniec smoczkiej sztuki. Smok wypuścił z powrotem wszystko, co wypił, i za chwilę ogromne jezioro znów pełne było pluskającej wody i migających w głębinie ryb.

– Chodźmy dalej! – zawołał do Cygana i zaprowadził go na rozległą łąkę.

Tam rozsypał na ziemię nasiona bielunia i splunął trzy razy. Z każdego nasiona wyrósł w jednej chwili żelazny człowiek. W ten sposób cała łąka pokryła się żelaznymi ludźmi, a tłum był tak gęsty, że zasłaniał wszystko, nie widać było nawet kawałka murawy. Całe żelazne

wojsko ruszyło na smoka, ale on uderzał napastników, a każdy jego cios trafiał w żelazną głowę i rozbijał ją na dwoje. Tak pokonał wszystkich.

– No i jak ci się podobała moja sztuka? – zapytał smok.

Cygan odpowiedział:

– Wypić wodę z jeziora – to nie sztuka. Często wypijałem do dna dwa razy większe jeziora, pełne wina, nie wody i nie upijałem się ani trochę! A jeśli chodzi o żelaznych ludzi? Mój Boże! Przecież to też drobiazg. W zeszłym roku, kiedy księżyc przyszedł do mnie w odwiedziny, przeprosiłem go na chwilkę i wyszedłem przed dom, gdzie przeszkadzali mi swym jazgotaniem Królowie Smoków, i przez pięć minut zabiłem trzy tysiące tych straszyci!

Smok przeraził się okropnie i pomyślał sobie, że lepiej nie wchodzić w drogę takiemu groźnemu przeciwnikowi, i pomyślał jeszcze, że trzeba będzie poczekać, aż Cygan usnie, i wtedy się z nim porachować. Cygan od razu poznał myśli złego smoka. Odezwał się więc:

– Słuchaj no. Teraz ja pokażę ci sztukę, której w żaden sposób nie umiałbyś zrobić. Czy mam ci powiedzieć, coś sobie właśnie pomyślał o mnie?

– No, ciekaw jestem – rzekł smok. – O czymże to pomyślałem?

– Że dziś w nocy, kiedy usnę, zabijesz mnie.

Smok przeraził się, zatrząsł się ze strachu na całym ciele i wyjąkał:

– Tak, to prawda... Tak właśnie pomyślałem.

I pomyślał sobie, że Cygan jest pewno przebrany diablem i że z pewnością dużo więcej potrafi niż zwykły smok.

– A teraz – zawołał Cygan – pomyślałeś znowu, że jestem przebrany diablem i że więcej potrafię niż ty!

Usłyszawszy te słowa, opadł smok bezsilnie na ziemię, nie mogąc nawet machnąć ogonem, i pomyślał, że koniec jego się zbliża.

A Cygan powiedział:

– I znowu coś pomyślałeś! To była taka myśl: „Już koniec mój się zbliża”.

Nie zwlekając wziął Cygan smoka za ogon i ruszył, ciągnąc go za sobą. A smok omdlał ze strachu tak bardzo, że wcale się nie opierał. Wreszcie Cygan zrzucił go w przepaść głęboką, która sięgała aż do samego środka ziemi.

Nagle zaczęło błyskać i grzmieć, potem chmury w okamgnieniu rozpierchły się na wszystkie strony i Cygan zobaczył osiem pięknych dziewcząt, które zbliżyły się do niego. Były to właśnie dziewczęta ofiarowywane co rok smokowi. Więził je, przemienione w ptaki, i dopiero teraz, gdy Cygan go zabił, dziewczęta zostały odczarowane. Każda z nich była piękna i wszystkie uśmiechały się do Cygana. Tylko nigdzie nie było dziewiętej dziewczyny, córki królewskiej.

Ucałowały dziewczęta Cygana za to, że je uratował, i wszyscy razem ruszyli do miasta, od którego oddaleni byli o jedenaście dni drogi. To dopiero była radość, kiedy przybyli do celu! Całe miasto cieszyło się i dziękowało Cyganowi za zabicie smoka i uratowanie dziewcząt. Tylko król zamknął się w swoim pałacu i rozpaczał, że ślad po jego córce zaginął. Miasto śpiewało z radości, ale na placu pałacowym było cicho i wszyscy chodzili na palcach, aby uszanować królewski ból i smutek. Cygana wynagrodzili sownie rodzice ośmiu uratowanych dziewcząt, stał się więc bogaty. Mieszkał w tym mieście jeszcze przez cały rok.

Potem ruszył w drogę i dotarł do wielkiego dębu. Zerknął w stronę dziupli i ujrzał, że z wnętrza dębowego pnia wygląda jak z okienka piękna dziewczyna.

– Kto ty jesteś? – spytał zachwycony Cygan.

– Jestem córką króla – odpowiedziała dziewczyna.

Ucieszył się Cygan, pomógł wydostać się królownie z dębowej dziupli i zaprowadził ją do króla, aby jak najprędzej uspokoić go i rozproszyć smutki.

Radość króla i całego miasta nie miała granic. Ale królowna nie cieszyła się razem z nimi, była smutna i milcząca. Nic nie mogło jej rozbawić ani skłonić do śmiechu. Smuciło to króla i wszystkich mieszkańców.

Aż któregoś dnia Cygan zapytał:

– Powiedz mi, królowno, co ci doskwiera, czego ci brak?

– Serca – odpowiedziała królowna.

– Nie rozumiem cię, królowno!

– Posłuchaj więc – rzekła mu córka króla. – Zły smok przy pomocy swoich czarów zamienił mnie i osiem innych dziewcząt w ptaki: w makolągwę, sójkę, sikorkę, kraskę, ziębę, dzierlatkę, pliszkę, jemiołuszkę i wilgę.

Inne dziewczęta pozostawały w klatkach u czarnoksiężnika, ja tylko zdołałam wyfrunąć z więzienia i zamieszkać w lesie. Tam przemądre nocne ptaki powiedziały mi, że zabić smoka zdoła tylko ten, któremu oddam serce. Stary, najmędrzy puchacz nauczył mnie, jak to zrobić...

Kiedy czarnoksiężnik został zabity – czary jego straciły swoją moc i stałam się znów tak jak wszystkie dziewczyną.

– A jakim byłaś ptakiem? – przerwał jej Cygan.

– Wilgą – odrzekła królowna.

Teraz już Cygan zrozumiał wszystko. Prędko sięgnął w zanadrze i podał królownie złotą kulkę, która była serduszkim wilgi. Królowna połknęła kulkę i od tej chwili radość zapanowała wszędzie. Królowna śmiała się, śpiewała i tańczyła długo, długo, a potem przed wszystkimi chwaliła się owym odzyskanym sercem i wciąż prosiła Cygana, aby słuchał, jak ono równiutko i szybko bije.

Ale zanim serce wróciło do niej, długo, długo – rok cały – leżało ukryte w zanadrzu u Cygana. Nic też dziwnego, że przywykło do niego i pokochało go. A kiedy zamieszkało na powrót w piersi królowny, skłoniło ją, by pokochała Cygana, pocieszyciela miasta i wybawiciela jej i ośmiu dziewcząt.

Cygan poprosił o jej rękę i żyli odtąd bardzo, bardzo szczęśliwie.

Tylko przeprowadzili się do lasu, królowna bowiem polubiła las, kiedy jeszcze była ptakiem a Cygan kochał go od dziecka i za nic na świecie nie rozstałby się z jego szumem na dłużej. Król zaś wydał rozkaz, że do tego lasu wstęp drwalom jest surowo wzbroniony.

Chyba i dziś szczęśliwie żyją i nie rozstają się ze sobą, bo myślę, że Cygan nie spotkał już żadnej innej królowny przemienionej w ptaka.

O Andruszu, który nie lubił fasoli

Był raz biedny chłopiec imieniem Andrusz. Nie wiedział nic o swoim ojcu i o swojej matce, prócz tego, że dawno już umarli. Był więc sierotą i nikt go nie kochał. Cyganie, którzy go karmili, pomiatali nim i popędzali do ciężkiej roboty. A to kazali mu chrust znosić z dalekiego lasu, a to konie mchem czyścić, a to osie u wozów maślakami smarować, żeby szkapom było lżej wóz ciągnąć, a to osmolone kotły czyścić piaskiem nad rzeką, a to pchły wyłapywać z psiej sierści. Źle się żyło Andruszowi u Cyganów. Popędzali go do pracy, jakby był znajdą albo osiadłym Cyganem, albo nie wiem już czym.

A jak się napracował, naharował – dawali mu do zjedzenia miskę fasoli. Biedny Andrusz! Choć był sierotą, to przecież był z niego Cygan z krwi i kości, a żaden prawdziwy Cygan nie weźmie do ust fasoli.

Andrusz, choć bardzo był głodny, nawet nie tknął jedzenia, siedział tylko nad miską, wzdychał, a łzy mu kapały prosto w fasolę. Od tych łez fasola robiła się taka słona, że nawet ptaki jej nie chciały, choć Andrusz wyrzucał ją wieczorem na Ptasiej Polanie.

Biedny Andrusz! Wędrował w las, jadł jagody i korzonki, żeby nie osłabnąć z głodu, bo przecież co dzień miał wiele roboty. A gdyby sił mu zabrakło, nie mógłby wcale pracować. Jadł więc swoje jagódki i korzonki i tylko patrzył z zazdrością na innych Cyganów, którzy jedli pieczone kuropatwy i jeże.

Pewnego dnia Andrusz uciekł od Cyganów i poszedł w świat, bo myślał sobie, że może gdzie indziej lepiej mu będzie. I rzeczywiście! Jeszcze nigdzie nie doszedł, a już w drodze szczęśliwiej mu się wiodło. Szedł przez pola – jadł rzepę i ziarenka prosa; szedł przez łąki – i ssał słodkie kwiaty koniczyzny; szedł brzegiem rzek – i jadł kiełbkie schwyte na przybrzeżnym piasku; szedł przez góry – i polował na dzikie kozy, a gdy upolował którą, piekł jej mięso na ognisku. Szedł śmiało, prosto przed siebie, niczego się nie bał. Omijał tylko z daleka poletka, na których rosła fasola, bo świat był piękny, a od widoku fasoli wszystko Andruszowi brzydło.

Szedł tak Andrusz siedem dni, aż znalazł się w wielkim lesie, w którym rosły wielkie drzewa i skały. Słońce jeszcze świeciło za lasem. Andrusz szedł ostatkiem sił, bo był bardzo zmęczony.

Kiedy noc zapadła i w lesie było już zupełnie ciemno, Andrusz zatrzymał się i rozejrzał dookoła, bo nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Nagle zobaczył za drzewami dwa malutkie światełka. Poszedł w ich stronę, myśląc, że to może okienka jakiejś chaty. Ale im bliżej był tego blasku, tym mniej wierzył, że to blask świecy. Ani żółty, ani czerwony jak ogień, tylko zielonkawy, podobny do świecących robaczek świętojańskich. Kiedy Andrusz był blisko światełek, ujrzał, że to lśnią tak oczy precudownej dziewczyny, stojącej nieruchomo na leśnej polanie, jakby wyrosła tu z ziemi niby jodełka. Skinęła na chłopca dłonią i powiedziała głosem podobnym do dzwonięcia świerszcza:

– Biedny Andruszu! Cyganie dręczyli cię, jakbyś był dzieckiem osiadłych, nie wędrownych Cyganów!

– Skąd wiesz? – zapytał przestraszony Andrusz.

– Wiem wszystko – powiedziała precudowna dziewczyna. – Jestem czarodziejka, Keszalia. Wiem też, że nie jesteś synem osiadłych, ale wędrujących Cyganów, i to nie byle jakich, bo należących do prześwietnego rodu Leila. Chodź ze mną!

– A nie zrobisz mi krzywdy? – zapytał Andrusz.

– Nie – odpowiedziała Keszalia. – Będziesz mi służył przez siedem lat i jeśli dobrze spełnisz swoje obowiązki, to staniesz się bogaty jak mało kto. Wtedy będziesz mógł zemścić się na twoich Cyganach, którzy tacy źli byli dla ciebie.

Rzekłszy te słowa Keszalia poprowadziła go do swego pałacu. Była noc, ale ścieżkę oświetlały zielone oczy Keszalii tak jasno, że Andrusz mógł omijać doły i wystające korzenie, nawet nie wyęzając wzroku. Dotarli do pałacu. Był on cały zbudowany ze złota i diamentów. Keszalia dała Andruszowi jeść i pić, a potem kazała mu wynosić na dwór piasek zgromadzony w pałacowych komnatach. Ale wynosić – nie zwyczajnie w worku czy w skrzyni, tylko po jednym drobnutkim ziarenku. Czamoksiężniczka wydała ten rozkaz i znikła, a Andrusz został sam. Płakać mu się zachciało i pomyślał sobie:

„Taka piękna ta Keszalia, a taka niedobra!”

Bo nie wiedział, że najgorsze są właśnie najpiękniejsze Keszalie.

I pomyślał jeszcze:

„Widać już mój los jest taki, że nigdzie od ciężkiej służby się nie wymigam; ani u ludzi, ani u czarnoksiężników!”

Co miał robić? Westchnął i wziął się do roboty. Wynosił ziarenko po ziarenku, nogi schodził, a piasku w pałacu nie ubywało ani trochę. Tak minęło siedem lat.

Właśnie powrócił Andrusz do pałacu po ziarenko piasku, kiedy nagle zobaczył, że góra piachu porusza się i wyłazi z niej mieszkający pod ziemią potwór Phuwusz. Wykopał on sobie pod pałacem Keszalii norę i w ten sposób dostał się do wnętrza. Był to wielki wróg Keszalii i jak mógł, tak starał się jej szkodzić. To on właśnie naznosił piasku do jej pałacu i zasypał nim najpiękniejsze komnaty. Wylazł Phuwusz na górę piasku, a wyglądał jak wielki kret z ludzką głową. Popatrzył na Andrusza i rzekł:

– Siedem lat mija, służba twoja u Keszalii się kończy, a mowy nie ma, żebyś zdążył wynieść stąd wszystek piach. Keszalia zobaczy, żeś nie zrobił tego, co ci kazała, zamiast skarbów, da ci worek piasku i wypędzi cię stąd. Kiedy przyjdzie tu, żeby cię wygnać, tupnij tylko w ziemię trzykroć i zawołaj głośno zaklęcia: C i r k u s z - p i r k u s z - p h u w a r u s z . Taka jest moja rada.

To rzekłszy, Phuwusz na powrót zagrzebał się w piasek zgromadzony w komnacie, a piasku tego zaraz przybyło. Góra piasku stała się wyższa, o wiele wyższa nawet niż siedem lat temu, kiedy Andrusz zaczynał tu swoją pracę.

Wieczorem przyszła Keszalia. Skoro zobaczyła, że po siedmiu latach nie tylko nie ubyło piasku, ale jeszcze go przybyło, wpadła w gniew i zawołała:

– Precz stąd! Weź sobie w nagrodę worek piasku i żeby cię więcej moje zielone oczy nie widziały!

To mówiąc, dała Andruszowi wielki, ciężki wór, pełen piasku. Zmartwiony Andrusz wziął worek piasku i już chciał odchodzić, gdy wtem przypomniał sobie słowa Phuwusza. Zawołał więc:

– C i r k u s z - p i r k u s z . . . – i zapomniał, jakie było trzecie słowo zaklęcia.

Zła Keszalia wpadła w gniew! Oczy jej zaświeciły straszliwym blaskiem tak gorącym, że piasek zaczął się topić i zamieniać w szkło. Nogi Andrusza uwięzły w tym szkłe, nie mógł się więc ruszyć z miejsca. Zawołał znowu:

– C i r k u s z - p i r k u s z - t r a l a l a l u s z !

Ale nic z tego nie wyszło, bo wcale nie miało być tralalalusz, tylko zupełnie inaczej. Pałac zatrzęsł się cały, a Keszalia zapłonęła jeszcze większym gniewem. Biedny Andrusz pomyślał,

że teraz już wszystko przepadło, bo choćby nawet przypomniał sobie zaklęcie, nie będzie mógł tupnąć. Buty wrosły mu w roztopiony piasek! Ale w tejże chwili Phuwusz wytknął nos z piasku, szepnął: phuwarusz, i zniknął w podziemnych czeluściach. Andrusz czym prędzej wyskoczył ze swoich butów, które nie chciały się ruszyć z miejsca, a potem tupnął trzy razy bosą nogą i zawołał:

– Cirkusz-pirkusz-phuwarusz!

W tej samej chwili Keszalia nagle osiwiła, twarz jej okryła się zmarszczkami, a zielony blask oczu zgasł, i zapadła się pod ziemię, a cały jej pałac znikł. Andrusz rozejrzał się wokół i zobaczył, że stoi na polanie w środku wielkiego boru, a w ręku trzyma worek z piaskiem. Ale co to? Dzięki czarodziejskiemu zaklęciu piasek w worku zamienił się w szczerę złoto!

Andrusz chciał zarzucić worek na plecy i ruszyć w drogę, ale złoto było tak ciężkie, że ani rusz nie mógł go dźwignąć.

– Do diabła! – zawołał. – Jeden diabeł wie, co z tym robić.

I oto zjawił się przed nim diabeł, wziął worek na plecy i rzekł:

– Pomogę ci, ale najpierw zjedz tę fasolę, którą ci przyniosłem w misce. Dopiero kiedy zjesz wszystko, przeniosę twoje skarby, gdzie tylko zechcesz.

Przeraził się Andrusz! Nie diabła się bał, ale fasoli. Rzucił się więc do ucieczki, zostawiając diabła i worek złota. Wolał już porzucić bogactwa i pozostać biednym, bezdomnym sierotą niż jeść fasolę.

Do dziś wędruje po świecie, zajada na polach rzepę i ziarenka prosa, wysysa słodkie kwiaty koniczyny, łowi w rzekach tłuste kiełbie, a w górach poluje na dzikie kozy. I dobrze mu z tym i nic mu więcej nie potrzeba.

Gałązka z Drzewa Słońca

Żył sobie król, który był królem z dziada-pradziada, dobrze się więc czuł w koronie i do twarzy mu z nią było. Wiedział też, jak się ją nosi na głowie, żeby było najpiękniej i najdosjniej.

Ale odkąd umarła jego żona, przemądra królowa, król włożył koronę na opak, aby go kłuła swymi kolcami w głowę na znak smutku królewskiego i żałoby. Chodził w tej koronie obróconej do góry nogami, siadywał w niej na tronie, nawet we śnie z nią się nie rozstawał.

Co wieczór, przed ułożeniem się do snu, król powtarzał sobie głośno przyrzeczenie, jakie złożył jeszcze królowej. Powtarzał, aby nie zapomnieć o danej obietnicy. A była ona taka:

– Przyrzekam, że nie oddam córki za żonę nikomu innemu, tylko temu, kto przyniesie mi gałązkę z Drzewa Słońca!

Dopiero po powtórzeniu tej obietnicy król zasypiał. I ledwo zasnął, śnił mu się sen o jednookim. Co dzień ten sam sen o człowieku, który miał tylko jedno oko, a w ręku trzymał gałązkę z Drzewa Słońca. Z tych snów, ciągle takich samych, dowiedział się król, że tylko jednooki człowiek może mu przynieść upragnioną słoneczną gałązkę. Zaczął więc sprowadzać zewsząd, ze wszystkich krańców swego królestwa, jednookich ludzi. Wzywał ich przed swoje oblicze, ale żaden nie miał gałązki, ani nie wiedział, gdzie jej szukać. Zagniewany król wygnał więc jednookich za granicę swego państwa.

W królestwie pozostał tylko jeszcze jedyny, ostatni człowiek o jednym oku. Był to biedny Cygan, który tłukł młotkiem kamienie na budowę dróg i w ten sposób zarabiał na kawałek chleba dla siebie, dla swych rodziców i sióstr. Kiedyś przy pracy odłamek kamienia ugodził go w prawe oko. Odtąd Cygan oglądał świat tylko jednym, lewym okiem. Ale nie smucił się i nie narzekał, tylko powtarzał często:

– Szczęście mi sprzyja. Mogłem przecież całkiem wzrok utracić, a nie utraciłem! Lewym okiem mogę oglądać cały świat!

Nadszedł dzień, kiedy do jego chaty przybył posłaniec królewski, aby go zaprowadzić przed tron zagniewanego króla. Cała rodzina Jednookiego zegnała go z płaczem, bo wszyscy wiedzieli, że czeka go wygnanie. Skąd by bowiem mógł zdobyć gałązkę z Drzewa Słońca, jeśli nawet zwykłych gałązek chrustu do palenia w piecu nie miał pod dostatkiem? Ale Cygan pomyślał sobie: „Szczęście mi zawsze sprzyjało, więc i tym razem na pewno mi dopisze!” Ruszył z królewskim posłańcem w drogę do pałacu i rzekł królowi:

– Popróbuje szczęścia. Może znajdę Drzewo Słońca i przyniosę gałązkę.

Wyruszył w świat i po kilku dniach znalazł się w wysokich, skalistych górach. Leżał tam na wielkiej skale poraniony i osłabiony orzeł, bezsilnie trzepocząc skrzydłami. Kiedy Jednooki zbliżył się do niego, skrzydła orła opadły bezwładnie, a oczy okryły się powiekami. Jednooki pomyślał, że oto orzeł zakończył życie. Nazbierał więc kamyków na grób koło małej kotlinki wyżłobionej w skale, a potem podszedł do nieruchomego ptaka, aby go tam przynieść. Ale orzeł otworzył oczy i powiedział:

– Za wcześnie na mój pogrzeb, jeszcze jestem żywy. Nie rób mi krzywdy, ale daj mi jeść i pić, abym prędko wyzdrowiał i odzyskał utracone siły. Jestem orłem Króla Słońca. Mój król

kazał mi porwać najpiękniejszą Urnę, córkę Króla Chmur, i przynieść ją do słonecznego pałacu. W drodze zdarzyło mi się nieszczęście. Leciałem nocą i potłukłem się o sterczące wierzchołki skał. Król Chmur sprawił, że zabłądziłem we mgle i w ulewie.

Jednooki młodzieniec ucieszył się z tych wieści o Królu Słońca, a zmartwił się nieszczęśliwym przypadkiem orła.

Rzekł więc:

– Spieszę do krainy Króla Słońca, aby tam zdobyć gałązkę z jego cudownego drzewa. Ale nie porzucę cię w biedzie. Będę karmić ciebie, poić i pielęgnować, aż rany twoje wygoją się i powrócą siły.

– A ja ci dopomogę – powiedział orzeł – i zaprowadzę do krainy mego króla, ale wiedz, że nikt nie może zerwać gałązki ze wspaniałego Drzewa Słońca bez wiedzy króla. Poza tym drzewa tego strzegą cztery białe psy, których oczy miotają błyskawice, a szczekanie tych psów – to grzmoty i pioruny. Sam ich widok jest już tak przerażający, że nogi ze strachu wrastają w ziemię.

– To nic – powiedział Jednooki. – Jakoś dam sobie z tym radę. Myślę, że szczekanie tych psów nie jest tak bardzo głośnie, skoro nie słyhać go nigdy tu, na ziemi.

– O, mylisz się, bardzo się mylisz! – powiedział orzeł. – Kiedy słyszymy na ziemi grzmoty i widzimy błyskawice, to właśnie jest głos owych czterech psów i odbłask ich przerażających spojrzeń. Zazwyczaj złoścą się tak na Króla Chmur, który potrząsa swoim Drzewem Deszczu. Od tego potrząsania deszcz rosnący na gałęziach osypuje się i pada na ziemię, a wtedy Król Słońca musi z niej uciekać.

– Cóż więc mam robić – zapytał Jednooki – aby zdobyć gałązkę z Drzewa Słońca?

– Musisz, mój kochany – odrzekł orzeł – wyświadczyć Królowi Słońca wielką przysługę. Jeśli dokonasz tego, to król sam podaruje ci gałązkę, byleś się tylko nie uląkł straszliwych psów. Gałązka będzie twoja, a trzeba ci wiedzieć, że uzdrowia ona chorych, a zmarłym przywraca życie.

– Dobrze więc! – ucieszył się Jednooki. – Jak tylko wyzdrowiejesz, wyruszymy do Krainy Króla Słońca.

– O, nie! Nie tak prędko – odpowiedział orzeł. – Nie mogę zjawić się przed obliczem króla bez pięknej Urmy, którą kazał mi porwać. Daj mi jeść i pić, a kiedy powrócę do zdrowia, wyruszę z tobą najpierw do Króla Chmur, aby porwać jego córkę. Wtedy dopiero pomkniemy do Króla Słońca.

Jednooki młodzieniec zaczął karmić chorego orła i poić. Przynosił mu upolowane u stóp góry dzikie króliki i wodę ze źródła. Aż po dziewięciu dniach orzeł ozdrowiał całkiem i sił miał już tyle, że mógł latać. Załopotał wielkimi skrzydłami i rzekł do Jednookiego:

– Wleż na mój grzbiet. Polecimy do kraju Króla Chmur. Tam dopomożesz mi w porwaniu królowny.

Wsiadł więc Jednooki na grzbiet orła, a ten zerwał się do lotu. Lecieli tak wiele tysięcy mil, aż wreszcie dotarli do krainy Króla Chmur. Jeszcze byli wysoko, gdy zobaczyli szaroniebieskie połacie mgły, sine chmury i zimną jak szkło ziemię. Orzeł zniżył swój lot i osiadłszy na wilgotnej ziemi, odezwał się do Jednookiego:

– Niedaleko stąd rośnie drzewo Króla Chmur – Drzewo Deszczu. Teraz zamienię cię w złotego węża. Kiedy piękna Urma zechce cię schwytać, uciekniesz i powrócisz tutaj. A reszta należy do mnie.

Rzekłszy te słowa, orzeł splunął trzy razy, a po trzecim splunięciu Jednooki zamienił się w złotego, pokrętnego węża i popęłznął ku siedzibie Króla Chmur. Ujrzał tam ogromne drzewo. Na jego gałęziach wisiały jak przezroczyste gruszki – wielkie krople wody. To były deszczowe owoce tego drzewa. W pobliżu siedziały cztery piękne dziewczyny. Były to córki Króla Chmur.

Najbardziej smutną i zachmurzoną minę miała najpiękniejsza z nich, ostatnia córka króla. Smutno jej było i pochmurno, bo wszędzie wokół było szaro, sino i ciemno, wilgotno, wietrznie i chłodno. Królowa tęskniła za małym choćby promykiem słońca, ale tu, w pobliżu siedziby jej ojca, nigdy nie bywało słonecznie. Kiedy dostrzegła złotego węża, klasnęła z radością w dłonie, zerwała się z miejsca i pobiegła, aby go schwytać. Był przecież złoty i świecił jak najjaśniejszy promień.

Ale wąż zawrócił i pełznąć pokrętnie oddalał się od biegnącej za nim królowy, aż dotarł do kryjówki, w której zaczął się orzeł. Wtedy wielki ptak skoczył przed siebie, schwytał w dziób złotego węża, a królowę w szpony i z łopotem skrzydeł wzbił się wysoko w powietrze. Leciał tak i leciał, aż doleciał do krainy Króla Słońca.

Skoro tylko ujrzała królowa słoneczny raj, w którym wszystko było ciepłe i jeśli nie złote – to żółte, a jeśli nie różowe – to zielone, uśmiechnęła się bardzo słonecznym uśmiechem i odtąd przestała się już chmurzyć raz na zawsze. Było tu tak pięknie, jak dotychczas bywało tylko w snach królowy, kiedy śniły jej się rzeczy, za którymi tęskniła w zimnym królestwie swojego ojca. Zgodziła się więc z radością na ślub z Królem Słońca.

Jednooki powrócił do swej ludzkiej postaci i oto nadeszła upragniona chwila – Król Słońca miał mu podarować świetlistą gałązkę. Król stanął daleko, pod Drzewem Słońca, ułamał gałązkę i czekał na nadejście Jednookiego. Spojrzał Jednooki w jego stronę i zobaczył wspinające Drzewo Słońca; liście jego – to gwiazdy, kwiaty – to księżycy, a owoce – to młodziutkie jeszcze, małe słońca. Ale na prawo, w pobliżu promieniejącego światłem drzewa, siedziały cztery białe psy i groźnie szczyrzyły zęby. Nikt, nawet najśmielszy człowiek nie zniósłby z bliska ich widoku i nie zdołałby przejść koło nich.

Ale Jednooki miał tylko lewe oko. Szedł prosto przed siebie, nie zbaczając z drogi. Słyszał grzmot, ale psów nie widział. Grzmoty stawały się coraz częstsze i coraz głośniejsze.

W pewnej chwili Jednooki aż zadrżał, bo zdawało mu się, że piorun uderzył tuż-tuż koło niego. Już chciał zawrócić i uciekać, ale nogi mu omdlały i zatrzymały go w miejscu. Potem spojrzął przed siebie lewym okiem i zobaczył drzewo pełne małych i dojrzewających słońc i księżyców. Widok ten dodał mu siły. Zaciął więc zęby i ruszył dalej. Doszedł do króla, pokłonił mu się nisko i wziął gałązkę z Drzewa Słońca.

Teraz mógł już ruszyć w podróż na skrzydłach orła. Powrócił do swojego króla i wydobyl gałązkę z torby. W tej samej chwili tak jasno zrobiło się w całym pałacu, jakby zapalono tysiąc i jeszcze tysiąc woskowych świec. Tak jasno świeciła gałązka!

Król uradował się bardzo i zaniósł gałązkę na grób królowej, żeby jej świeciła jaśniej od świec i od tysiąca tysięcy lampek oliwnych. Ale cóż to?! Zmarła królowa ożyła, wstała z grobu i powróciła, uśmiechając się, do pałacu. Taka była czarodziejska moc gałązki, że chorym przywracała zdrowie, a zmarłym – życie.

Jednooki poślubił królowę, która pokochała go bardzo i podziwiała za to, że tak szczęśliwie i z taką zdobyczą powrócił z niebezpiecznej podróży. Przecież spisał się, jak by nikt nie potrafił, choćby miał sto oczu w głowie! Pożegnali orła, który odleciał z powrotem do Królestwa Słońca, i żyli szczęśliwie. A król przestał się martwić i włożył wreszcie na głowę koronę tak jak należy – kolcami do góry – na znak szczęścia i radości.

Od tego czasu nikt nie umarł w tym kraju, bo kiedy tylko kogoś śmierć miała spotkać, gałązka z Drzewa Słońca przywracała mu życie. I ja, kiedy poczuję, że kiepsko jest ze mną, pójdę do tego kraju, żeby powrócić stamtąd w zdrowiu, jakiego życzyłbym każdemu.

O bocianie ze złotym piórkiem

Żył raz biedny rybak w chałupce nad rzeką. Póki był młody, lubił mgły wstające nad wodą. Ale później choroba położyła go do łóżka i wcale nie mógł się poruszać. A kiedy wstawała mgła, bolały go wszystkie kości, więc przestał ją lubić.

Byłby biedny rybak umarł z głodu i osłabienia, gdyby nie jego piękna córka. Wczesnym rankiem szła nad pobliską rzekę, aby łowić ryby, a potem sprzedawała je w miasteczku.

Pewnego dnia przyleciał bocian i usiadł na dachu rybackiej chałupki. Godzinami przyglądał się dziewczynie zajętej połowem ryb. Kiedy ruszała w stronę miasteczka z koszem pełnym szczupaków, okoni i płoci, bocian klekotał wesoło i sfruwał z dachu, a dziewczyna rzucała mu parę tłustych ryb.

Minęło lato i kończyła się jesień. Bociany i jaskółki odleciały do dalekich krajów, gdzie lato nie kończy się nigdy. Tylko bocian ze strzechy rybackiej nie odleciał. Przyglądał się swoim braciom kołującym po niebie przed zamorską podróżą, ale nie przyłączył się do nich.

Kiedy dnia pewnego jak zwykle córka rybaka powracała z rybami znad rzeki, bocian przyleciał do niej i przemówił ludzkim głosem:

– Pozostanę z wami przez całą zimę, jeśli co dzień dasz mi rybkę albo kawałek mięsa i pozwolisz mi zamieszkać w waszej izbie.

– Chętnie! – odpowiedziała dziewczyna. – Zapraszam cię z całego serca, bo już martwiłam się, że nas zechcesz porzucić na długą zimę. Chodź do naszej izby, a będziemy się z tobą dzielić wszystkim.

W odpowiedzi bocian zaklekotał z radością i rzekł:

– Jesteś dobrą dziewczyną. Zasługujesz na to, aby być szczęśliwszą, niż jesteś.

Zamieszkał bocian w chałupce rybaka i co dzień dostawał od dziewczyny więcej ryb i mięsa, niż się spodziewał. Rankiem wychodził razem z córką nad rzekę i przypatrywał się jej przez cały czas połowów, a wieczorem, kiedy dziewczyna siadała przy chorym ojcu, stawał na jednej nodze koło łóżka i przysłuchiwał się rozmowom.

Tak mijał czas i zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Śniegu napadało wysoko, wysoko, a rzekę okrył lód.

Smutno się stało w chałupce rybaka.

Ryby pochowały się gdzieś głęboko i dziewczyna coraz częściej wracała do domu z pustymi rękami.

Pewnego wieczora siedziała wraz z ojcem w izbie, oplakując własną biedę. Mówiła:

– Przecież nikogo nie skrzywdziliśmy. Za co nas Bóg tak ukarał?

Otworzył bocian dziób i powiedział:

– Jesteście dobrzy, najlepsi ludzie, jakich spotkałem! Opowiem wam więc dzieje moje i poradzę, co macie zrobić, aby uchronić się od nędzy i głodu. Posłuchajcie mojej opowieści...

Daleko stąd, tak daleko, że gdyby ktoś wyruszył prosto z własnej kołyski, ledwo zdążyłby tam dotrzeć na swój pogrzeb – jest kraj, gdzie bezustannie świeci i grzeje słońce. W kraju tym jest wielki las. W tym lesie mieszkał człowiek świątobliwy. Było to tysiąc lat temu albo i więcej. Człowiek ten całymi dniami modlił się do słońca i pilnował, aby wielki ogień płonący

na polanie nigdy nie wygasał. Co roku schodzili się ludzie z okolicy i z dalekich nawet stron do świętego starca, przynosili mu żywność, a za to dostawali po parę rozżarzonych węgielków. I ja tam byłem. Mieszkałem wówczas nad wielkim jeziorem w pobliżu świętego ognia. Gdy nie łapałem ryb, lubiłem przychodzić do starca i wpatrywać się w płomienie. Świętobliwy starzec polubił mnie i przyjął do swojego szałas. Przebywałem tam wiele, wiele lat, aż kiedyś starzec rzekł do mnie:

Jesteś ze mną już tak długo, od tak dawna umilasz mi moją samotność, że chcę ci się odwdziżyć za to. Jesteś ptakiem, a ptaki nie są wieczne. Wkrótce już nadejdzie koniec twojego bocianiego życia. Ale ja nie chcę, aby się tak stało. Powinieneś żyć jeszcze wiele tysięcy lat i uszczęśliwiać dobrych ludzi. Chodź tu bliżej, a ja rzucę cię w święty ogień. Nie bój się, nic złego ci się nie stanie. Kiedy spłoniesz i zamienisz się w popiół, wtedy znowu powrócisz do życia. Pod lewym skrzydłem będziesz miał piórko ze szczerego złota, które można wyrwać. Skoro się je wyrwie, wyrośnie na tym miejscu nowe złote piórko i tak odrastać będzie bez końca, choćbyś wyrwał i wyrwał. To piórko możesz podarować tylko dobremu człowiekowi, aby go uszczęśliwić. Każdy bowiem zwykły kamień dotknięty takim piórkiem zamienia się w bryłę złota”.

Powiedziawszy te słowa świętobliwy starzec wrzucił mnie do ognia. Po chwili zamieniłem się w popiół, a po dwóch chwilach wyfrunąłem z ognia – znowu żywy, ale teraz już miałem złote piórko i jeszcze tysiące lat życia przed sobą. Rozejrzałem się wokół, chcąc podziękować świętobliwemu starcowi. Ale on znikł bez śladu i nigdy nie widziałem go więcej. Pofrunąłem w świat. Minęło wiele czasu, zanim was, dobrzy ludzie, spotkałem. Teraz chcę wam dać szczęście.

Rzekłszy te słowa, bocian podszedł do córki rybaka, uniósł lewe skrzydło i powiedział:
– Wyrwij złote piórko!

Dziewczyna bez trudu odnalazła wśród innych piór – złote i wyrwała je. Uradowana podbiegła z piórkiem w dłoni do chorego ojca. Gdy z radością oglądali skarb, bocian znikł bez śladu i nigdy go już nie widzieli. Pewnie pofrunął dalej, aby szukać po świecie dobrych ludzi.

Rybak i jego córka mieli teraz dzięki złotemu piórku tyle pieniędzy, że wkrótce niczego im nie brakowało. Stary rybak wezwał do siebie lekarzy, którzy prędko go uzdrowili, tak że mógł sam łowić ryby. Bo choć był bogaty i nie musiał już zarzucać sieci, bardzo kochał swoje rybackie zajęcia i za nic w świecie nie chciał ich porzucić.

*Baśń moja się skończyła wreszcie.
Niech idzie spać, kto ma ochotę!
I ja bym był szczęśliwy – wierzcie,
gdybym miał takie piórko złote!*

Wszystkowidzące lusterko

Był raz Cygan, który całkiem schłopiał. Ani wędrował, ani grał na cymbałach, tylko był parobkiem u bardzo srogiemu pana. Sam nie wiem, czy skąpy był ten pan, czy też hojny, bo wprawdzie chleba Cyganowi skąpił, ale batów dawał pod dostatkiem. Kiedy przebrał już miarę i w swoim sknerstwie, i w swojej szczodrośliwości, Cygan postanowił porzucić go i powędrować w świat zwyczajem swych ojców i dziadów. Bo tak mówił sobie:

„Jeśli już ma mi brakować strawy – niech mi czasem grzybów i jagód poskąpi las. Jeśli mam być zbity i schłostany – niech mnie czasem zbije i wychłosta grad. Co będzie – to będzie, idę”.

I poszedł. Szedł brzegiem rzeki głodny i zmęczony. Nagle zobaczył wielką, srebrną rybę leżącą na piasku. Już chciał ją podnieść, aby przyrządzić sobie z niej pożywną strawę, gdy srebrna ryba odezwała się:

– Nie zabijaj mnie, ale wrzuć z powrotem do rzeki. Tylko przedtem zerwij ze mnie jedną srebrną łuskę. Kiedy będziesz w potrzebie, spal ją a ja zjawię się, aby ci pomóc.

Cygan zerwał jedną łuskę i schował ją do torby, a potem wrzucił rybę do wody. Plusnęło – i tyle ją widział. Poszedł dalej i wkrótce zbliżył się do drzewa, na którym młode orły siedziały w gnieździe i krzyczały wniebogłosem ze strachu. Co się stało? Chytry lis próbował wspiąć się po pniu na drzewo, aby pozagryzać ptaki.

Zlitował się Cygan nad orlętami i odpędził lisa. Wtedy jeden z orłów zawołał:

– Wyrwij jedno pióro z mojego skrzydła i kiedy będziesz w potrzebie spal je, a ja zjawię się, aby ci pomóc.

Cygan wyrwał mu jedno pióro, schował je do torby i powędrował dalej. Zmrok już zapadł, kiedy Cygan spotkał idącego naprzeciw stwora, który był na poły człowiekiem, na poły zaś wielką mrówką. Był to Król Mrówek, zbolały bardzo i cierpiący, bo użądliła go pszczoła. Odezwał się do Cygana:

– Przyjacielu, wyciągnij żądło pszczoły z mojego policzka, a wynagrodzę cię za to sownie!

Cygan wyjął żądło z twarzy Króla Mrówek, a ten rzekł:

– Wyrwij jeden włos z mojej głowy i kiedy będziesz w potrzebie, spal go, a wtedy ja zjawię się, aby ci pomóc.

Cygan wyrwał mu jeden włos, schował do torby i ruszył w dalszą wędrowkę. Szedł, aż dotarł do kraju, w którym żyła piękna królewna. Rodzice jej ogłosili, że ten tylko zostanie mężem ich córki, kto tak się przed nią schowa, że w żaden sposób nie będzie go mogła znaleźć. Nikomu się to jeszcze nie udało, bo królewna miała taki węch, taka była sprytna i wścibska, że odnajdywała każdego. A kiedy i węch, i spryt, i wścibskość nie mogły wskórać, królewna zaglądała do swego czarodziejskiego lusterka, w którym widać było wszystko, co się znajduje na całym świecie.

Kiedy biedny Cygan ujrział piękną królewnę, zapragnął ubiegać się o jej rękę.

Skoro zgodziła się, pobiegł nad rzekę i spalił srebrną łuskę. W tejże chwili wynurzyła łeb z wody wielka ryba.

Cygan poprosił:

– Rybo, srebrna rybo, ukryj mnie tak daleko, żeby mnie nikt nie mógł znaleźć!

Wielka ryba otworzyła swoją paszczę, a Cygan wskoczył do jej wnętrza. Wówczas ryba pograżyła się wraz z nim w głębinie. Poszperała królowna tu i tam, zajrzała do wszystkich kryjówek i zakamarków, do każdej dziupli, a nawet do lisiej nory, ale nigdzie nie znalazła Cygana.

Zajrzała więc do wszystkowidzącego lusterka, ale i z tego nic nie wyszło. Zagniewana, już chciała potłuc lusterko za jego gapiostwo, gdy nagle zobaczyła w nim rybę siedzącą na dnie rzeki. Z rybiej paszczy wystawał pomponik z czapki, którą Cygan miał na głowie. Nazajutrz Cygan stanął się przed obliczem królowny, pewien, że nie zdołała odgadnąć, w jakiej kryjówce się schował.

Ale królowna powiedziała:

– Byłeś w rybiej paszczy! Nie będę cię jednak karać, jak ukarałam twoich niezdarnych poprzedników, bo dotąd nikt jeszcze nie ukrył się przede mną tak dobrze i zmyślnie. Spróbuj się ukryć znowu, ale pamiętaj, że gdybym cię odnalazła po raz drugi, poniósłbyś najsrozsą karę.

– Dobrze – odpowiedział Cygan. – Schowam się znowu, a jeśli odnajdziesz mnie, zrób ze mną, co ci się będzie podobało.

I poszedł do lasu. Tam wyciągnął z torby orle pióro, spalił je, a kiedy nadleciał orzeł, Cygan powiedział mu:

– Orle, wielkoskrzydły orle, ukryj mnie tak daleko, żeby mnie nikt nie mógł znaleźć!

Orzeł wziął go na grzbiet i uniósłszy wysoko, wysoko, poleciał aż do samego nieba.

Piękna królowna zajrzała znowu do swego lusterka i po długim czasie ujrzała wysoko w niebie wielkoskrzydłego orła i zwieszający się z jego skrzydła pomponik czapki, którą Cygan miał na głowie. Nazajutrz przyszedł Cygan, uśmiechając się z dumą, bo był zupełnie pewien, że tym razem królowna nie zdołała go odnaleźć. Ale królowna powiedziała:

– Byłeś na grzbiecie orła! Przynależę cię i sobie, że cię ukarzę, powinnam więc dotrzymać słowa. Ale trudno mi będzie to zrobić, bo czuję, że gdziekolwiek się ukryjesz, jesteś jednocześnie w moim sercu. Spróbuj jeszcze raz, już na pewno ostatni.

Poszedł Cygan z nadzieją, że może za trzecim razem wreszcie mu się poszczęści. Wyszedł w pole i kiedy spalił włos, ukazał się Król Mrówek. Cygan zawołał:

– Królu Mrówek, szeszcionogi królu! Ukryj mnie tak, żeby mnie nikt nie mógł znaleźć!

Król Mrówek przywołał wszystkie mrówki, należące do jego wielkiego królestwa, i kazał im kopać podziemny tunel. Mrówki wykonały rozkaz w okamgnieniu. Tunel był długi i prowadził aż pod fotel, na którym siedziała królowna.

Cygan powędrował pod ziemią, aż dotarł tunelem do końca. Tam usiadł sobie cichutko pod fotelem królowny. A ona właśnie spojrzała w lustro, które zamgliło się i nagle odbiło jej własne serce.

– To znaczy – powiedziała królowna do lustra – że Cygan zamieszkał w moim sercu. Prawda, kocham go. Ale gdzie jeszcze jest poza moim sercem? Przecież musiał się gdzieś ukryć!

Ale lustro odbijało ciągle tylko serce królowny. A serce to, z początku ciche, z każdą chwilą stawało się bardziej niespokojne i biło coraz szybciej. To królowna niepokoiła się o los Cygana, którego nigdzie nie można było odnaleźć.

Wreszcie wpadła w rozpacz, myśląc, że Cyganowi stało się coś złego. Rzuciła lusterko w ką, aż się roztrzaskało na drobne kawałki, i zawołała:

– Gdzie jesteś, mój kochany?!

– Tutaj! – odezwał się głos spod fotela.

Wyskoczył Cygan z ukrycia i ucałował ucieszoną królownę. Jeszcze tego dnia król i królowa urządzili huczne wesele swojej córce i Cyganowi. Na królewskim stole było mnóstwo jedzenia, tak że Cygan najadł się do syta i jeszcze ugościł pieczonym mięsiwem przybyłych na wesele gości. Była wśród nich srebrna ryba, był wielkoskrzydły orzeł i Król Mrówek. Tylko gospodarzowi, który kiedyś nie szczędził Cyganowi kijów, nie dano nic i wypędzono go za granicę.

Mowa zwierząt

W pewnym lesie, niedaleko stąd, mieszkał młody Cygan, który nie miał ojca ani matki. Co dzień pasał on na dzikich łąkach konie całego taboru. Kiedy pewnego razu przyznał je, jak zwykle, na pastwisko, usiadł na trawie i wyciągnął z kieszeni kawałek chleba, aby się też posilić. Nagle przybiegła do niego chora ruda mysz i rzekła:

– Kochany, daj mi kawałeczek chleba! Jestem chora i nie mam tyle siły, żeby zdobywać sobie pożywienie.

Cygan dał myszy odrobinę chleba, a mysz schowała w pyszczek kęs i zniknęła w norce.

Nazajutrz mysz przyszła znowu i dostała kęs chleba jak poprzedniego dnia. Tak było co dzień przez tydzień cały, aż wreszcie, ósmego dnia, mysz rzekła do Cygana:

– Wyzdrowiałam i mogę już sama wyszukać sobie coś do zjedzenia. Jestem biedna i nie mam czym zapłacić ci za twoje dobre serce. Ale jeśli chcesz, to sprawię, że będziesz rozumiał mowę wszystkich zwierząt. Pod moim językiem znajdziesz trzy włoski: wyrwij jeden z nich i potknij.

Rozdziawiła mysz szeroko swój mały pyszczek, a Cygan wyrwał włoskę i połknął go. Mysz pobiegła do swojej norki, a Cygan wrócił z końmi do leśnego obozowiska. Po drodze spotkał dwa dzikie gołębie siedzące na gruszy i usłyszał, jak jeden z nich mówił do drugiego:

– Gdyby ten biedny Cygan wiedział, że wilki uradziły porwać jutro kilka koni na pastwisku, nie wyganiałby ich wcale!

Gdy to Cygan usłyszał, postanowił nie wyprowadzać koni nazajutrz na pastwisko. Uparł się i powiedział wodzowi Cyganów, że zostanie z końmi przez jeden dzień w lesie. Wódz zbił go batogiem i wyrzucił z cygańskiego obozu, a swemu synowi kazał pognać konie na łąkę. Ale wilki nie dały długo na siebie czekać, nadbiegły ze wszystkich stron i zagryzły pięć najpiękniejszych rosnących koni.

Pożalował wódz, że wygnał biednego Cygana! Odszukał go w lesie, sprowadził z powrotem do obozowiska i przyjął go do własnego haftowanego namiotu jak rodzzonego syna.

I znów zaczął młody Cygan pasać konie na dzikich łąkach. Pewnego razu usłyszał, jak przy drodze mówił jeden gawron do drugiego:

– Wilki postanowiły ukraść wieśniakom wszystkie owce tej nocy!

Pobiegł Cygan do wsi i ostrzegł ludzi, radząc, by się mieli nocą na baczności. Wszyscy wieśniacy zaczęli się na wilki i pozabijali je co do nogi. A w nagrodę każdy dał Cyganowi po jednej, a niektórzy nawet po trzy owce. Miał już więc spore własne stadko. Owce wkrótce rozmnożyły się i ze stadka zrobiło się całe stado.

Raz siedział Cygan u wiejskich opłotków i usłyszał rozmowę dwóch kotów. Mówiły:

– Mój pradziad mówił mojemu dziadkowi, a mój dziadek ojcu, a ojciec powiedział mnie, gdzie są zakopane skarby. Są one w tym lesie do tej pory, bo ludzie o nich nie wiedzą, więc nie wykopali ich jeszcze.

– Gdzie są te skarby? – zapytał drugi kot.

– Zaraz ci wskażę dokładnie do nich drogę. Trzeba jechać prosto przed siebie, aż się dojedzie do stacji kolejowej, co się zwie Zaręby Kościelne. Potem trzeba iść w stronę Gąsiorowa przez las...

Jeszcze więcej powiedział drugi kot, wskazał dokładnie miejsce ukrycia skarbów, ale ja nie powtórzę tego, bo muszę już kończyć. Trzeba wam wiedzieć, że ja też spotkałem kiedyś chorą rudą mysz i dzięki temu słyszę właśnie w tej chwili, że mój pies każe mi zamilknąć, jako że nazbyt się rozgadałem...

*Gdy pies każe – trudna rada
kończyć moją baśń wypada.*

O biednym koszykarzu i o trzech źródłach

W maleńkiej górskiej wiosce żył raz biedny Cygan-koszykarz. Umiał on wyplatać z wikliny koszyki jak mało kto. A miał dużo czasu na plecenie koszy, bo nikt z sąsiadów go nie odwiedzał. Stronili od niego, bo był strasznie brzydki, kulawy i zezowaty, swoim wyglądem przypominał im diabła. Cóż miał zrobić biedny koszykarz! Przecież to nie jego wina, że był tak brzydki. Za to serce miał dobre i koszyki wyplatał przepiękne. Ale sąsiedzi tak się zapatrzyli na jego brzydotę, że nie zauważali wcale jego dobrego serca. Jeśli nawet któryś z nich dostrzegł, że koszykarz wyplata dla dzieci śliczne malusieńkie koszyczki za darmo i dzieli się z głodnym ostatnim kawałkiem chleba – myślał, że nie z dobroci, ale z głupoty mu się to bierze, i nazwali go Głupim Brzydalem.

Mieszkał więc koszykarz sam, samiutki w małej chatce na skraju wsi i codziennie wędrował do lasu, aby naciąć sobie łożyny na kosze, które potem sprzedawał w niedalekim miasteczku.

Ale w końcu tak mu dokuczili źli sąsiedzi, że sprzedał za parę groszy swoją chałupkę i ruszył samotnie w świat. Zapuszczał się daleko w las, wędrował, ścinał wierzbowe gałązki, plótł z nich kosze i sprzedawał je ludziom z podleśnych wiosek.

Pewnego dnia znalazł się wśród leśnych bezdroży, gdzie zobaczył gałązki piękniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Naścinał ich trochę, związał w snopek i poszedł dalej, jeszcze głębiej w las. Zobaczył tam gałązki jeszcze ładniejsze. Im głębiej wchodził w las, tym piękniejsze znajdował gałązki. Ledwo naciął pęk jednych, już musiał je wyrzucać, bo oto dostrzegał takie, które podobały mu się stokroć bardziej od poprzednich.

Tak zagłębiał się w las coraz bardziej, aż pod wieczór natknął się na gałązki całkiem srebrne. Prędko wyrzucił swój snopek i naścinał duży pęk samych srebrnych. Przeszedł jeszcze dwie staje i znalazł mnóstwo złotych gałązek. Cisnął więc na ziemię srebrną wiklinę, aby ścinać złotą. Kiedy miał już sporą wiązkę złotych gałązek, zauważył, że tuż u jego stóp płynie leśny strumień. Poszedł jego brzegiem zarośniętym gęstwiną paproci, aż dotarł do źródła. Sterczała tam wielka skała, a z jej wnętrza wytryskał pośpiesznie i gwałtownie strumień wody – biały jak mleko od tego pośpiechu i gwałtowności. Obok skały siedziała dziewczyna, piękna jak Królewna Słońca. Woda, zbliżając się do niej, uspokajała się, cichła i przezroczyściła, to okrywając ją łagodną falą, to znów opuszczając jak rybę wyrzuconą na piasek. Wokoło było już zupełnie ciemno, tylko tam, gdzie siedziała dziewczyna, świecił złoty krąg blasku.

Koszykarz podszedł do dziewczyny i rzekł drżącym głosem:

– Zabłądziłem w lesie i nie mogę znaleźć drogi, która by mnie stąd wyprowadziła...

Dziewczyna popatrzyła chwilę na niego i odrzekła:

– Kiedy przyszedłeś na świat, z pewnością gwiazda spadła, wróżąc ci szczęście! Bo trzeba mieć wielkie szczęście, żeby znaleźć moje źródło. Kto się w nim wykąpie, staje się tak piękny, jak ja. Pozwolę ci, byś się zanurzył w tej wodzie pod warunkiem, że nikomu nie powiesz o tym ani słówka.

Koszykarz przysięgł, że nikomu nie zdradzi tajemnicy, i wszedł do wody. Po chwili dziewczyna zawołała:

- Wyjdź z wody i przejrzyj się w tym lusterku! Wyszedł więc na brzeg i zajrzał do lusterka.
- To nie jestem ja! – zawołał.

A dziewczyna odrzekła:

- Piękny jesteś teraz.

I uśmiechnęła się do niego, a złoty krąg blasku wokół niej zajaśniał mocniejszym światłem. Cygan ze zdumieniem spostrzegł, że ubrany jest we wspaniałe szaty. Kiedy ochłonął ze zdziwienia, zapytał:

- Czy nie boisz się mieszkać w lesie sama?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna. – Bardzo rzadko tu ktoś zagląda, a zresztą nikt nie mógłby mi uczynić krzywdy. Żyję króciutko. Wczoraj przyszłam na świat, a za rok zamienię się w pianę i zniknę w wodzie. Wtedy inna dziewczyna powstanie z wody, aby po roku też zginąć jako piana, i tak się dzieje rok po roku bez końca.

Zasmucił się koszykarz tą opowieścią, bo pokochał dziewczynę i nie chciał się z nią rozstawać. A kiedy pomyślał sobie, że za rok już jej nie będzie, tylko biała piana rozplynie się na wodzie – płakać mu się zachciało ze smutku.

- A nie możesz uciec stąd i poślubić człowieka? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała dziewczyna. – My możemy poślubić tego człowieka, który znajdzie Źródło Mądrości, napije się z niego wody i nam jej da. Wtedy stałyby się z nas dziewczyny nie różniące się od innych dziewczyn, tylko piękniejsze od nich. Ale to się zdarza bardzo, bardzo rzadko, by któraś z nas spotkała takiego człowieka!

- Gdzie znajduje się Źródło Mądrości? – spytał koszykarz.

- Niestety nie wiem gdzie – odrzekła dziewczyna.

– A choćby było nawet na końcu świata – zawołał koszykarz – to i tak je odnajdę i powrócę do ciebie, zanim rok minie! Piękna dziewczyna uśmiechnęła się i rzekła:

– Idź więc. Będę tęsknić za tobą. A jeśli szczęście będzie ci sprzyjać i odnajdziesz źródło, to przynieś i dla mnie trochę wody z niego.

Zasmucony bardzo odszedł Cygan w las, nie wiedząc, czy los mu pozwoli zobaczyć jeszcze prześliczną dziewczynę. Bał się, że jeśli nie zdąży powrócić zanim rok minie, już jej nie spotka u Źródła Piękności.

Wiele dni przeszło. Cygan wędrował po świecie, krążył i błdził w wielkich lasach, a Źródła Mądrości nie mógł jakoś odnaleźć. Szedł lasami, drogami i bezdrożami, szedł po łąkach i polach, po górach i nizinach, aż znalazł się w pustynnej okolicy, gdzie nie było ani drzew, ani nawet trawy. Słońce przetaczało się tu nisko – niziutko, toczyło się po samej ziemi, żłobiąc w niej czarną, wypaloną koleinę. Ale w tym miejscu, gdzie słońce stygło już i zachodziło, koleina kończyła się, zjawiały się pierwsze zioła i jałowce, a za nimi tryskające ciepłe źródło. Woda w nim świeciła jak szczere złoto. U źródła siedziała gruba i tłusta kobieta, pogrążona w drzemce.

Piękny koszykarz zbliżył się do niej i spytał:

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest Źródło Mądrości?

Kobieta ocknęła się z drzemki, spojrzała na Cygana i rzekła:

– Cóż mnie obchodzi Źródło Mądrości? Tu jest Źródło Bogactwa! Ten kto się zanurzy w jego wodzie, staje się bogaczem, bo każdy kamień, którego dotknie, zamienia się w prawdziwe złoto... Ach, jaka głodna jestem!

To powiedziawszy, gruba kobieta ugryzła się we własne ramię, które stało się w tej chwili jeszcze grubsze i bardziej tłuste niż było. Kobieta oblizwała się łakomie, schwyciła kawałek złota, spróbowała rozgryźć, ale złoto było za twarde i nie nadawało się do jedzenia. Wypluła je więc i rzekła:

– Jesteś tak piękny, że pozwolę ci, abyś się zanurzył w źródle pod warunkiem, że nikomu nie powiesz ani słowa o tym.

Piękny Cygan przysiągł, że zachowa to w tajemnicy, i zanurzył się w wodzie. Kiedy wyszedł na brzeg, gruba kobieta spała już twardym snem. Ubrał się więc i ruszył w dalszą drogę.

Prawie cały rok już minął od rozstania z piękną dziewczyną, a Cygan nie znalazł Źródła Mądrości. Gdziekolwiek był, ludzie dobrze się do niego odnosili, schlebiali mu i mówili same miłe i przyjemne rzeczy, a wszystkie dziewczęta uśmiechały się do niego. Ale on nie zważał na to, bo wiedział, że dzieje się tak dzięki jego urodzie i pięknym strojom, w jakie był przyodziany. Myślał tylko o jednym: o Źródle Mądrości. Pytał po drodze to tego, to owego przechodnia, ale nikt nie wiedział, w którą trzeba iść stronę, by je znaleźć.

Pewnego dnia raniem znalazł się Cygan na szerokiej łące i zobaczył białego jelenia o gałęzistych, złotych rogach. Jeleń szedł powoli w stronę pobliskiego lasu. Cygan poszedł za nim i w południe znalazł się w górach, gdzie jeleni znikł mu nagle z oczu i przepadł bez śladu jak mgła, kiedy słońce przygrzeje.

Nie widać było żadnej drogi, dróżki ani nawet ścieżynki leśnej. Cygan szedł na chybił trafił przed siebie, aż usłyszał szum leśnego źródła. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył starca siedzącego przy źródle, z którego spływała spokojnie woda tak przejrzysta jak pogodne powietrze. Zapytał Cygan starca:

– Czy to jest Źródło Mądrości?

– Tak – odpowiedział starzec. – Wiem o tym, że go poszukujesz. Napij się teraz wody ze Źródła i – bądź mądry!

Cygan napił się wody mądrości i zaczerpnął jej trochę do złotej butelki, aby ją zanieść swojej ukochanej dziewczynie czekającej u Źródła Piękności. Potem wziął w dłoń duży kamień, przemienił go w szczerę złoto i chciał je darować starcowi, ale ten uśmiechnął się i rzekł:

– Zatrzymaj sobie złoto! Gdybym chciał, mógłbym, kierując się mądrością, zdobyć wielkie bogactwa. Ale poprzestaję na tym, co mam, i więcej mi nie trzeba. Idź w świat i ucz ludzi, aby się stali mądrzejsi. Może ci się uda?...

Poszedł Cygan w las i dzięki wodzie mądrości znalazł najkrótszą drogę powrotną. Szedł prędko, nie zatrzymując się, nie nocując nawet po drodze. Szedł dzień i noc, a w marszu oglądał długość cieni drzew, obliczał dni i noce, które minęły. Okazało się, że właśnie mija rok od chwili rozstania się z piękną dziewczyną spoczywającą u złotej skały. Przeraził się, że może już być za późno, i przyspieszył kroku.

Wreszcie usłyszał szum strumienia leśnego, który rodził się w Źródle Piękności. Zaczął biec brzegiem strumienia, gdy nagle zobaczył płat białej piany spływającej wraz z nurtem. Zachwiał się biedny koszykarz na nogach i zrozpaczony rzucił się w sam środek rwącego strumienia.

Zmagając się z bystrym prądem, dopływał coraz bliżej do piany.

„Tylko strzęp piany został mi po mojej dziewczynie!” – pomyślał i nie wiedział, czy to fale strumienia zalewają mu oczy, czy też jego własne łzy. Chciał schwycić w dłoń choćby małą garstkę spienionej wody, gdy nagle ujrzał, że to tylko światło księżycy odbija się w wodzie. Wyskoczył więc na brzeg i pobiegł do źródła.

Koło skały siedziała, jak przed rokiem, dziewczyna. Nic się nie zmieniła, była piękna jak dawniej. Tylko blask, który otaczał ją kręgiem, przygasł i ledwo, ledwo świecił. Uśmiechnęła się do Cygana i szepnęła cichutko:

– Myślałam, że już nie wrócisz, a czas mój już się kończy. Za parę chwil zamienię się w pianę i zniknę.

– Nie znikniesz! – zawołał Cygan. – Pij!

I podsunął jej do ust złotą butelkę z wodą zaczerpniętą u Źródła Mądrości. W tej samej chwili dziewczyna odetchnęła cichutko. Był to ostatni oddech rusalki. Potem odetchnęła głęboko pełną piersią. Był to pierwszy człowieczy oddech dziewczyny. Padli sobie w objęcia i ucałowali się.

Zanim jeszcze słońce wzeszło, Cygan zrobił z wodnej trzciny dwa piękne kosze, do których nazbierali we dwoje grzybów na ucztę weselną, a potem utkał z traw dla dziewczyny zieloną sukienkę i rankiem powędrowali do miasta, aby wziąć ślub.

Co było z nimi dalej, nie wiem, bo bajka skończyła się w chwili, gdy wychodzili na gości-niec z gęstwiny leśnej. Ale myślę, że żyją szczęśliwie i że Cygan do dziś uczy ludzi mądrości, i jak się tak rozglądam po świecie, to mi się zdaje, że wiele jeszcze będzie miał z tym roboty.

O biednym Bakrengro

Przezwalili go ludzie: Bakrengro-Owczarek, bo od maleńkości pasał owce wsiowym gospodarzom. Kiedy pewnego dnia, jak zwykle, pognął owce na hale, wilk porwał mu jedną białą owieczkę ze stada. Przestraszył się Bakrengro, że gospodarz zatłucze go za to kijami, i postanowił nie wracać do wsi. Kazał psom odprowadzić stado do domu, a sam poszedł w świat. Wędrował gdzie go nogi poniosły: z miasta do miasta, od wsi do wsi.

Po długiej wędrówce dotarł do góry, na której stał mały domek, a przed jego progiem siedziała jakaś kobieta. Kiedy spostrzegła przybysza, spytała:

– Dokąd to tak idziesz sam jeden?

– W świat – odpowiedział.

– A co chcesz robić w świecie? – zapytała znowu.

– Nie wiem, co – odrzekł Bakrengro. – Nie wiem nawet dobrze, jak ten świat wygląda, bo przewędrowałem dopiero mały kawałeczek świata. Ale nie mogę dłużej być tam, gdzie byłem, bo wilki porwały mi owcę ze stada. Boję się ludzi, nie darowaliby, że nie upilnowałem owieczki. Nie wróciłem już do wsi, tylko wyruszyłem w świat szukać służby.

Po tych słowach Bakrengro zapłakał z żalu, że musiał opuścić swoje rodzinne strony.

Kobieta powiedziała mu:

– Nie płacz, kochany chłopcze! Ja przeżyłam większe nieszczęście niż ty. Zła Urma porwała mi moją córkę jedynaczkę. Ja jestem dobrą Urma, ale nie mam dość mocy czarodziej-skiej, aby córkę oswobodzić. Tylko mężczyzna może pokonać złą Urma, idąc do niej na służbę. Bo zła Urma tylko mężczyzn przyjmuje do pracy.

– Słuchaj no, kobieto! – zawołał Bakrengro. – Nie mam ja żadnej pracy, żadnego zajęcia ani obowiązku. Powiedz mi tylko, którąś iść do złej Urmy, a rozprawię się z nią i uwolnię ci córkę!

– Dobrze – powiedziała dobra Urma. – Jeśli chcesz popробować, to ci dopomogę we wszystkim, co tylko jest w mojej mocy. Smutno mi, że moja pomoc nie będzie tak wielka, jak bym chciała. Nie wiem, gdzie przebywa zła Urma ani którąś iść do niej, ale i to, co ci dam, też ci się przyda. Masz tu maść cudowną, od której pękają wszystkie zamki, okowy i łańcuchy.

Dała mu trochę tej maści w skorupce od orzecha i Bakrengro wyruszył w dalszą drogę, nie wiedząc wcale, czy idzie w dobrą, czy całkiem złą stronę. Szedł tak, aż doszedł do lasu starego i gęstego. Był to las, który nie znał drwali i nigdy nie zaznał ich siekier. Kiedy umierały w nim najstarsze drzewa, wiatr kładł je na ziemi na wieczny spoczynek. W takich lasach nigdy nie spotyka się ludzi. Toteż Bakrengro zdziwił się bardzo kiedy spotkał w zaroślach starego człowieka. Był to bardzo stary człowiek bo nie mógł już stać ani chodzić, tylko leżał na mchu jak zwalone drzewo. Bakrengro pozdrowił go i spytał:

– Czy nie wiesz, ojczulku, gdzie mieszka zła Urma?

– Nie wiem – odpowiedział starzec. – Ale gdybym nawet i wiedział, nie jestem pewien, czy bym ci wskazał do niej drogę. Bo pewno zły duch w tobie mieszka i szuka złej Urmy, aby się z nią stowarzyszyć.

– Mylisz się, ojczulku! – odrzekł Bakrengro. – Szukam jej, aby ją zgładzić i uratować dziewczynę, którą porwała i uwięziła.

– A jeśli tak, to co innego – powiedział starzec. – Chętnie ci pomogę, tylko mi przykro, że pomoc moja nie będzie tak wielka, jak bym chciał, ale przyda się i to, co ci powiem. Idź prosto w głąb lasu, tam mieszka mój starszy brat. Zapytaj go, z pewnością wskaże ci drogę.

Bakrengro poszedł w las. Było tu tak gęsto, że gałęzie wszystkich drzew pozrastały się ze sobą. Pod jednym drzewem leżał stary człowiek. Miał zieloną brodę z mchów i widłaku, a wąsy jego wyrosły wysoko w górę jak dwa świerki pełne szyszek i ptasich gniazd. Bakrengro rzekł mu:

– Czy nie wiesz, dziaduniu, gdzie mieszka zła Urma?

– Nie wiem – odpowiedział bardzo stary człowiek – ale gdybym nawet wiedział, nie wskazałbym ci chyba drogi do niej. Myślę, że po to jej szukasz, aby się z nią stowarzyszyć i razem szkodzić ludziom.

– Mylisz się, dziaduniu! – zawołał Bakrengro. – Szukam jej po to, aby ją zgładzić i oswo-bodzić dziewczynę, córkę dobrej Urmy!

– A, to co innego – odrzekł bardzo stary człowiek. – Chętnie pomogę ci. Przykro mi tylko, że pomoc moja nie będzie tak wielka, jak bym chciał, ale i ona ci się przyda.

To rzekłszy bardzo stary człowiek zawołał swego sługę orła i zapytał go, gdzie jest domo-stwo złej Urmy.

Orzeł odpowiedział:

– Ona mieszka daleko stąd! Człowiek musiałby iść tam siedem lat, dniem i nocą, bez przerwy.

Wówczas bardzo stary człowiek rzekł:

– To za długo! Weź tego chłopca na grzbiet i leć z nim do domu złej Urmy!

Bakrengro usiadł na grzbiecie orła i nie zdążył podziękować starcowi, bo już leciał wysoko nad szczytami starych drzew, szybko jak wiatr. Minęło siedem dni i siedem nocy zanim Ba-krengro dostrzegł nisko w dole miasto, a w nim ogromny zamek, którego dach lśnił w słońcu ostrym blaskiem.

Wokoło zamku, na kilka mil od jego murów, nie było ani drzew, ani kwiatów, ani nawet zwykłej trawy i zielska – tylko kamienie, głazy i sterczące skały.

– Oto jest domostwo złej Urmy – powiedział orzeł, przestał łopotać skrzydłami i powoli opuścił się na ziemię w pobliżu murów zamczyska.

– Zejdz z mojego grzbietu – rzekł. – Jesteś u celu. Dalej sam sobie musisz radzić. Jeszcze tylko, zanim odlecę do mojego bardzo starego pana, chciałbym ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Zła Urma ma w swoim zamczysku siedemdziesiąt siedem pokoiów. W pokoju trzy-dziestym trzecim wisi okrągłe lustro. Urma z pewnością każe ci pójść do tego pokoju; pa-miętaj więc; nie wolno ci spojrzeć w to lustro ani na chwilę! Bo wiedz, że ten, kto by zajrzał do owego lustra, natychmiast zamieniłby się w kamień, a Urma cisnęłaby nim o ziemię z okna zamczyska.

To rzekłszy, orzeł machnął skrzydłem na pożegnanie, wzbił się w powietrze i odleciał, a Bakrengro poszedł na zamek. Urma była chuda i stara, a z uszu wyrastały jej kępki piór.

– Czego tu szukasz, łazęgo?! – krzyknęła na jego widok.

– Szukam pracy – odpowiedział. – Wędruję już wiele, wiele dni i nigdzie nie mogę jej znaleźć. Może tobie, ciotko, przydałbym się? Przyjmij mnie na służbę.

– Nie jestem dla ciebie żadną ciotką! – wrzasnęła Urma. – Ale znalazłabym dla ciebie ro-botę, jeśliś nie leń. Przyjmę cię na służbę, jeżeli będziesz umiał zrobić trzy rzeczy. Przede wszystkim musisz memu synowi, smokowi, obciąć włosy, kiedy wieczorem, jak co dzień, powróci do domu. Ale tak masz to zrobić, aby nic a nic nie zauważył. A teraz, póki go jeszcze nie ma, zanieś do piwnicy jedzenie i daj je dziewczynie, którą tam znajdziesz.

Bakrengro zabrał się do roboty. Wziął jedzenie i poszedł do piwnicy. Ujrzał śliczną dziew-czynę, która płacząc siedziała w kąci, a jej ręce i nogi spętane były żelaznymi łańcuchami.

– Nie płacz – powiedział Bakrengro. – Przybyłem tu, aby cię uwolnić. Przede wszystkim muszę obciąć smokowi włosy, ale całkiem niepostrzeżenie – cichcem i ukradkiem... Nie wiem, jak to zrobić!

Dziewczyna przestała płakać i rzekła:

– Kiedy smok przyjdzie do domu, zaraz zabierze się do jedzenia. Musisz mu to jedzenie przyprawić. Wyrwij mi jeden włos, potnij go na drobniutkie kawałeczki i tę sieczkę zmieszaj z jego wieczszą. Kiedy smok to zje, zaśnie najtwardszym snem, a wtedy będziesz mógł obciąć mu włosy niepostrzeżenie. Kiedy włosy będą już obcięte, smok okryje się kroplistym potem. Obetrzyj pot chustką i spal ją, a popiół zbierz wszystek i schowaj, bo przyjdzie czas, że bardzo ci się przyda.

Bakrengro odszedł i czekał na powrót smoka. Posiekał włos, zmieszał go z jedzeniem, a sam ukrył się pod ławą. Wieczorem nadszedł smok. Miał on pięć głów na jednej szyi. Natychmiast zasiadł do wieczery i jadł ją naraz z pięciu misek. Kiedy miski były już puste, smok zwiesił swoje wszystkie głowy i zapadł w głęboki sen.

Wówczas Bakrengro schwycił nożyce i ściał smokowi włosy z wszystkich pięciu głów. Starł pot ze smoczycich łbów, spalił chustkę i zebrał popiół do kieszeni.

Nazajutrz rano zła Urma zobaczyła że jej syn jest ostrzyżony, zdziwiła się bardzo i rzekła:

– No, dobrze. Pierwszą rzecz zrobiłeś. Teraz kolej na drugą robotę. Wieczorem pójdziesz ze skopkiem do obory i wydoisz krowę, która tam stoi. Tymczasem bierz jedzenie i zanieś do piwnicy.

Bakrengro poszedł do piwnicy. Uwięziona dziewczyna spytała:

– Czy wytarłeś pot smoczy i spaliłeś chustkę?

– Tak – odrzekł Bakrengro. – Dziękuję ci za dobrą radę; wszystko mi się powiodło. Popiół mam przy sobie. Dziś wieczorem wydoję krowę w oborze. Chyba to nietrudna praca.

– O, mylisz się! – powiedziała dziewczyna. – Kiedy będziesz doić krowę, ze wszystkich kątów i zakamarków obory wypełni mnóstwo węży, które zechcą cię udusić. Podsyp nieco tego popiołu pod krowę i pod siebie, a węże nic ci nie zrobią. Kiedy skopek będzie już pełen mleka, umyj się w nim. Bardzo ci się to przyda.

Bakrengro odszedł, a wieczorem zrobił tak, jak mu dziewczyna poradziła. Węże kłębiły się wokoło i syczały, ale żaden nie ośmielił się zbliżyć do rozsypanego popiołu i Bakrengro bezpiecznie wykapał się w mleku.

Nazajutrz rankiem zła Urma zobaczyła, że skopek jest pełen mleka. Zdziwiła się bardzo i rzekła:

– No, no! I druga praca powiodła ci się! Zobaczmy, jak będzie, kiedy dostaniesz trzecie zadanie do spełnienia. Słuchaj więc. Masz przynieść pierścień, który kiedyś wpadł mi do studni u zamkowej bramy. Gdy go odnajdziesz, przynieś tutaj i zawieś w trzydziestej trzeciej komnacie na gwoździu pod okrągłym zwierciadłem. Jeśli do wieczora się z tym nie uwiniesz, rozkażę mojemu synowi, żeby cię rozszarpał. Ludzkie mięso smakuje mu ogromnie i bardzo mu się przyda na ucztę weselną, bo właśnie pojutrze poślubi on dziewczynę, której dziś znowu zanieziesz miskę stawy do piwnicy...

Bakrengro zatrzęsł się ze strachu na myśl o tym, że zostanie zjedzony przez smoka, i zszedłszy do piwnicy, opowiedział dziewczynie o wszystkim. Dziewczyna powiedziała mu na to:

– Nic się nie bój! Wprawdzie woda w owej studni jest gorąca jak rozpalone żelazo, ale ty się nie spalisz ani nawet nie poparzysz. Wykapałeś się przecież w zaczarowanym mleku! Ale co ja biedna pocznę? Muszę zostać żoną potwornego smoka! Gdybym mogła rozerwać te łańcuchy!...

Usłyszawszy to, Bakrengro wyjął z kieszeni skorupkę od orzecha z cudowną maścią, którą dostał na drogę od dobrej Urmy. Posmarował łańcuch i w tej samej chwili żelaza z brzękiem spadły na ziemię, a piękna dziewczyna wybiegła ze swego kąta i z radością uściskała Bakrengra.

– Dzisiaj uciekniemy stąd – szepnęła mu do ucha. – Żeby tylko udała ci się twoja trzecia praca...

Bakrengro poszedł do studni u zamkowej bramy i zanurzył się w gorącej wodzie, która go nawet sparzyć nie mogła. Wdostał z dna pierścień, pośpieszył do trzydziestej trzeciej komnaty i zamknawszy oczy powiesił pierścień na gwoździu pod okrągłym lustrem. Wtem usłyszał słodki głos:

– Piękny z ciebie młodzieniec! Piękny z ciebie młodzieniec! Piękny z ciebie młodzieniec! Spójrz tylko w lustro! Spójrz tylko w lustro!

Ale Bakrengro nie dał się skusić i nie usłuchał słodkich namawiań. Prędko wyszedł z komnaty i dopiero za progiem otworzył oczy. Pobiegł teraz prosto do złej Urmy, która właśnie gotowała węże w wielkim saganie, i powiedział jej, że spełnił już trzecie zadanie. Ale Urma – o dziwo! – nie rozgniewała się wcale. Przeciwnie, zawołała z radością w głosie:

– Dzielny i zmyślny z ciebie chłopak! Zasłużyłeś na to, aby zostać moim mężem. Muszę tylko przemienić się w taką przepiękną dziewczynę, jakiej nie ma na całej ziemi. Ty mi w tym dopomożesz. Zrób tak: zakop mnie w piasku aż do pasa, a potem pokaż mi kwadratowe lustro, abym się w nim przejrzała. Zerknę tylko – i w tej samej chwili stanę się przepiękną dziewczyną!

– Dobrze – powiedział Bakrengro i zakopał ją po pas w piachu, a potem przyniósł lustro, ale nie czworokanciaste, tylko okrągłe. Urma spojrzała – i w tej samej chwili zamieniła się w wielki kamień!

Rozległ się jęk: to odezwały się wszystkie kamienie leżące wokoło zamczyska. Zalśniła błyskawica, huknął piorun i zamek złej Urmy znikł w okamgnieniu bez śladu. Wokoło szumił las, milczały kamienie, a przy Bakrengrze stała śliczna dziewczyna. Uśmiechnęła się i rzekła:

– Nareszcie oboje uwolniliśmy się od złej Urmy! Ale wkrótce przyjdzie tu jej syn-smok, a jeśli nas znajdzie, będziemy zgubieni! Trzeba jeszcze odczarować te wszystkie kamienie i ludziom, których unieszczęśliwiło okrągłe zwierciadło, przywrócić ludzką postać!

Rzekłszy te słowa, wyrwała sobie kilka włosów, rzuciła je na wiatr i zawołała:

*Przemieniony w kamień!
W człowieka się zamień!*

I zaraz dodała:

*Przemieniona w krzemień!
W Urmę się nie przemień!*

– bo się bała, że dzięki temu zaklęciu zła Urma też mogłaby powrócić do swej poprzedniej postaci i mocy.

I oto kamienie, niezliczone kamienie, stały się na powrót ludźmi, którzy z radością zatańczyli wesoły taniec dookoła dziewczyny! Tańczyli chłopcy i dziewczęta, dzieci i nawet brodaczy starcy tańcowali siarczyście, potykając się o własne długie brody! Tylko na środku pozostał wielki krzemień, tkwiący do połowy w ziemi.

Nagle dziewczyna uciszyła rozbawiony tłum, wołając:

– Później będziemy się cieszyć! Pomyślcie tylko, iż zaraz zjawi się tu straszliwy smok, syn skamieniałej Urmy!

Wówczas podszedł do dziewczyny jakiś stary człowiek i powiedział:

– Jestem czarodziejem, byłem nim przez wiele lat, zanim przyszedłem do złej Urmy, która przedzierzgnęła mnie w kamień. Dam wam iście czarodziejską radę. Przedwczoraj Urma wyrzuciła przez okno obcięte włosy swego syna. Leżą one jeszcze w tym samym miejscu, gdzie

przedwczoraj spadły. Spalimy je, a popiół, który po nich zostanie – zjemy, a wtedy na pewno smok nic nam nie zrobi. Daję wam na to moje czarodziejskie słowo!

Pozbierał czarodziej włosy smoka i spalił je na popiół i każdemu dał po małej szczypcie, a potem rzekł:

– Zanim zjecie po trochu tego popiołu, niech każdy pomyśli sobie, gdzie pragnąłby się stąd przenieść. Potem przełkniecie popiół i w tej chwili każdy z was znajdzie się tam właśnie, gdzie chciał się znaleźć.

– Do widzenia, bądź zdrowa! – powiedział Bakrengro dziewczynie. – Ty chcesz teraz na pewno przenieść się do matki, dobrej Urmy. Żegnaj. Ja pójdę dalej w świat, bo nigdzie nie mam bliskich ani ojczyzny.

Dziewczyna zapłakała i zaczęła prosić, aby razem z nią przeniósł się do jej matki. Zgodził się z ochotą, bo kochał dziewczynę i nie chciał się z nią rozłączyć.

Wzięli wszyscy popiół w usta i szszsz! – każdy był już tam, gdzie chciał być! Jakże ucieszyła się dobra Urma, gdy do izby wszedł Bakrengro z jej córką! Wkrótce odbył się ślub dwojga młodych i odtąd byli bardzo szczęśliwi. Tylko nigdy nie używali lustra ani nawet nie przeglądali się w wodzie, bo przypominało im to złą Urmę i jej czarnoksiężskie zwierciadło.

O róży i o biednym grajku

Żyli sobie król i królowa. Niczego im nie brakowało: ani złotego dachu nad głową, ani jedzenia, ani skarbów. Z początku byli weseli i szczęśliwi, ale wkrótce królowa bardzo posmutniała i król wielce zmarkotniał, bo nie mieli dzieci, a strasznie chcieli je mieć. Królowa prosiła rękę i wiatr, i ogień w ognisku, aby zesłały jej dziecko, ale to nic nie pomogło. Wreszcie ptaki zaprowadziły ją do starej baby, znającej się na czarach rozmaitych – i złych, i dobrych. Poprosiła ją królowa o radę. Baba rzekła:

– To ciężka sprawa, moja królowo. Jeśli chcesz mieć córkę, to mogę ci w tym dopomóc. Na syna nie mam nijakiego sposobu. W czwartek nocą, tuż przed północą, idź sama na cmentarz i tam narwij jagód z krzaku bżowiny rosnącego na grobie. Przynieś jagody do domu i po trzech dniach spal je. Potem weź włos dziewczynki, która ma siedem lat, siedem miesięcy, i siedem tygodni, i siedem dni. Włóż ten włos do popiołu z bżowiny i zagotuj w garnku razem z nasionami bielunia. Zjedz to, a urodzisz córkę. Potem oddasz mi ją na nauki czaro-dziejstw.

– Nie – powiedziała królowa. – Nie oddam ci jej za żadne skarby. Masz tu sto złotych talarów za dobrą radę, ale nic więcej. Wzięła czarownica talary i postanowiła w głębi duszy ukarać królową. A królowa wróciła na zamek i uczyniła wszystko tak, jak jej baba doradziła.

Nazajutrz urodził się królowej przepiękny kwiat róży, zamiast córki. I wyfrunęła róża jak motyl przez otwarte okno, i zawisła na różanym krzaku. Król wraz ze służbą pobiegł do ogrodu i chciał zerwać kwiat, ale nic z tego. Nikt nie był w stanie tego uczynić, tak mocno przyrosła róża do gałązki i broniła się ostrymi kolcami.

Zagniewany król pobiegł do królowej i rzekł:

– Zwykłej kobiecie rodzą się, jak przystało, dzieci, a nie jakieś róże! Ty jesteś widać czarownicą, a ja nie myślę żyć u boku czarownicy ani mieszkać z nią w tym samym kraju. Wypędzam cię więc z mojego królestwa! Idź precz!

Musiła królowa opuścić zamek i ruszyć w daleką drogę, na wygnanie. Wyszła do ogrodu i zbliżywszy się do różanego krzaku, zapłakała i ucałowała swoją różyczkę. Wówczas na dnie kwiatu załśniła kropla rosy i jednocześnie odezwał się bardzo cieniutki głos, który był na poły głosem, na poły zapachem róży:

– Nie płacz, mamó. Wypij tę kropelkę rosy, która lśni na moich płatkach, a wszędzie na swej drodze, gdziekolwiek pójdziesz, odnajdywać będziesz pożywienie i głód nie będzie miał do ciebie dostępu.

Królowa ze łzami w oczach spełniła życzenie swojej różanej córeczki, połknęła srebrną kropelkę, a potem odeszła daleko w świat. Po długiej wędrówce znalazła się w lesie koło opuszczonej nory borsuka. Rzekła do siebie:

– Tutaj zamieszkać. Nie chcę spotykać się z nikim, nie chcę widywać żadnych ludzi; wolę tu zostać w tej pustelni.

Nazbierała mchu i trawy, wyścieliła wnętrze nory, aby można w niej było zamieszkać. Co dzień rankiem znajdowała u wejścia do nory jadło i napoje, tak że nigdy nie zaznała głodu.

Ale smutków miała pod dostatkiem.

Choć w całym wielkim lesie nie było ani jednego człowieka, znalazł się ktoś, kto przychodził do królowej, aby ją pocieszać i rozweselać. Był to niedźwiedź. Najpierw przychodził sam, a potem ze swoją żoną i z małymi niedźwiadkami. Zwierzęta nie wyrządzały królowej żadnej krzywdy, ale skakały i tańczyły śmiesznie, tak że często biedna królowa nie mogła się powstrzymać od śmiechu i na chwilę zapominała o swoich nieszczęściach. Ptaki śpiewały jej swoje najpiękniejsze piosenki, a wokół jaskini zakwitwały najbarwniejsze kwiaty. Tak żyła królowa w lesie przez długie miesiące i lata, nie wiedząc, co się dzieje w jej królestwie ani co się stało z jej córeczką-różą.

Tymczasem lata przemijały, szedł rok za rokiem, a róża kwitła w ogrodzie królewskim bez przestanku – wiosną i latem, jesienią i zimą. Ani śnieg, ani mróz nie zabiły czerwonego kwiatka. Król często przychodził do niej, aby przypatrywać się jej urodzie, ale ilekroć się zbliżył, zwijała swe płatki i więdła, zwisając bezwładnie na gałązce.

Martwiło to króla. Razu pewnego, kiedy zatrzymał się smutny koło niej, westchnął i rzekł sam do siebie:

– Żebym to ja wiedział, dlaczego różyczka więdnie, gdy tylko podejść do niej!...

Wtem usłyszał cichy głosik, mówiący te słowa:

– Wygnałeś z kraju moją matkę i teraz biedna musi się tulać po lasach i mieszkać w opuszczonej borsuczej norze. Jeśli poprawisz się i przyjmiesz z powrotem moją matkę, przestanę więdnąć na twój widok i pokocham cię tak, jak córka kocha swojego ojca.

Skoro usłyszał król słowa różyczki, rozesłał swoich ludzi na wszystkie strony świata, aby szukali królowej i jak najprędzej sprowadzili ją do domu.

Szukali jej w pierwszej stronie świata i nie znaleźli. Szukali jej w drugiej stronie świata i nie znaleźli. Szukali jej w trzeciej stronie świata i nie znaleźli. Szukali jej w czwartej stronie świata – i znaleźli. Więc już w piątej stronie nie musieli szukać, tylko powiedli ją do zamku królewskiego.

Król przeprosił królową, a ona przebaczyła mu i zaczęło się szczęśliwe życie w pałacu króla. Ale nie było ono całkiem szczęśliwe, bo zamiast pięknej dziewczynki, która umilałaby życie królowi i królowej, kwitła im tylko czerwona róża. A kwitła teraz piękniej niż kiedykolwiek i nie więdła już, kiedy król na nią spojrzał.

Z czasem wieści o cudownej róży, królewskiej córce, rozeszły się szeroko po świecie i tłumnie zaczęli przybywać ludzie, aby zobaczyć niezwykły kwiat. Schodzili się wielcy panowie i prawdziwi królowie, aby składać róży drogocenne dary. Jeden król położył pod różanym krzakiem złote lusterko i myślał, że skoro róża zerknie do lustra, natychmiast przeobrazi się w dziewczynę. Ale nie przestała być kwiatem. Drugi król dał róży złoty grzebyk do czesania włosów. Ale nie przestała być kwiatem. Trzeci król podarował róży duże pudło ciastek i czekoladek. Ale nie przestała być kwiatem. Bo kwiat nie potrzebuje zaglądać do lustra ani jeść słodczy, no i nie ma włosów, które można by uczesać złotym grzebyszkiem. Różyczka pozostała taką, jaką była, i nie zmieniała się wcale. Król pytał o radę czarowników, prosił o pomoc dobre i złe Urmy, obiecując im sowitą nagrodę, jeśli przemienią kwiat róży w dziewczynę. Ale nikt, nawet sam wojewoda czarowników, nie umiał tego dokonać.

Pewnego razu do królewskiego ogrodu przyszedł młody grajek. Był to biedny Cygan, który starał się zarobić graniem na kawałek chleba, a jeśli mu to się nie udało – karmił się tylko muzyką swoich skrzypek. Król i królowa wyglądali właśnie przez okno pałacu, gdy grajek wszedł do ogrodu.

Usłyszeli też jego słowa.

A były to słowa takie:

– Ach, cóż to za precudowna róża! Szkoda by ją było zerwać, ale muszę ją choć pocałować!

I pocałował różę, a potem usiadł przy niej na trawie i zaczął grać na swoich skrzypkach tak smutną melodię, że król i królowa zapłakali, a z kwiatu róży stoczyły się na ziemię dwie

błyszczące krople. I w tej samej chwili róża sfrunęła z gałązki i przemieniła się w śliczną dziewczynę, która uściskała grajka, ucałowała go i rzekła:

– Gdyby mi ktoś, tak jak ty, zagrał przed laty, to już od dawna byłabym dziewczyną. Ale nie żal mi, że czekałam tak długo, bo doczekałam się ciebie!

Król, królowa i wszyscy ludzie w całym kraju cieszyli się jak nigdy. Grajek pozostał na zamku, a później poślubił prześliczną królową i do dziś nazywa ją swoją Różyczką.

Trzy złote włosy Króla Słońca

Był bogaty i okrutny król. Wtrącał ludzi do więzienia, strzelał z procy do ptaków i nigdy się nie uśmiechał, a często zgrzytał zębami. Pewnego dnia wyruszył ze służbą na polowanie. Dzikich, drapieżnych zwierząt nie tykał, bo się bał ich kłów i pazurów. Nie miał strzelby, bo się bał huk. Strzelał tylko z procy do małych ptaszków, które spadały martwe na ziemię, a on ich nie zbierał nawet. W pogoni za uciekającą ziębą pobiegł sam w głąb lasu i zabłądził. Krążył po bezdrożach przez pół dnia, aż o zmierzchu natknął się na małą chatkę ukrytą w gęstwinie. Była to chatka biednego Cygana. Spytał go król o drogę, a Cygan odpowiedział:

– Jasnie panie! Ty sam nie odnajdziesz drogi, choćbyś szukał rok cały, a ja nie mogę teraz iść razem z tobą. Dziś w nocy urodzi nam się dziecko. Nie mogę się więc stąd ruszyć, muszę zostać przy mojej żonie. Połóż się, królu, w drugiej izbie i przenocuj, a jutro rano odprowadzę cię do miasta.

Król przyjął zaproszenie. Nie przywykł wprawdzie do sypiania w biednych izdebkach ale cóż miał robić? Został u Cygana na noc i położył się na sienniku. Nie mógł jednak zmrużyć oka. Myślał o tym, że mógłby jeszcze zabić z procy wiele ptaków gdyby nie zabłądził w lesie, i o tym, że królowa niepokoi się z pewnością o niego. I król także niepokoił się o królową, która sama musiała na noc w zamku pozostać, a właśnie spodziewała się narodzin dziecka...

Była już północ, gdy nagle usłyszał król płacz niemowlęcia. Zrozumiał, że oto urodziło się dziecko oczekiwane przez biednego Cygana. Zerwał się z pościeli i podszedł do drzwi. Zobaczył przez szparę, że żona Cygana śpi na swoim legowisku. Cygan na przypiecku, a nowo narodzony chłopiec w kołysce. Nad kołyską stały trzy stare kobiety ubrane w długie, białe suknie. Jedna z kobiet odezwała się cichutko w te słowa:

– Daruję temu chłopcu nieszczęście.

Druga kobieta rzekła:

– A ja sprawię, że wszelkie zło w dobro się obróci.

Trzecia kobieta wyszeptała najcichszym i najśladszym głosem:

– A ja zrzadzę, że chłopiec poślubi córkę tego króla, który wczoraj zabłądził w lesie podczas łowów, a teraz śpi w sąsiedniej izbie. Właśnie teraz, w tej chwili, żona jego urodziła w pałacu prześliczną królownę!

Trzy białe kobiety nachyliły się nad kolebką i po chwili odeszły. Król zdumiony i zagniewany nie spał już do końca nocy. Zgrzytał zębami i rozmyślał, co zrobić, aby mały chłopiec przepadł raz na zawsze, co zrobić, żeby mu odebrać życie. Bo król nie chciał oddać wcale swej córki za żonę jakiegoś tam biednemu Cyganiakowi.

Z samego rana Cygan przyszedł do izby, w której spoczywał król, i zalewając się łzami, powiedział:

– Królu miłościwy! Moja biedna żona nie żyje! Umarła w nocy! Cóż ja teraz sam pocznę z moim maleńkim synkiem? Jak go sam wykarmię i wychowam?

Poweselał król słysząc te słowa, bo do głowy mu przyszła podstępna myśl, rzekł więc:

– Ja, król, będę otaczał opieką twoje dziecko! Wskaż mi tylko drogę do miasta, a ja rozkażę jednemu z moich pachołków, aby przeniósł chłopca do mojego pałacu!

I tak się stało. Cygan zaprowadził króla do miasta, a król ugościł go za to. Potem kazał swemu słudze iść wraz z Cyganem do chatki leśnej i przynieść stamtąd niemowlę. Ale zanim wyprawili

sługę, powiedział mu na ucho w wielkiej tajemnicy, że kiedy będzie wracał do miasta, musi po drodze utopić dziecko w rzece. Sługa posłuchał króla. Wracając, wrzucił dziecko razem z koszykiem, w którym je niósł – w sam środek rzeki. Potem przyszedł na zamek i oznajmił królowi:

– Zrobiłem tak, jak mi, królu, przykazał.

Król bardzo zadowolony dał słudze złoty pieniądz w nagrodę i poszedł do komnaty królowej, aby przypatrzeć się swojej nowo narodzonej córce. Spała w złotej kołysce, ustrojona w tysiąc koronek. Zazgrzytał król zębami z zadowolenia, bo był szczęśliwy, że mały Cyganiak leży na dnie rzeki i nigdy już nie będzie mógł zostać mężem pięknej królowej.

Tymczasem po bystrej rzece, kołysany jej falami, unosił się koszyk z malcem, był taki leciutki, że wcale nie poszedł na dno. Aż wreszcie zobaczył go rybak, który zarzucił sieć. Wyłowił z wody koszyk ze śpiącym chłopcem i zaniósł go swojej żonie. Bardzo cieszyli się oboje z tego niezwykłego znaleziska! Chłopiec był śliczny jak mały jelonek, a oni nie mieli własnych dzieci, choć bardzo pragnęli je mieć. Przyjęli więc małego znajdę i pokochali go, jakby był ich rodzonym synem, a nazwali go „Bezimiennym”.

Minęło dwadzieścia lat, chłopiec stał się pięknym młodzieńcem. Pomagał rybakowi w połowach i nosił ryby na targ. Pewnego razu rozwieszał sieć, aby wyschły na słońcu, gdy nagle ujrzał króla, który biegł za czajką, bo chciał ją zastrzelić z procy. Czajka uciekła, a zdyszany król przystanął, żeby odsapnąć po gonitwie, i zauważył Bezimiennego. Poszedł więc do chaty i zapytał starego rybaka:

– Czy ten piękny młodzieniec, który rozwiesza sieć, to twój syn?

– Nie – odpowiedział rybak. – Wyłowiłem go z rzeki dwadzieścia lat temu.

Usłyszawszy tę wieść, król przeraził się okropnie, ale nie dał tego poznać po sobie, tylko rzekł spokojnie:

– Muszę napisać bardzo ważny i pilny list do mojej żony-królowej. Ten młodzieniec zanieś moje pismo do pałacu.

Rybak chętnie zgodził się na to, a król zasiadł na ławie i napisał do królowej takie słowa:

Kochana żono! Rozkaż natychmiast zabić młodzieńca, który ci odda ten list. Jeśli go nie zabijemy, on uśmierci nas wszystkich!

Bezimienny wziął list królewski i wyruszył do miasta. Ale choć dobrze znał drogę, tym razem jakoś mu się poplątało i znalazł się ni stąd, ni zowąd w nieznanym, starym lesie. Ścieżka się urwała, drzewa zastąpiły mu drogę. Wokoło rosło tyle maślaków, że Bezimienny nie mógł stąpnąć ani kroku, bo nogi ślizgały mu się jak po lodzie. Usiadł na pieńku, nie wiedząc, co robić. Nagle zobaczył kobietę w białej sukni, która wyszła zza wielkiego jałowca i rzekła:

– Zabłądziłeś! Wstąp do mojej chaty, a jak odpoczniesz troszkę, odprowadzę cię do królowej.

Zaprowadziła Bezimiennego do izby. Gdy tylko tam wszedł i usiadł, poczuł takie zmęczenie, że w okamgnieniu zapadł w głęboki sen. Wtedy biała kobieta wyjęła mu z kieszeni królewski list, wrzuciła do ognia, a potem na miejsce spalonego włożyła Bezimiennemu do kieszeni jakiś inny list, tak samo jak tamten złożony we czworo i zalakowany królewską pieczęcią.

Kiedy młodzieniec obudził się, ujrzał z wielkim zdumieniem, że znajduje się tuż u bramy królewskiego pałacu. Skoczył więc raz-dwa do królowej i wręczył jej list, w którym było napisane:

Kochana żono! Każ natychmiast wezwać księdza, aby połączył ślubem naszą córkę z młodzieńcem, który ci odda ten list. Taka jest moja wola i mój rozkaz królewski, jeśli byś mnie nie usłuchała, wielkie nieszczęście spadłoby na nas!

Królowa, nie zwlekając ani chwili, uczyniła tak, jak król sobie życzył: wezwała księdza i wkrótce królowa była już żoną Bezimiennego. I królowej, i królowi Cygan bardzo się podobał i pokochały go od pierwszej chwili.

Polecono sługom postawić stoły i już za godzinę zaczęło się huczne wesele. Bezimienny nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Poprzysiągł sobie tylko, że kiedy skończą się weselne uroczystości, sprowadzi na zamek swoich przybranych rodziców, rybaka i jego żonę, bo bardzo ich pokocha i nie chciał się z nimi rozstawać.

Ale zanim wesele dobiegło końca, powrócił na zamek król, bo chciał sprawdzić, czy jego rozkaz został wykonany. Przyszedł do komnaty królowej i zapytał:

– Czy zrobiłaś tak, jak ci przykazałem w liście?

– Tak – odrzekła królowa. – Zrobiłam wszystko tak właśnie, jak sobie życzyłeś. Chłopiec ten jest już mężem naszej córki. Chodź do nich, bawią się właśnie na swoim weselu!

Słyszając to, król zaczął straszliwie zgrzytać zębami ze złości i wrzasnął:

– Co za bajki mi opowiadasz! Pokaż zaraz ten list, który dostałaś ode mnie!

Królowa przyniosła list, a królowi ze zdumienia aż oczy wyszły na wierzch: poznał swoje własnoręczne pismo i prawdziwy odcisk królewskiej pieczęci! Jakże się to stać mogło?

Poszedł do komnaty, gdzie odbywało się wesele. Wszyscy wstali od stołu i pokłonili się nisko, a on zasiadł przy najgłębszym talerzu z największym kawałem mięsa i zapytał Bezimiennego:

– Powiedz no mi, mój kochany zięciu, co robiłeś w drodze do miasta, kiedy szedłeś tu z listem? Kogo spotkałeś, z kim rozmawiałeś, jakie miałeś przygody?

– Ach! – odpowiedział Bezimienny. – Nie miałem żadnych złych przygód. Spotkałem tylko jakąś kobietę w białej sukni, która pozwoliła mi odpocząć w swojej chatce.

Teraz już król wiedział, co się stało, domyślił się wszystkiego. To dobra wróżka, Urma, dopomogła Bezimiennemu. Ale król w żaden sposób nie chciał się pogodzić z tym, że syn biednego Cygana, wychowanek zwykłego rybaka jest mężem królowej. Postanowił pozbyć się go koniecznie. Jadł mięso i rozmyślał, aż wreszcie rzekł:

– Idź w świat i przynieś mi trzy złote włosy z głowy Króla Słońca. Jeśli ci się to uda, oddam ci tron i moją koronę.

Cóż robić! Bezimienny wyruszył w drogę z wielkim smutkiem, bo pokochał królowę, a ona też go kochała. No i niechętnie odchodził od stołu, na którym było jeszcze tyle jadła i napojów. A po jego odejściu cieszył się król ogromnie i zacierał dłonie z radości, bo był pewien, że Bezimienny nie wróci, wiedział przecież, że nikomu dotąd nie udało się zdobyć ani jednego włosa Króla Słońca. A cóż dopiero – aż trzy!

Wędrował Bezimienny, szedł prosto przed siebie i pewnego dnia przyszedł na brzeg wielkiego, czarnego jeziora. Zobaczył unoszące się na wodzie białe czółno, w którym siedział jakiś białowłosy starzec. Zawołał więc z całej siły, aby stary człowiek usłyszał go:

– Hej, ojczulku! Podpłyn tu i przewieź mnie na drugi brzeg.

Starzec odpowiedział:

– Przewiozę cię, jeśli przyrzekniesz mi przynieść ważną dla mnie wiadomość – taką wiadomość: kiedy zostanę uwolniony od tego czółna. Bo trzeba ci wiedzieć, że jestem do niego przyczarowany i przykłyty tak mocno, jakby mnie ktoś przybił gwoździami, i bez przerwy, dzień i noc, muszę wiosłować. Jestem już stary i chciałbym odpocząć, a nie wiem, co zrobić, żeby się uwolnić od tego czarodziejskiego czółna.

Bezimienny obiecał starszukowi, że kiedy będzie szedł z powrotem, przyniesie mu tę wiadomość. Stary człowiek podpłynął do brzegu, wziął wędrowca do czółna i przepłynął z nim przez czarną wodę. Wkrótce przybył do dużego miasta. Jakiś człowiek, stojący przy bramie miejskiej, zapytał:

– Dokąd wędrujesz?

– Do Króla Słońca – odpowiedział Bezimienny.

– To się świetnie składa! Chodź, zaprowadzę cię do naszego króla, który ma ci coś ważnego do powiedzenia.

– Dobrze, niech będzie.

Stanął Bezimienny przed obliczem króla. Król rzekł mu:

– Przed dwudziestu laty było w naszym mieście źródło cudownej wody. Wytryskało na rynku w samym środku miasta. Kto się napił wody z tego źródelka, ten zaraz odmłodził. Ale źródelko znikło i na całym świecie tylko jeden jedyny Król Słońca wie, gdzie go szukać, gdzie się ukryło. Ty, młodzieńcze, idziesz właśnie do Króla Słońca, zapytaj go więc przy sposobności, gdzie jest źródło, i przynieś mi wiadomość o tym.

Bezimienny obiecał, że w powrotnej drodze wstąpi tutaj i przyniesie królowi wiadomość o zaginionym źródle. Po kilku dniach dalszej wędrówki przybył do innego miasta. Jakiś człowiek, stojący u bramy miejskiej, zapytał:

– Dokąd wędrujesz?

Bezimienny odpowiedział:

– Do Króla Słońca.

– To się świetnie składa! Chodź, zaprowadzę cię do naszego króla, który ma ci coś ważnego do powiedzenia!

Stanął Bezimienny przed obliczem królewskim, a król rzekł:

– Przed dwudziestu laty była w moim mieście jabłoń, która rodziła złote jabłka. Każdy, kto zjadł takie jabłko, był zawsze zdrow i nigdy nie umierał. Chociaż jabłoń do dziś rośnie pośrodku miasta, już od dwudziestu lat nie ma na niej owoców. Tylko Król Słońca wie, dlaczego wyczerpały się jej cudowne jabłka. Kiedy będziesz u niego, zapytaj go o to i przynieś mi odpowiedź.

Bezimienny przyrzekł, że tak zrobi, i ruszył dalej. Wędrówka była długa i żadnych miast nie było po drodze – tylko lasy i pola. Aż wreszcie po wielu dniach przyszedł w górzystą okolicę i zobaczył starą kobietę ubraną w białą suknię. Kobieta siedziała na skale przed swoim pięknym domkiem i kiwała dłonią, przyzywając wędrowca do siebie. Kiedy się zbliżył, spytała:

– Dokąd idziesz?

– Szukam Króla Słońca – odpowiedział Bezimienny.

– To świetnie się składa! – rzekła kobieta w białej sukni. – Wejdz do mojego domu. Jestem matką Króla Słońca. Mój syn co dzień rano wyfruwa stąd jako małe skrzydlate dziecko o różanej buzi, w południe jest już dorosły, wieczorem powraca tu, do naszego domu, jako starzec.

Zaprowadziła Bezimiennego do izby i poprosiła, aby opowiedział jej całą historię swojej podróży. Zaczął więc prawić o tym wszystkim, co mu się przydarzyło: o złym królu, który zażądał trzech włosów Króla Słońca, o starym człowieku, przykutym złymi czarami do białego czółna pływającego po czarnym jeziorze, o źródle odmładzającym i o jabłoni, co rodziła złote jabłka, darzące zdrowiem i nieśmiertelnością.

Matka Króla Słońca rzekła na to:

– Już ja o to wszystko zapytam sama syna, ale musisz najpierw ukryć się, bo gdyby on zobaczył cię tutaj, spłonąłbyś od jego gorących płomieni.

Ukryła Bezimiennego w wielkiej beczce stojącej w ciemnej komorze i prosiła, żeby siedział w niej jak najciszej. W beczce było sporo zimnej wody i Bezimienny martwił się, że mu będzie zimno i może dostać kataru, a wtedy kichaniem zdradzi swoją kryjówkę. Ale niedługo troskał się o to, bo kiedy wieczorem powrócił do domu Król Słońca, w izbie, w komorze, a nawet w beczce zrobiło się tak gorąco, że Bezimienny cały – aż po dziurki w nosie – zanurzył się w wodzie dla ochłody.

Król Słońca był starym, zgrzybiałym człowiekiem o złotej głowie. Kobieta w białej sukni podała mu wieczkę. Najadł się, napił, a potem położył złotą głowę na kolanach matki i usnął. Wtedy biała kobieta wyrwała mu z głowy jeden złoty włos.

Obudził się Król Słońca i krzyknął:

– Co to, matko?! Dlaczego nie dajesz mi spać?

Stara kobieta odrzekła:

– Ach, wybacz mi, synku! Spałam i śniło mi się, że w pewnym mieście zrywam złote jabłko z jabłoni, która rodzi same złote jabłka. Kto zje złoty owoc, tego się żadna choroba ani śmierć nie ima. Ale nie zerwałam jabłka, tylko mały listek, bo już od dwudziestu lat jabłoni nie rodzi owoców, a ludzie nie wiedzą dlaczego!

Król Słońca wysłuchał słów matki i powiedział:

– Powinni zabić żmiję, która siedzi w ziemi i wysysa korzenie drzewa, połyka wszystkie soki, tak że jabłoni ledwo żyje i nie ma siły, żeby rodzić owoce.

Rzekłszy, Król Słońca zasnął znowu, a po chwili matka wyrwała mu drugi włos. Król zbudził się i wrzasnął:

– Co to ma znaczyć, matko, że nie dajesz mi spać?

Stara kobieta odrzekła:

– Ach, wybacz mi, kochany synu! Śniło mi się jakieś miasto. W mieście tym było cudowne źródło. Kto się napił zeń wody, ten odzyskiwał młodość, choćby już sto lat żył na świecie. Ale od dwudziestu lat źródło już nie wytryska, a ludzie nie wiedzą, jak by je mogli wskrzesić.

– Ogromna żaba zatkała wylot tego źródła. Ludzie powinni ją wyciągnąć i zabić, a wtedy źródło wytryśnie znowu – odrzekł Król Słońca i zasnął.

Kobieta w białej sukni poczekała parę chwil, a kiedy upewniła się, że jej syn już śpi, wyrwała mu trzeci włos.

– Matko! – wrzasnął Król Słońca. – Czy aż do rana nie dasz mi spać spokojnie?!

– Ach, synu! – odpowiedziała biała kobieta. – Znow miałam bardzo dziwny sen. Śniło mi się, że tonę w ogromnym czarnym jeziorze, i myślałam, że chwytam w ręce trzcinę, rosnącą u brzegu, a to był twój włos. Na czarnym jeziorze pływa w białym czółnie stary człowiek i nie może przestać ani porzucić wiosła, bo jest do nich i do łodzi przyklęty i przyczarowany. Stary człowiek jest już bardzo zmęczony i chciałby odpocząć, ale nie wie, jak się uwolnić od białego czółna...

Król Słońca rzekł:

– Kiedy ów starzec będzie przewozić w swoim czółnie jakiegoś człowieka, powinien oddać mu wiosła, a sam – wyskoczyć na brzeg. Wówczas ten drugi wpadnie w sam środek czaru i pozostanie na zawsze już w czółnie, a starzec będzie mógł odejść i odpocząć.

Rzekłszy, Król Słońca zasnął, a stara matka nie budziła go już więcej. Nazajutrz rankiem Król Słońca obudził się jako śliczne, maleńkie dziecko i wyfrunął przez okno.

Bezimienny wylazł z beczki, w której było mu bardzo niewygodnie i gorąco, aby wyprostować nogi, i odetchnąć chłodnym powiewem. Kobieta w białej sukni dała mu trzy złote włosy i rzekła:

– Idź teraz do swojej żony i daj jej ojcu te trzy włosy z głowy Króla Słońca. Uczyniłam dla ciebie wszystko, co przyrzekłam moim siostram w noc twoich narodzin. Jeszcze jedno wiedz; jesteś synem biednego Cygana, mieszkającego w samym środku puszczy. Bądź zdrow!

Ucałowała Bezimiennego, dała mu chleba na drogę i wyprowadziła go za próg, a on pocałował ją w rękę i odszedł.

Wędrował tą samą drogą, która przyprowadziła go do Króla Słońca, i już po kilku dniach ujrzał las, a potem pole i znow las.

Aż po dwóch niedzielach dostrzegł wieżę znajomego miasta, w którym wyszło cudowne źródło. Skoro tam przybył, poradził królowi, żeby zabić wielką żabę. Król wydał rozkaz swoim poddanym, a oni wyciągnęli żabsko, które zatkało ujście wody.

Wtedy źródło wytrysnęło jak przed laty, a uradowany król wynagrodził to Cyganowi po królewsku.

Kiedy w dalszej wędrowce Bezimienny przybył do miasta, gdzie od lat dwudziestu jabłoni nie dawała owoców, poradził ludziom, aby zabili żmiję, która ssie korzenie drzewa. Ludzie rozkopali ziemię, znaleźli żmiję i zabili ją. I jeszcze tego samego dnia jabłoni urodziła tyle złotych jabłek, że się od nich uginały gałęzie, a ucieszony król wynagrodził Cygana sówicą.

Kiedy Bezimienny przybył na brzeg czarnego jeziora, stary człowiek nie chciał go przewieźć na drugą stronę. Dopiero kiedy Cygan obiecał, że wyzna mu upragnioną tajemnicę, starzec wziął go do czółna i przeprowił przez jezioro. Wysiadł Bezimienny na brzeg i powiada:

– Jak będziesz przeprowiać kogoś swoim czółnem, daj mu wiosła, a sam wyskocz na brzeg, wtedy będziesz wolny, czar z ciebie spadnie i wreszcie odpoczniesz sobie. A ten, który zajmie twoje miejsce przy wiosłach, będzie musiał zostać w czółnie i krążyć po czarnym jeziorze.

Starzec podziękował Bezimiennemu za dobrą radę i odpłynął od brzegu, a Cygan ruszył rażno do domu, bo dręczył go głód i stęsknił się już bardzo za królową. Wkrótce był już w pałacu i dał królowi trzy złote włosy Króla Słońca.

Królowa ucieszyła się bardzo, a król z gniewu i złości o mało nie wyskoczył ze skóry i zaczął zgrzytać zębami jak piła na dębowym pieńku.

Ale gdy Bezimienny opowiedział o źródle i o jabłoni, król przestał zgrzytać i zawołał uradowany.

– I ja muszę się napić wody z tego źródła i zjeść jabłko z cudownej jabłoni!

I nie zwlekając ani chwili zerwał się na równe nogi, aby jak najprędzej dostać się do tych życiodajnych cudowności.

– Zatrzymaj się, królu! – zawołał Bezimienny. – Nie biegnij tam, bo nieszczęście cię spotka.

Ale król ani myślał usłuchać Cygana. Wybiegł z pałacu i podążył w stronę czarnego jeziora, a kiedy znalazł się na brzegu i ujrzał starca w białym czółnie, zażądał przeprowy na drugą stronę czarnego jeziora. Starzec podał mu wiosła i wyskoczył na brzeg. Teraz już zły król nie mógł porzucić czółna, został więc w nim na zawsze i do dziś krąży po czarnym jeziorze.

Cała służba pałacowa, mieszkańcy miasta, królowa – wszyscy odetchnęli z ulgą, że pozbyli się złego i okrutnego króla. Bezimienny sprowadził do pałacu swoich przybranych rodziców, a nawet starego Cygana, swego rodzzonego ojca, którego niełatwo było odnaleźć w głębi puszczy. Odtąd już nikomu w całym królestwie nic szczęścia nie zamaćiło, bo gdy Bezimienny zasiadł na tronie, wypuścił z lochów biednych więźniów, a procę złego króla utopił w studni.

Lis – zaklinacz deszczu

To było upalne lato! Liście na gałęziach, trawa na łąkach wszystko powiędło i pożółkło, czekając nadaremnie na deszcz. Nie chciał przyjść i ludzie martwili się, że złe będą plony, że nie ma gdzie paść koni ani owiec. Aż pewnego dnia zjawił się we wsi stary dziad, co tak się znał na zamawianiu pogody jak koń na fruwaniu. Ale że był stary i mruczał do siebie rozmaite czarodziejskie zaklęcia, ludzie błagali go, aby sprowadził deszcz.

– Dobrze – zgodził się dziad. – Ale dacie mi za to sto kilo gruszek.

Bo dziad był bardzo łasy na gruszki.

Zaprowadzili go ludzie w pole, żeby wziął się jak najszybciej do ściągania deszczu. Dziad usiadł sobie w ocienionym miejscu, poskrobał się w głowę i zamruczał:

*Jek – szmek,
trin – gin,
szow – bow,
efta – cefta,
ochto – mochto!*

Wszyscy ludzie przeżegnali się nabożnie, a dziad kazał im wracać do domów.

Kiedy odeszli, rzekł sam do siebie:

Jakże ja im sprowadzę ten deszcz? Choćbym mruczał tydzień cały, to i tak ani jednej kropelki nie wycisnąłbym z czystego nieba. Boję się, że nie dostanę ani jednej ulęgałki, ale jeszcze mnie ludzie w dodatku kijami wytłuką...”

Spojrzał dziad w lewo, spojrzał w prawo, przed siebie i za siebie, ale nie znalazł na niebie ani kawałeczka chmurki. W pobliżu siedział lis w swojej kryjówce i czatował na jakąś zdobycz. Słyszał, co dziad powiedział, rzekł więc do siebie:

„Poczekaj no, dziadu! Już ja ci ściągnę taki deszcz, że ci ucho ogłuchnie, gęba oniemieje, a oko zbieleje!”

Wyskoczył z kryjówki, pomerdał kitą i rzekł do dziada:

– Kłaniam się unieżenie wielmożnemu panu! Słyszałem, że prosisz o deszcz. Chętnie w tym dopomogę, jako że znam świetnie sztukę sprowadzania deszczu. Musisz mi tylko przyrzec, że nikomu nie piśniesz o tym ani słówka. Przyjdę do ciebie wieczorem. Przygotuj dla mnie tłustą, pieczoną gęś, a ściągnę deszcz jeszcze tej nocy.

Dziad z radością zgodził się na to i w te pędy pobiegł do wsi. Tam oznajmił wszystkim ludziom:

– Dziś w nocy będzie padać! Ja sprowadzę deszcz! Szykujcie sto kilo gruszek!

Poszedł dziad do karczmy, kazał upiec tłustą gęś i nakryć do stołu. Wieczorem przyszedł lis i najadł się do syta, a potem wypił jeszcze dzban piwa.

– No, a teraz, kochany gościu – rzekł dziad – zrób coś, żeby zaczęło padać, bo ludzie czekają na deszcz.

– Zaraz, wielmożny panie! – powiedział lis. – Wyjdę teraz, a kiedy cię zawołam, wybiegnij na dwór.

Poszedł lis na podwórze i znalazł tam stojącą u drzwi drabinę i beczkę piwa. Zanurzył swój puszysty ogon w piwie, włożył na drabinę i zawołał:

– Chodź już, wielmożny panie, i popatrz tylko, jaki deszcz! Dziad wybiegł przed próg, a lis zdzielił go z całej siły mokrym ogonem między oczy, aż zamroczył dziada. Uciekł więc z powrotem do izby, a lis za nim.

– Brrr! – otrząsnął się lis. – To dopiero psia pogoda! Futro mi całkiem przemokło! Spójrz no!

l podsunął dziadowi pod nos swoją mokrą kite.

– Tak, tak! – pisnął dziad. – Niezła pogoda! Właśnie o to mi chodziło.

Wytarł dziad mokrą twarz i usiadł przy stole. Znów popili sobie trochę, wypalili fajeczki i dziad rzekł:

– Nie rozumiem, jak ludzie mogą jeszcze spać! Powinni zbudzić się z radości, że się deszczu doczekali! Ale zaraz! Przecież nie było grzmotów! To dlatego śpią tak spokojnie!

Lis odłożył fajkę i rzekł:

– Prawda! Zapomniałem o grzmocie! Dobrze, za chwilę sprowadzę grzmot. Wyjdź, jak cię zawołam!

Wyszedł lis za drzwi, wziął kij, wlaź na drabinę i zawołał dziada. A gdy ten wybiegł z karczmy, lis tak głośno grzmotnął kijem w drzwi, tuż koło ucha dziada, że go całkiem ogłuszył. Dziad do karczmy, a lis za nim.

– Słyszałeś grzmot? – krzyknął do ucha dziadowi.

– Tak – odrzekł dziad. – A jakże! Słyszałem tak dobrze, że teraz ledwo słyszę ciebie!

Usiedli obaj w izbie i znów popijali i palili swoje fajeczki. Po chwili odezwał się dziad:

– A ludzie we wsi śpią, jak spali! Ale przecież nie było błyskawicy! Błyskawica obudziła-by ich na pewno!

– Ajajaj! – zawołał lis. – Jestem już stary i zapominałski: zagapiłem się i nie pamiętałem o błyskawicy. Ale to jeszcze nic straconego. Wyjdź, jak cię zawołam!

Wyszedł lis na dwór, wlaź na drabinę i zawołał dziada, a gdy ten się zjawił, lis palnął go ogonem po głowie tak mocno, że ujrzał dziad błyskawicę, jakiej jeszcze nigdy nie widział! Uciekł czym prędzej z powrotem do karczmy, wykrzykując:

– A to dopiero błyskawica! Jeszcze mi w oczach świeci!

– Ach, biedaku – zaczął lamentować lis. – Piorun cię trafił! Połóż się szybko, a ja pobiegę po maść, która cię wyleczy.

To rzekłszy, lis wybiegł, a dziad czekał godzinę, czekał dwie, trzy, cztery. Z pewnością czekałby do dziś bez skutku, bo lis nie miał zamiaru wracać. Ale noc się skończyła i dziad wołał się wynieść ze wsi cichaczem, zanim ludzie się pobudzą. Wiedział bowiem, że czeka go nie sto kilo gruszek, ale sto kijów.

Kwiat szczęścia

Kiedy matka odumarła biednego Terne, został zupełnie sam na świecie, a świat tak mu posmutniał, jak smutnieje jesienią, choć to nie jesień była, ale wiosna. Cały dzień po pogrzebie siedział Terno w swojej budzie, a wieczorem poszedł na skraj lasu, gdzie był grób, aby się tam wypłakać. Wziął ze sobą fajeczkę i woreczek machorki i zakopał w mogile, a pod krzyżem postawił garnuszek mleka na wszelki wypadek, gdyby duch matki zapragnął pić, a potem fajkę zakurzyć. Kiedy już zrobił to wszystko, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Płakał długo, aż nagle poczuł piękny zapach. Otworzył oczy i ujrzał śliczny, niebieski kwiat, który nie wiadomo kiedy wyrósł na świeżym grobie. Terno zerwał go, schował do kieszeni i rzekł do siebie:

– Pójdę w świat i może znajdę gdzieś szczęście. Czuję, że w tym kwiatku zamieszkało serce mojej mateczki. Ono mi dopomoże.

I poszedł. W drodze spotkał kulawego wilka. Wilk zaczął go prosić:

– Dobry człowieku. Myśliwy strzelał do mnie i kula utkwiała mi w boku. Wyjmij ją!

Terno wyciągnął kulę spod wilczej skóry, a wilk rzekł:

– Nie zapomnę twojej dobroci. Wyrwij mi tylko jeden włos z ogona a jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, chuchnij na ten włos!

Wyrwał Terno włos z wilczego ogona, schował do tej samej kieszeni, w której miał już niebieski kwiat, i powędrował dalej. Szedł i szedł, ale nigdzie szczęścia nie mógł znaleźć. Buty zdarł, musiał iść boso po kamieniach, a szczęścia jak nie było, tak nie było.

Usiadł Terno przy drodze, wyjął z kieszeni niebieski kwiat, położył go na dłoni i powąchał, i popatrz tylko! Kwiat wznosił się w powietrze, tak że prawie wcale nie było go widać na tle błękitnego nieba, i odezwał się w te słowa:

– Chodź za mną! Nikt mnie nie widzi, tylko dla ciebie nie jestem niewidzialny. Pójdź tam, gdzie ja pofrunę, a zaprowadzę cię prosto do twojego szczęścia!

Powolutku odtruwał kwiat, kołysząc się w powietrzu jak motyl, a Terno szedł za nim, tuż za nim, aby nie stracić go z oczu.

Pod wieczór dotarł do lasu. Zmierzchało już, ale nie trzeba było wyteżać wzroku za kwiatem, bo świecił w ciemności jak niebieski płomyk.

Na skraju lasu siedział pod jałowcem lis. Skoro zobaczył wędrowca, zawołał:

– Dobry człowieku! Osa mi wpadła do ucha i tak brzęczy, jakbym miał w głowie całą cygańską kapelę! Poratuj mnie!

Terno wyciągnął osę z lisiego ucha, a lis rzekł:

– Chciałbym ci się jakoś odwdzińczyć za twoje dobre serce, ale nie mam żadnych skarbów, które bym mógł ci podarować. Wiem, że szukasz szczęścia, i wiem, że je w końcu znajdziesz. Jednak zanim to nastąpi, czekają cię jeszcze niebezpieczne przypadki i przygody. Będziesz musiał służyć złej Urmie i przez trzy dni wyganiać na pastwisko krowę o złotych rogach. Uważaj, żeby złotoroga krowa nie wymknęła ci się i nie powróciła sama do domu, bo Urma ukarałaby cię srogo. Jeśli ci się uda przytrzymać krowę na łące, to zażądaj, aby Urma dała ci za to kaptur, który wisi na gwoździu za piecem. Kto włoży na głowę ten kaptur, ten stanie się niewidzialny. Lis machnął kitą na pożegnanie i odszedł, a Terno usiadł zmęczony na pniu.

Wtedy kwiat zawołał:

– Włóż mnie do kieszeni!

Terno schwytał niebieski kwiat i schował go do kieszeni. Potem położył się pod jałowcem i spał aż do rana.

O świcie wyjął kwiat z kieszeni i wypuścił na swobodę. Kwiat pofrunął niewysoko nad ziemią prosto na południe, a Terno podążył w tę samą stronę. Wkrótce przybyli w pobliże wielkiego domu z żelaza. Kwiat szepnął:

– Schowaj mnie znowu do kieszeni. Wyjmiesz mnie dopiero wtedy, kiedy cię zawołam.

Ledwo zdążył Terno ukryć kwiat w kieszeni, otworzyły się drzwi żelaznego domu i na progu stała ohydna wiedźma, rozglądając się wokoło i kiwając długim nosem na lewo i prawo.

– Czego tu szukasz?! – wrzasnęła.

– Szukam służby – odpowiedział Temo.

– Dobrze! – zawołała Urma. – Mogę cię wziąć na służbę. Będiesz pasał moją złotą krowę. Nie wolno ci puścić jej przed wieczorem do domu, musi wracać razem z tobą – nigdy sama. Jeśli pozwolisz jej umknąć z łąki zabiję cię. Ale gdyby ci się powiodło i przez trzy dni wracałbyś razem z krową o właściwej porze, będziesz mógł wziąć ode mnie w nagrodę to, co ci się spodoba, wedle twojej woli.

Pognał Terno ztorogą krowę na pastwisko. Gdy tylko znaleźli się na łące, krowa zerwała się do ucieczki. Prędko wyjął Terno włos z wilczego ogona, chuchnął nań i w tej samej chwili zjawił się wilk wraz z trzema tysiącami swoich braci-wilków. Wilcze stado okrążyło krowę ze wszystkich stron i nie pozwoliło jej ruszyć się z miejsca. Dopiero wieczorem Terno pognał krowę do domu, jak mu przykazała Urma, i poszedł spać.

Nazajutrz powtórzyło się wszystko tak samo; podobnie było i następnego dnia. Kiedy na trzeci dzień o zmroku Terno szczęśliwie przyprowadził ztorogą krowę do domu, Urma kazała mu, aby sobie wybrał coś za dobrą służbę. Terno wybrał kaptur i zdjął go z gwoźdźca. Wrzasnęła Urma straszliwie i chciała mu wyrwać kaptur z rąk, ale Terno szybko włożył go na głowę. Zła Urma zaczęła biegać wokoło, machać rękami, drapać ściany pazurami, ale nigdzie nie mogła Terna znaleźć, bo stał się niewidzialny. Podczas gdy wiedźma jak szalona rzuciła się po całej izbie, Terno spokojnie wyszedł na dwór, oddalił się nieco od domu Urmy, zdjął kaptur i schował go do kieszeni. Wówczas usłyszał głos:

– Wyjmij mnie!

Wyjął niebieski kwiat i puścił; kwiat poleciał, trzepocząc płatkami, prosto przed siebie, a Terno podążył za nim.

Wędrował cały dzień i wieczorem znalazł się w górach. Dokoła było dużo bardzo stromych ścieżek, a on już nie miał sił iść dalej. Schował więc do kieszeni kwiat i położył się w cieniu drzewa. Była już późna noc, a on spał ciągle. Księżyc świecił jasno i rozjaśniał szare skały. Było zupełnie cicho, jakby cała ziemia wokoło umarła. Nagle rozległ się krzyk. Terno zbudzony ze snu zerwał się na równe nogi. Przerażony rozejrzał się wokoło i spostrzegł wielką ropuchę, która deptała maleńkiego człowieczka. Terno chwycił wielki kamień i cisnął nim w ropuchę.

Przerazona ropucha wypuściła karzełka, a ten szybko podbiegł do swego wybawiciela i rzekł:

– Weź mnie na ręce. Z pewnością mnie uradzisz, mam tylko dwa cale i ważę tyle, co siedem ziarenek bobu.

Terno podniósł karzełka, a ten pocałował go w policzek i powiedział:

– Uratowałeś mnie, ale co z tego, kiedy i tak nie umkniemy przed ropuchą. To nie jest zwykła ropucha, lecz zła Urma; zaraz zwoła sto innych ropuch, które nas zabiją.

Słyszając to, Terno wyciągnął szybko z kieszeni zaczarowany kaptur i włożył go na głowę.

Zaledwie to uczynił, zbiegły się tłumnie olbrzymie ropuchy, aby uśmiercić jego i karzełka, ale nie mogły ich znaleźć, bo i on, i karzełek stali się niewidzialni.

Poszedł Terno z karzełkiem dalej. Szli przez resztę nocy, aż o świcie dotarli do górskiej jaskini. Mały człowieczek rzekł:

– Postaw mnie na ziemi i idź ze mną, a uczynię cię bogatym i szczęśliwym.

Zaprowadził Cygana do jaskini i w jej głębi zastukał trzy razy w skalną ścianę, wołając:

*Otwórzcie drzwi na oścież
bo idę do was z gościem.
Pocziwy z niego człowiek,
otwórzcie, braciszku!*

Kamienne drzwi uchyliły się i mały człowieczek rzekł:

– Zdejmij kaptur, żeby cię mogli zobaczyć moi bracia.

Terno wsadził kaptur do kieszeni i poszedł wraz z karzełkiem do pięknej izby ze świerkowego drzewa. Z drewnianej izby przeszli do izby żelaznej, gdzie wisiały wspaniałe strzelby i szable. Poszli dalej i znaleźli się w izbie ze srebra, w której na półkach od podłogi aż do sufitu stało mnóstwo srebrnych butelek. Otworzyli następne drzwi i znaleźli się w złotej izbie. Pośrodku izby siedział maleńki król z długą, siwą brodą, a wokół niego – ludzikowie tak samo jak on maleńcy i tak samo brodaci. Mały człowieczek zaprowadził Cygana przed oblicze króla i rzekł:

– Mój szanowny panie królu! Ten Cygan uratował mnie od śmierci. Zła Urma, mieszkanka gór, przemieniła się w ropuchę i tak mnie deptała, że o mało nie zdeptała na śmierć.

Król przyjrzał się Cyganowi i rzekł:

– Uratowałeś życie mojemu najlepszemu słudze. Chcę cię za to wynagrodzić i dać ci coś, co cię uszczęśliwi.

To rzekłszy, wyrwał sobie król z brody jeden siwy włos i dał Cyganowi, mówiąc:

– Jeślibyś się znalazł w biedzie, ale w takiej naprawdę wielkiej biedzie, to chuchnij na ten włos, a wtedy ja z całym moim ludkiem zjawię się, aby ci pomóc.

Potem zaprowadził król Cygana do srebrnej izby, dał mu jedną srebrną butelkę i powiedział:

– Jeśli pokropisz kamień wodą z tej butelki, zamieni się on natychmiast w złoto. Możesz w ten sposób przemienić nieskończoną ilość kamieni, bo wody w butelce nie ubywa.

Poszli dalej ku wyjściu i zatrzymali się w żelaznym pokoju. Tam dał król Cyganowi strzelbę i rzekł:

– Tą strzelbą będziesz zawsze celnie strzelał. Weź ją sobie i idź już, bo mieszkańcom ziemi nie wolno przebywać u nas za długo.

Maleńki człowieczek poprowadził Cygana ku wyjściu, ucałował go trzykrotnie na pożegnanie i rzekł:

– Wkrótce przybędziesz do stóp Szklanej Góry. Groźny smok pilnuje tam trzech dziewcząt, które są najpiękniejszymi dziewczętami świata. Jeśliby ci coś groziło, pamiętaj o srebrnym włosie z brody mojego króla!

Maleńki człowieczek znikł w jaskini, a Terno zaczął pilnie nasłuchiwać. Za chwilę usłyszał głosik niebieskiego kwiatka:

– Wyjmij mnie!

Terno wypuścił kwiat na swobodę, a on pofrunął na wschód, trzepocząc błękitnymi płatkami. Terno poszedł za nim.

Przed wieczorem przybył nad jezioro i położył się na brzegu, by odpocząć. Wtem ujrzał pływające po wodzie trzy złote gęsi. Schwycił strzelbę, zmierzył i wystrzelił. Dwie gęsi odleciały przestraszone, a trzecia najmniejsza, którą trafił strzał, zmieniła się w piękną dziewczynę i zawołała:

– Odczarowałeś mnie! Dzięki tobie odzyskałam ludzką postać. Mnie i moje dwie siostry zamienił w gęsi zły smok ze Szklanej Góry. Dziewczyna była tak piękna, że Terno zmrużył oczy, jakby patrzył w słońce.

– Zostanę twoją żoną – powiedziała dziewczyna – jeśli odczarujesz moje dwie siostry.

Nazajutrz udali się oboje na Szklaną Górę, gdzie mieszkał smok z dwiema gęsiami. Terno schował niebieski kwiat do kieszeni a wyciągnął długi siwy włos króla karzełków i chuchnął. W tej samej chwili ukazało się wiele tysięcy małych ludzików ze swym królem na czele.

Król rzekł:

– Wiem, czego potrzebujesz. Smok i złote gęsi mieszkają nie na wierzchołku Szklanej Góry, ale w jej wnętrzu. Chciałbyś się tam dostać, a nie potrafisz. My ci pomożemy!

Zaczęły karzełki bić młotami Szklaną Górę, dłubać, skrobać, wiercić, aż wreszcie wywierciły wielki otwór. Kiedy skończyły pracę, znikły tak szybko, jak się pojawiły.

We wnętrzu Szklanej Góry zadudniło i zagrzmiało, potem cała zabłysła, jakby ją ktoś nappełnił ogniem – i dwie złote gęsi wyleciały przez otwór. Terno schwycił strzelbę, wycelował, nacisnął spust – i oto dwie piękne dziewczyny sfrunęły na ziemię.

Ale teraz smok wyskoczył prosto na Cygana! Terno schwycił strzelbę, wypalił i smok zmienił się w kłęby kurzu i dymu, które uleciały z wiatrem. Wszystko skończyło się szczęśliwie.

Kiedy dym już przewiał, niebieski kwiat wzniósł się wysoko w górę i powiedział:

– Żegnaj, mój synku! Jestem duszą twojej matki i muszę już wracać do nieba, bo długo mnie tam nie było.

Po tych słowach niebieski kwiat znikł bez śladu. Terno ożenił się z najmłodszą z trzech sióstr. Dobrze im się działo, bo każdy kamień zamieniał się w złoto, skoro tylko Cygan pokropił go wodą ze srebrnej butelki.

Jak Cygan okpił diabła

Było raz trzynastu młodych Cyganów, którzy od urodzenia mieszkali w jednym ogromnym lesie. Postanowili oni któreś wiosny, że odłączą się od taboru i pójdą gromadą w świat, aby poznać obce miasta i obcych ludzi.

Bardzo byli ciekawi świata, a las poznali już od końca do końca i od korzeni aż po czuby sosen.

Wędrowali parę lat od miasta do miasta i od wsi do wsi. Nigdzie nie zaznali biedy ani głodu, bo wszędzie trafiała im się dobra robota i zarobek. Ale razu pewnego zawędrowali na ogromną pustynię, gdzie nie było żywej duszy. Nie było tam drzewa – ani nawet krzaka, nie było rzeki – ani nawet strumyka, trawy – ani nawet trawki. Trzy dni błądzili po tej okolicy zapomnianej przez Boga i ludzi, aż wreszcie czwartego dnia dotarli do wielkiej jaskini, zamkniętej na żelazne wrota. Byli bardzo zmęczeni i bardzo głodni, zastukali więc do tych wrót myśląc, że może mieszkańcy jaskini dadzą im jeść i pić. Wrota odemknęły się ze straszliwym zgrzytem i na głowy przybyszom osypało się mnóstwo rdzy – widać dawno już nikt żelaznych wrót nie otwierał. Na progu stanął kulawy diabeł i zapytał:

– Czego tu chcecie? Jesteście głodni i spragnieni? Wejdźcie, a ja dam wam jeść i pić!

Cyganie weszli do mieszkania diabła i zaraz zasiedli do stołu. Diabeł nagotował im smacznego mięsa, ugościł dobrym jadłem i napitkiem, toteż nasycili głód i ugasili pragnienie. Po jedzeniu odsapnęli, wypalili swoje fajeczki i pożegnawszy się z diabłem, zaczęli wychodzić. Wtedy diabeł podszedł do drzwi i wypuścił wszystkich prócz ostatniego.

– Ugościłem was – powiedział – więc ostatni do mnie należy. Zatrzymuję go!

I kiedy dwunastu było już na dworze, diabeł zatrzasnął za nimi żelazne wrota, a trzynasty Cygan został w diabelskiej jaskini.

Dwunastu Cyganów wyruszyło na dalszą wędrowkę. Byli smutni i zmartwieni, że utracili swego trzynastego towarzysza podróży. Chcieli uciekać jak najdalej od mieszkania diabła, ale pustynia była tak wielka, że zabłądzili i po trzech dniach znaleźli się znów w pobliżu jaskini. Głód tak im doskwierał, że ledwo trzymali się na nogach.

– Może zapukamy znowu do żelaznych wrót! – zapytał jeden z dwunastu Cyganów.

– Dobrze! – odpowiedzieli Cyganie. – Co będzie, to będzie, ale najemy się do syta.

I zapukali. Kulawy diabeł otworzył im wrota i tak jak przedtem nakarmił i napił. Ale kiedy już wychodzili z jaskini, stało się tak, jak za pierwszym razem: dwunastego diabeł zatrzymał w swoim domu.

Powtarzało się to co kilka dni: wracali do diabła, a kiedy wychodzili odeń, było ich za każdym razem o jednego mniej, bo po każdym odwiedzinach diabeł zatrzymywał tego, który wychodził ostatni. Kiedy odwiedzili diabła po raz jedenasty, weszło do jego domostwa tylko dwóch Cyganów, a wyszedł – tylko jeden. Wyszedł i sam błądził po ogromnej pustyni. Było mu bardzo smutno i samotnie, aż ledwo się dowlókł z powrotem do żelaznych wrót i zapukał. Kulawy diabeł otworzył mu i dał jeść i pić.

Kiedy Cygan nasycił głód i ugasił pragnienie, wstał od stołu, aby odejść. Ale diabeł zawołał:

– Hola, mój kochaneczku! Zostaniesz u mnie, bo jeden musi zostać, a przecież przyszedłeś do mnie sam!

– Dobrze – odpowiedział Cygan – tylko otworzę drzwi na chwilę, bo przyprowadziłem tu ze sobą jeszcze jednego.

– Zobaczę! – zawołał diabeł, otwierając wrota. – I tak mi się już nie wymkniesz!

Cygan przystanął na progu, odwrócił głowę i pokazał diabłu swój cień.

– Możesz go sobie zatrzymać! – zawołał.

W tej samej chwili diabeł zatrzęsął wrota, a Cygan został na dworze. Obejrzał się za siebie i spostrzegł, że cień jego znikł. Tymczasem diabeł za żelaznymi wrotami próbował podnieść cień z podłogi. Ale cień, jak to cień, nie dawał się schwytać. Przesunął się pod drzwiami do sąsiedniej komórki, w której zamknięci byli wszyscy schwytani przez diabła Cyganie. W pogoni za cieniem diabeł otworzył drzwi do komórki. Wtedy Cyganie wybiegli, otworzyli sobie żelazne wrota i umknęli w pustynię, gdzie czekał na nich trzynasty. Diabłu udało się wreszcie złapać w pazury nieuchwytny cień i zamknąć go w komórcie. Dopiero wtedy zauważył, że wszyscy jego więźniowie uciekli, ale za późno już było na pogoń. Diabeł zapłonął gniewem, aż ogień buchnął mu z uszu, a z nosa poszedł dym. Zagrzało i wejście do diabelskiego mieszkania zawałiła wielka skała. Nikt by się już nie domyślił, że była tu jaskinia, zamknięta na żelazne wrota.

Cyganie uradowani wolnością prędko poszli przed siebie. Nie minął miesiąc, gdy powrócili do swego taboru i postanowili, że już nigdy w życiu go nie opuszczą.

Tylko trzynasty Cygan nie miał cienia. Ale cóż znaczy brak cienia, gdy się wróciło wreszcie z daleka do swoich!

O rybaku, Urmie i ptaku Czarana

Pewien młody rybak postanowił wyruszyć w świat, aby szukać szczęścia. Wziął ze sobą kawałek chleba i skrawek słoniny, schował do torby i udał się w drogę. Kiedy znalazł się w lesie, usiadł sobie na pieńku, ułamał głąb chleba, uciął nieco słoniny i zabrał się do jedzenia. Smakowało mu to bardzo, bo już słońce było wysoko, a ostatni raz jadł, kiedy się dopiero budziło rankiem. Ale zaledwie odgryzł pierwszy kęs, zza drzewa wyszedł jakiś piękny chłopak z rozwianą czupryną i powiedział:

– Przyjacielu, bądź tak dobry i podziel się ze mną posiłkiem. Jestem bardzo zmęczony i chciałbym tutaj w lesie odpocząć nieco.

Rybak dał mu kawałek słoniny i kromkę chleba. Chłopak zjadł wszystko to łapczywie i rzekł:

– Dziękuję ci z całego serca! Jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, dmuchnij trzy razy w tę drewnianą fujarkę, a zjawię się przy tobie. Jestem Królem Wiatru!

Powiedziawszy to, dał rybakowi drewnianą fujarkę i rozwiął się bez śladu w powietrzu.

Zapadł już wieczór, kiedy rybak przyszedł nad brzeg wielkiego Jeziora. Usiadł na krawędzi urwistej skarpy i znowu zaczął jeść swój chleb ze słoniną. Ale zaledwie podniósł pajdę chleba do ust, ujrzał pięknego chłopca, odzianego w świetlistą szatę. Chłopiec usiadł przy nim na skraju skarpy i rzekł:

– Przewędrowałem dziś cały świat i nie miałem ani chwili czasu, aby coś przelknąć. Daj mi, jeśli możesz, kawałek chleba.

Rybak bez wahania dał chłopcu trochę chleba ze słoniną. Chłopiec zjadł posiłek w jednej chwili i dał rybakowi złotą fujarkę, mówiąc:

– Jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, dmuchnij trzy razy w tę fujarkę ze złota, a zaraz przybędę do ciebie. Jestem Królem Słońca.

Rzekłszy te słowa, chłopiec znikł i w tej samej chwili noc zapadła. Rybak położył się pod drzewem i zasnął. Ale zaledwie to uczynił i jeszcze żaden sen nie zdążył mu się przyśnić, obudził go jakiś szmer. Rybak otworzył oczy i zobaczył chłopca w srebrnym płaszczu, świecącym w ciemności nocy. Chłopiec odezwał się:

– Daj mi jeść, bo długą drogę mam przed sobą, a nigdzie nie znalazłem ani kawałeczka chleba.

Rybak dał mu jeść. Chłopiec w srebrnym płaszczu zjadł raz-dwa kawałek chleba ze słoniną, a potem podarował rybakowi srebrną fujarkę i powiedział:

– Jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, dmuchnij trzy razy w tę fujarkę ze srebra, a zaraz się zjawię przy tobie. Jestem Królem Księżycy. Rzekłszy te słowa, chłopiec oddalił się.

Była już północ, kiedy rybak zszedł ze skarpy i przysiadł nad samym brzegiem wody, tak że fale podbiegały aż do jego stóp. Długo przyglądał się rybom skaczącym z pluskiem nad powierzchnią wody. Nagle zauważył, że idzie w jego stronę jakaś piękna dziewczyna.

– Czego szukasz w tych stronach – zapytała – dokąd nigdy jeszcze nie zabłąkał się żaden człowiek?

– Jestem biednym rybakiem – odpowiedział – i poszedłem w świat, żeby szukać szczęścia.

– I znalazłeś szczęście? – zapytała dziewczyna.

Rybak popatrzył na nią.

Była w trzewiczkach z kaczeńców i w sukni uszytej z liści. Rzęsy miała takie długie, że ich cień okrywał jej policzki, a oczu wcale nie można było od nocy odróżnić.

Więc odpowiedział jej:

– Myślę, że znalazłem.

Rozmawiali ze sobą jeszcze długo, szeptali przez całą noc, a rankiem, kiedy zapały koguty w gęstwinie leśnej, wiedzieli już, że się kochają.

– Skąd się wzięły w tym dzikim lesie koguty? – zapytał rybak. Przecież sama mówiłaś, że nie ma tu nigdzie ludzkich siedzib.

– Tak – odpowiedziała dziewczyna. – Ale ja tu mieszkam. To moje koguty. Ja jestem dobrą Urmą. Zaprowadzę cię do mojego domu. Tam, jeśli zechcesz, zamieszkamy i będziemy szczęśliwi. Tylko pamiętaj: co noc będę wychodzić z domu, dokąd zechcę, a tobie nie wolno ani pytać mnie o to, ani śledzić moich kroków, ani podsłuchiwać, ani podglądać.

Rybak zgodził się na ten warunek, bo jak mógł się nie zgodzić? Przystałby z pewnością na warunki o wiele cięższe i trudniejsze do spełnienia, byle tylko piękna dziewczyna, dobra Urma, nie odeszła od niego na zawsze.

Poszli razem prosto przed siebie bezdrożem leśnym i wkrótce znaleźli się przed pięknym pałacem Urmy. Na wieżach pałacowych siedziały złote koguty. Piały dokładnie wtedy, kiedy nadchodziła godzina piania.

Długo mieszkał już rybak z Urmą w jej pałacu i oboje byli szczęśliwi. Pewnej nocy rybak przewracał się z boku na bok i nie mógł zasnąć. Księżyc stał w oknie i świecił z całej siły. Nagle odezwały się z wież koguty i zapały nocną godzinę. Rybak zdumiał się, bo zawsze spał o tej porze i nigdy nie słyszał tego piania. W tej samej chwili zobaczył, że piękna Urma ubrała się we wspaniałe szaty i cichutko, na palcach wyszła na dwór. W okamgnieniu zerwał się rybak z łóżka i wybiegł za nią, zapominając o swym przyrzeczeniu.

Ujrzał swoją żonę siedzącą na kamieniu. Przy niej przycupnął olbrzymi ptak, a ona karmiła go piersią, jak gdyby był jej dzieckiem.

Prerażony tym, co ujrzał, rybak wyskoczył ze swojej kryjówki w krzakach, aby przepędzić wielkie ptaszysko, ale ono schwyciło Urmę i odleciało, trzymając ją mocno w swych łapach.

Powrócił rybak do pałacu i tam, w komnacie Urmy, czekał na jej powrót. Nadaremnie. Nadszedł poranek, minął dzień i zapadł wieczór, a piękna Urma nie wracała. Rybak postanowił więc pójść w świat i dopóty wędrować, dopóki nie znajdzie pięknej Urmy, porwanej przez wielkiego ptaka.

Długo, długo wędrował po świecie, aż wreszcie przypomniał sobie o trzech fujarkach. Wziął drewnianą fujarkę i dmuchnął w nią trzy razy. Odezwały się w powietrzu poszumy i poświsty, zerwał się gwałtowny wiatr i ukazał się Król Wiatru. Wiedział już, po co rybak go wzywa, i rzekł:

– Nie wiem, gdzie się znajduje twoja żona. Musisz o to spytać Króla Księżycy.

Król Wiatru znikł w powietrzu, a rybak wziął srebrną fujarkę i dmuchnął w nią trzy razy. Wtedy zjawił się Król Księżycy i rzekł:

– Widziałem twoją żonę ostatni raz tej nocy, kiedy złamałaś dane jej przyrzeczenie i podglądałaś ją. Musisz zapytać Króla Słońca.

Gdy tylko Król Księżycy oddalił się, rybak dmuchnął trzy razy w złotą fujarkę. Ukazał się Król Słońca i rzekł:

– Wiem już, czego chcesz ode mnie. Ptak Czarana uwięził twoją żonę. Wiedz, że jest on demonem i żyje dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat, ale co noc musi go nakarmić mlekiem dobra Urma. Gdyby zdarzyła się taka noc, w której nie dostałby pokarmu, nie dożyłby do rana. Inna Urma, która do niedawna była karmicielką ptaka, umknęła odeń z pomocą swojego męża – wielkiego leśnego czarodzieja. Wówczas Czarana wybrał sobie twoją żonę i odtąd ona musi go karmić. Zagroził jej, że jeśli ktoś będzie go śledził, porwie ją i ukryje w

swojej niedostępnej kryjówce. Nie dziw, że gdy podglądałeś owej nocy, co czyni twoja żona, Czarana przeląkł się, byś mu jej nie odebrał; porwał ją i zamknął w żelaznej komnacie. Chodź ze mną, zaprowadzę cię.

Zaprowadził rybaka na wysoką górę i powiedział:

– Tam oto, w żelaznym mieście, mieszka ptak Czarana. Widzę właśnie, że twoja żona przykuta jest do ściany siedmioma łańcuchami. Wezwij na pomoc mojego brata, Króla Wiatru. Ja będę patrzył na łańcuchy tak gorącym spojrzeniem, że stopią się od niego jak masło. A mój brat, Król Wiatru, będzie dmuchał lodowatym podmuchem, aby uwieziona nie spłonęła od mojego gorącego wzroku.

Rybak dmuchnął w drewnianą fujarkę i w tejże chwili pojawił się Król Wiatru. Wtedy Król Słońca zaczął się wpatrywać w łańcuchy, którymi przykuta była Urma. A wpatrywał się tak gorąco, z takim słonecznym żarem, że łańcuchy przerwały się i spadły z jej rąk i nóg. Jednocześnie Król Wiatru dmuchał lodowatym i porywistym wiatrem. Pomieszało się zimno z ognistym skwarem, tak że piękna Urma ani nie spłonęła, ani nie zamarzała. Rybak chciał pobic do żelaznego miasta, ale ujrzał, że zostało ono doszczętnie roztopione przez Króla Słońca. Piękna Urma wybiegła rybakowi na spotkanie, wołając:

– O, ja nieszczęśliwa! Dlaczego nie dotrzymałeś obietnicy i podsłuchiwałeś mnie i podglądałeś?! I cóż z tego, że jestem teraz wolna? Za godzinę powróci tu ptak Czarana i kiedy zobaczy, że mnie nie ma, dogoni nas, bo jest w locie szybki jak najszybszy wiatr.

Rzekł Król Wiatru:

– Każę wiać wszystkim moim wiatrom i odprowadzić was jak najdalej. Ale musisz, rybaku, poprosić Króla Księżyca, aby też przyszedł nam z pomocą. Niech wam da swój lekki płaszcz księżycowy, na którym pofruniecie daleko stąd.

Dmuchnął rybak w srebrną fujarkę i oto Król Księżyca przyniósł mu swój srebrzysty płaszcz.

Rybak i Urma usiedli na księżycowym płaszczu, który wzniósł się w powietrze wraz z nimi.

Odfruwali coraz dalej od żelaznego miasta. Lecieli szybko jak błyskawica, bo wszystkie wichry dmuchały ze wszystkich swoich sił. W dzień przyświecał im Król Słońca, a w nocy – Król Księżyca. Ścigał ich, łopocząc olbrzymimi skrzydłami, rozgniewany ptak Czarana. Lecił coraz szybciej, zgrzytając dziobem, bo chciał rozszarpać rybaka, jak tylko go dogoni,

Tak uciekając przed ptakiem Czarana, który doganiał ich i był coraz to bliżej, okrążyli ziemię dziewięć razy. Gdy nadszedł następny dzień, zły ptak Czarana poczuł, że opuszczają go siły, bo już przez całą dobę leciał o głodzie – Urma nie dała mu nocą pokarmu. Lecił właśnie nad morzem, kiedy skrzydła mu opadły i runął martwy z wysoka prosto do wody.

Teraz gdy niebezpieczeństwo już minęło, rybak i Urma powrócili do swego zamku w lesie i odtąd żyli bardzo szczęśliwie, i choć do dziś nie zgubili trzech czarodziejskich fujarek, nigdy nie potrzebowali dmuchać w żadną z nich, bo nic im do szczęścia nie brak.

O cudownym ptaku

Był sobie miody Cygan, który bardzo lubił ptaki. Robił dla nich śliczne domki żeby miały w zimie przytulne i ciepłe schronienie. Powiesił sporo takich domków na skraju lasu, a resztę wziął na plecy, aby je sprzedać w mieście wielkim panom. Ale nikt nie chciał kupować ptasich domków. Słudzy pewnego pana rzekli Cyganowi:

– Nikt nie potrzebuje twoich domków. Możesz nimi napalić w piecu. Albo sprzedawaj je samym ptakom. Gdybyś robił klatki, to co innego... I nasz pan, i inni panowie chętnie kupowaliby je od ciebie.

Wrócił Cygan do lasu głodny i bez grosza.

– Kazań mi robić klatki – powiedział ptakom. – A ja nie chcę sporządzać więzień dla was. Co robić, skoro domków nikt nie chce kupować?

– Rób klatki – powiedziała sikora – z których łatwo wyfrunąć na wolność. Z boku każdej klatki zrób takie pręciki, aby je można było leciutko odsunąć dziobkiem.

– Dziękuję ci za radę! – powiedział Cygan i zabrał się do robienia klatek. Kiedy już zrobił dziesięć, poszedł do miasta aby je sprzedać.

Od razu w pierwszym domu, do którego Cygan zapukał, panowie i panie kupili wszystkie klatki. Uradowany Cygan kupił za otrzymane pieniądze jedzenie dla siebie i dla leśnych ptaków i zrobił znowu dziesięć klatek takich samych jak przedtem.

Kiedy przyszedł z nimi do miasta, nie sprzedał ani jednej klatki i jeszcze ludzie odpędzali go od drzwi.

– Dlaczego nie chcecie moich pięknych klatek! – zapytał Cygan sługę jednego wielkiego pana.

– Bo twoje klatki wypuszczają każdego ptaka; i malutkiego mysikrólika, i dużego gołębia – odrzekł sługa.

Cóż miał robić biedny Cygan! Udał się w powrotną drogę do swojego lasu z całym naręczem niesprzedanych klatek. Szedł dwie mile, a potem usiadł sobie przy drodze i westchnął, mówiąc te słowa:

– Jakby to dobrze było, gdybym miał coś do zjedzenia. Taki jestem głodny!

Wtem nadszedł jakiś stary człowiek z siwą brodą. Cygan podniósł się z ziemi i zaczął żebrać:

– Wielmożny panie, proszę dać głodnemu parę groszy na kawałek chleba!

Stary człowiek zatrzymał się i rzekł:

– Jesteś przecież młody. Mógłbyś się wziąć do roboty!

Cygan zapłakał i powiedział:

– Zrobiłem piękne klatki, ale nikt ich nie chciał kupić, bo to są klatki, z których każdy ptak może bez trudu wydostać się na wolność. Nie mogłem przecież robić więzień dla ptaków, klatek zamkniętych na głucho!

– Spójrz! – powiedział stary człowiek. – W jednej z twoich klatek siedzi ptak, który da ci wszystko, czego tylko zapagniesz.

Spojrzał Cygan i zobaczył w klatce przepięknego ptaszka o czerwonej główce, białych nóżkach i czarnych skrzydełkach. Cygan ucieszył się bardzo i zawołał:

– Kochany ptaszku! Daj mi jeść i pić!

W tej chwili zjawilo się jedzenie i picie; dużo pieczonego mięsa, chleba pytlowego, ciastek, słoniny i wina. Cygan był tak zgłodniały, że od razu rzucił się do jedzenia i dopiero kiedy zaspokoił pierwszy głód, przypomniał sobie, że trzeba podziękować starymu człowiekowi. Ten już jednak odszedł.

Cygan też z ochotą poszedłby już do domu, ale po długiej drodze był zmęczony, a po całym jedzeniu czuł błogą senność i nie chciało mu się wędrować do domu piechotą.

– Wiesz co, mój kochany ptaszku? – rzekł. – Dobry koń by mi się przydał, bo jestem bardzo, ale to bardzo zmęczony.

Natychmiast zjawil się znikąd piękny koń, a Cygan dosiadł go i rzekł znowu:

– Kochany ptaszku! Chodzę obdarty, nie mam żadnego porządnego ubrania...

W okamgnieniu zjawilo się ubranie, w które Cygan zaraz się przebrał. I pomyślał sobie: „Ruszę w świat. Cóż mam robić w domu, po co miałbym wracać do mojego lasu? Wszystkie ptaki dostały już ode mnie domki, a ja sam mam już wszystko, czego mi trzeba”.

I ruszył w świat. Jechał na szybkim koniu, aż dojechał do wspaniałego pałacu, w którym mieszkał książę nad książętami. Zeskoczył Cygan z konia, siadł pod murem zamkowym i wypuścił cudownego ptaka, aby pofruwał i rozprostował sobie skrzydełka. Ptak odezwał się do Cygana:

– Czego chcesz, czego pragniesz, powiedz, a ja wszystko spełnię.

– Nic mi nie potrzeba – powiedział Cygan. – Dobrze mi, ciepło i syto, mam cały świat do wędrowania. Nie potrzebuję nic więcej. Tylko przespać się chcę nieco, ale snu nie musisz, ptaszku, sprowadzać do mnie: sam przyjdzie.

Rzekłszy te słowa Cygan położył się na trawie i usnął. Wtedy zza muru wyszedł na palcach sługa książęcy, który z ukrycia wszystko widział i słyszał. Ostrożnie, na palcach, aby nie zbudzić Cygana, podszedł bliżej i szepnął do cudownego ptaka, wyciągając przed siebie czapkę:

– Daj mi dwie garście złota i garść brylantów.

Ledwo wyrzekł te słowa, a czapka napełniła się złotem i brylantami.

Sługa odbiegł czym prędzej z tymi skarbami, aby je schować w swoim sienniku. Brylanty świeciły jednak takim blaskiem, że książę i księżna dostrzegli je z daleka i choć sługa starał się przenieść je ukradkiem i niepostrzeżenie, zatrzymali go i kazali mu oddać skarb. Potem rozkazali pojmać Cygana i odebrać mu cudownego ptaka.

– Przyda się nam ten ptaszek – rzekła księżna. – Zażądamy, aby wyczarował nam trochę szczerego złota i pokrył nim dach naszego pałacu, bo kawki pokradły nam prawie wszystkie złote dachówki i deszcz przecieka do twojej komnaty, mój mężu.

– Tak, bardzo się nam przyda ten ptak cudowny! – potwierdził książę. – Jest bardzo podobny do naszej Cyganki, którą uwięziłem rok temu. Z pewnością Cyganka zaufa mu i wyzna tajemnicę cygańskich skarbów. Zdobędziemy je i będziemy jeszcze bogatsi.

Słudzy przyprowadzili Cygana przed oblicze księcia, ale kiedy próbowali wydrzeć mu klatkę, cudowny ptaszek zmaliał w okamgnieniu, poszarzał, kolory jego znikły i stał się bardziej niepozorny niż zwykły wróbel. Na próżno książę i księżna żądali odeń przeróżnych skarbów i cudowności: ptak nie dał im nic, jakby wcale nie był zaczarowanym ptakiem.

Rozgniewał się książę i kazał wtrącić Cygana wraz z ptakiem do więzienia w podziemnych lochach. Kiedy zatrzaśnięto już za nim okute żelazem drzwi, Cygan ujrzał piękną dziewczynę siedzącą w kąci królewskiego więzienia. Włosy miała tak czarne jak skrzydełka cudownego ptaszka, zęby białe jak jego nóżki, a usta czerwone – jak jego główka.

Opowiedziała Cyganowi swoją historię. Zły książę podsłuchał przed rokiem, jak śpiewała w lesie pieśń o cygańskim skarbie. Rozkazał, aby zdradziła mu, co to za skarb i gdzie jest

ukryty. Ale ona nie powiedziała mu ani słowa. A zresztą, nawet gdyby wyznała tę tajemnicę, nic by mu z tego nie przyszło. Ten skarb cygański – to wędrowanie. Zły książę, sam nie wiedząc o tym, odebrał jej skarb największy, wtrącając ją do więzienia. A przecież wędrowanie na nic się książętom nie przyda!

Cygan pokochał dziewczynę od pierwszej chwili i karmił ją pożywieniem, wyczarowanym przez cudownego ptaka.

Co dzień przychodził do lochów książę i chwycił klatkę. I za każdym razem ptak szarzał i tracił swą moc czarodziejską, tak że książę musiał zostawiać go w więzieniu wraz z Cyganem.

Pewnej nocy okute drzwi otworzyły się i do lochu wszedł stary człowiek; ten sam, który kiedyś podarował Cyganowi cudownego ptaka.

– Jestem opiekunem wędrówek – rzekł stary człowiek – jestem opiekunem ptasich lotów i cygańskich włóczęg. Pomagam ptakom i Cyganom. Byłem daleko i dopiero dziś dowiedziałem się o tym, że zostałeś uwięziony. Za to, że obdarzyłeś wolnością wielu moich skrzydlatych wychowanków, jesteś wolny! Chodź ze mną...

Ale Cygan nie ruszył się z miejsca; spojrzał na siedzącą w kąciu dziewczynę i rzekł:

– Zostanę z nią. Nie chcę, żeby była tu sama. Mój ptak dawał jej jeść i pić, a bez niego i beze mnie zginie ze smutku i z głodu!

– Chodźcie razem – powiedział stary człowiek.

Kiedy wyszli i obejrzeni się, starego człowieka już nie było. Ruszyli na wspólną wędrówkę, bo kochali się bardzo i za nic w świecie nie rozstaliby się ze sobą.

Nadeszła jesień. Wypuścili więc cudownego ptaka, aby mógł odfrunąć przed zimą do ciepłych krajów. Może wiosną powróci do nich? Ale nawet gdyby nie wrócił, nic im się złego już nie przytrafi. Są zawsze razem i nie ustają w leśnych wędrówkach, a ptaki wskazują im najlepsze drogi i najbezpieczniejsze bezdroża.

O zagadkach karzełka

Żyli raz czterej bracia w wielkim lesie i wielkiej biedzie. Pewnego dnia najstarszy brat powiedział swym trzem braciom:

– Dość mam już tej nędzy, chłodu i głodu! Nie chcę być wciąż biedakiem. Pójdę w świat, a kiedy się wzbogacę, powrócę po was. Czekaście, na pewno wrócę.

I poszedł prosto przed siebie. Szedł dzień i noc bez jedzenia i bez picia. W dzień drogę pokazywały mu jego własne oczy – wszystko jedno którą; w nocy drogowskazami były mu gwiazdy – każda wskazywała inną stronę, a on szedł to za przewodem jednej gwiazdy, to drugiej, bo mu było wszystko jedno, szedł byle gdzie. Bogactwo mogło nań czekać i tu, i tam, a on nie znał do niego drogi. Kiedy szedł przez wielki las, poczuł tak wielkie zmęczenie i senność, że położył się spać pod drzewem, choć było południe.

Nagle podszedł do niego malutki karzełek o długiej, białej brodzie i wrzasnął:

– Wstawaj, śpiochu! Jesteś biedakiem, a w biały dzień wylegujesz się na mchu i śpisz! Jesteś leń i nie chce ci się pracować! Wstawaj!

Biedny Cygan zerwał się na równe nogi i rzekł:

– Jestem biedny, zmęczony i nie mam pracy.

– Chodź do mojego domu – odrzekł karzełek – dostaniesz jeść i pić. Mało tego. Dostaniesz pieniędzy, srebra i złota, ile tylko zechcesz, byleś tylko odgadł zagadkę, którą ci opowiem. Nie zgadniesz – będziesz moim parobkiem.

Poszli we dwóch w głąb lasu.

Tam w środku gęstwiny stał piękny dom, zbudowany z kamieni i drzewa.

– Patrz! – zawołał karzełek, otwierając wielką skrzynię pełną srebra i złota. – To wszystko będzie twoje, jeśli mi powiesz, co to jest:

*Drewno i cztery sznureczki,
patyk i włosów bez liku –
zapraszają do tańca
wszystkich taneczników!*

Cygan odpowiedział:

– Naprawdę nie wiem, co to może być.

– Dobra! – zawołał karzełek. – Jeśli nie wiesz, to ci powiem: s k r z y p c e! No, ale dość gadania, nie zgadłeś, więc jesteś moim parobkiem. Zostajesz tu i będziesz mi służyć.

Biedny Cygan musiał odtąd ciężko pracować. Nie miał nawet chwili czasu na odpoczynek, bo karzełek wciąż go pilnował i nie dawał mu jeść, jeśli widział, że parobek nie dość pilnie i zbyt powoli pracuje.

Tymczasem trzej bracia, którzy pozostali w domu, nie wiedzieli wcale, co się dzieje z ich bratem najstarszym, który poszedł w świat szukać bogactwa. Niepokoili się bardzo o niego. Aż raz powiedział drugi brat:

– Nasz brat nie wraca. Teraz ja pójdę w świat, odnajdę go, wzbogacę się, a potem przyjdziemy obaj po was.

I poszedł drugi brat, a kiedy dotarł do wielkiego lasu, położył się spać pod drzewem, żeby nieco odpocząć. Kiedy usnął, przyszedł doń malutki karzełek, zbudził go i wrzasnął:

– Wstawaj, śpiochu! Jesteś biedakiem, a nic nie robisz, pracować ci się nie chce! Chodź do mnie, dam ci jeść i pić, a oprócz tego dostaniesz jeszcze mnóstwo złota, srebra i pieniędzy. Musisz tylko odgadnąć moją zagadkę.

Poszedł Cygan razem z karzełkiem, a kiedy weszli do pięknego domu w lesie, karzełek pokazał mu skrzynię pełną złota i srebra i rzekł:

– Teraz słuchaj uważnie! Co to jest:

*Choć łap ni zębów nie ma ta gadzina,
nawet niedźwiedzia za łeb mocno trzyma.
Gdy ją podniesiesz – grzechocze okropnie,
a nie drgnie nawet – kiedy jej nie dotkniesz!*

Cygan odpowiedział:

– Nie wiem, co to może być. Nie jestem aż taki mądry, żebym mógł to wiedzieć!

– Dobra! – zawołał karzełek. – Jeśli jesteś taki głupi, że nie potrafisz tego odgadnąć, ja ci powiem, co to: to łańcuch. No, ale dość już tego gadania. Nie zgadłeś, więc jesteś moim parobkiem. Zostaniesz tu i będziesz mi służył.

Tak więc już dwóch braci dostało się na służbę do złośliwego karzełka i obaj byli bardzo zapracowani i nieszczęśliwi. Tymczasem dwaj bracia nie wiedzieli wcale, co się stało z ich starszymi braćmi, którzy poszli w świat szukać bogactwa. Niepokoili się o nich bardzo. Aż pewnego dnia rzekł trzeci brat:

– Kochany braciszku! Nasi dwaj bracia chyba zapomnieli o nas albo coś złego się z nimi stało. Pójdę i ja w świat, odszukam ich, a potem wszyscy trzej przyjdziemy po ciebie.

I poszedł. Po pewnym czasie, zmęczony długą drogą, dotarł do wielkiego lasu i tam położył się na mchu pod drzewem. Gdy sen go zmorzył, zjawił się nagle tuż obok niego karzełek i tak wrzasnął, że zbudził śpiącego:

– Wstawaj, śpiochu! Jesteś biedakiem, a śpisz w biały dzień zamiast pracować! Wstań i chodź ze mną. Dam ci jeść i pić, dam ci dużo pieniędzy, srebra i złota, jeśli odgadniesz moją zagadkę.

Poszedł trzeci Cygan razem ze złośliwym karzełkiem. W domu karzełek pokazał mu skarby i pieniądze, mówiąc:

– To wszystko będzie twoje, jak tylko mi odpowiesz na moje pytanie. Słuchaj! Co to jest:

*Choć czterech braci się uwija,
nie mogą konia dognać nijak!*

– Nie wiem, co to jest – odrzekł Cygan. – Nie chodziłem do szkoły, więc nie mogę być tak mądry jak ty. Przecież ty jesteś stary, więc zdażyłeś się w życiu nauczyć wielu mądrości, a ja jestem jeszcze bardzo młody, to i skąd mam wiedzieć wszystko?

– Dobra – zawołał karzełek. – Nie wiesz, to ci sam powiem: to są koła u wozu!

– Ach, prawda! – zaśmiał się Cygan głośno. – Że też ja tego nie odgadłem!

Ale karzełek powiedział:

– Nie masz się czego śmiać! Płakać byś powinien! Za głupotę zostaniesz u mnie i będziesz moim parobkiem.

Nie mógł się sprzeciwić biedny Cygan i wraz ze swymi dwoma braćmi zaczął pracować u złego karzełka.

Tymczasem ostatni, najmłodszy brat, nie mógł się doczekać powrotu swoich braci. Żył po ich odejściu zupełnie sam, nie miał z kim porozmawiać ani pożalić się komu na swoją biedę i

samotność. Nie miał nawet psa, z którym by mógł się zaprzyjaźnić. Ale raz, kiedy poszedł do lasu na grzyby, spotkał niedźwiedzia, który nie miał żadnej rodziny i też mu było smutno żyć samemu. Potem spotkał Cygan jeszcze lisa, którego ludzie schwyтали kiedyś i trzymali w klatce, a kiedy im uciekł, nie mógł już znaleźć w lesie ani swych rodziców, ani nikogo z lisiego rodu. Wreszcie pewnego dnia Cygan spotkał wilka, którego wyгнаła z nory rodzina i skazała go na samotną tułaczkę za to, że nie chciał skradać się do wsi ani porywać owiec.

Wszyscy trzej – niedźwiedź, lis i wilk – polubili Cygana, a i on ich polubił, bo samotni najbardziej kochają samotnych. Pewnego razu powiedział Cygan swoim leśnym przyjaciołom:

– Miałem trzech starszych ode mnie braci, ale poszli w świat szukać szczęścia i ślad po nich zaginął. Teraz na mnie kolej, ja pójdę w świat. Chodźcie ze mną.

– Dobrze! – odpowiedziały mu zwierzęta i wyruszyły razem z nim na wędrówkę.

Po całodziennym marszu dotarli wreszcie do starego lasu. Cygan rzekł:

– Poszukajcie teraz czegoś do zjedzenia dla siebie i dla mnie, a ja tymczasem prześpię się trochę. Tylko pamiętajcie: wracajcie do mnie, gdy tylko na was zagwizdę.

Zwierzęta odeszły, a Cygan położył się pod drzewem i zasnął. Za parę chwil przybiegł doń karzełek i zawołał:

– Hej, ty śpiochu! Wstawaj! Do roboty!

Cygan wstał i zapytał karła:

– Czego chcesz ode mnie?

– Chodź – odpowiedział karzełek – a dostaniesz jeść i pić, potem jeszcze wiele złota, srebra i pieniędzy, jeśli rozwiążesz zagadkę, którą ci powiem.

Poszli więc razem do pięknego domu w głębi lasu, a tam karzełek pokazał Cyganowi skarby zgromadzone w skrzyni i rzekł:

– Całe to srebro i wszystko złoto będzie twoje, tylko mi powiesz, co to:

*Długi i szary wąż
po ziemi pełźnie wciąż!*

To jest droga – odpowiedział Cygan. Dobrze! – zawołał karzełek.

– Jesteś mądrzejszy niż twoi starsi bracia, którzy są u mnie za parobków. Ale przecież ja potrzebuję i mądrego sługi, więc zostaniesz u mnie i będziesz mi służył!

– O, nie! – zawołał Cygan. – Nie ma mowy! Daj mi tylko srebro i złoto, któreś mi obiecał za rozwiązanie twojej zagadki!

Ale karzełek nie chciał nawet słyszeć o tym i zaczął bić Cygana, bo choć był maleńki, siły miał tyle, co trzech olbrzymów. Wtedy Cygan zagwizdał i oto w okamgnieniu przybyli doń jego przyjaciele: niedźwiedź, lis i wilk.

Lis sprytnie podkradł się do karła i przewrócił go na ziemię.

Wilk chwycił karła w zęby i podrzucił go w górę.

Niedźwiedź zaś mocno trzepnął go od spodu swoją silną łapą, aż zły karzełek wyleciał w powietrze jak piłka. Wyleciał tak wysoko, że do dziś nie spadł jeszcze.

A czterej bracia byli nareszcie znowu wszyscy razem na swobodzie. Wzięli więc złota i srebra, ile tylko mogli udźwignąć, a resztę nieśli: niedźwiedź, lis i wilk.

Niech im się dobrze dzieje!

O dziewczynie, która przędła swoje złote włosy

Była już jesień, odleciały ptaki i fruwały w powietrzu tylko żółte liście. Tabor cygański przejechał nocą przez granicę, kierując się na południe. Tylko jeden biedny Cygan zaspał i nie odjechał wraz ze swoimi.

Kiedy zaśwyczał poranek. Cygan ocknął się i chciał biec za taborem, ale było już za późno – wiatr zamiótł ślady. Cóż miał robić! Sklecił sobie szałas z gałęzi i zamieszkał sam jeden w lesie.

Przez kilka dni żywił się jagodami, których znalazł trochę, a potem zaczął przymierać z głodu. Słaby i głodny położył się na słomie w kącie szałas i odezwał się do siebie:

– Jeśli jutro, kiedy wstanę z legowiska, życie moje nie polepszy się choć trochę, to utopię się. Po co mi żyć w takiej nędzy?

Ledwo to powiedział, rozległ się króciutki szum w liściach i sto zimnych kropli spadło, przenikając do środka szałas. Cygan nie wiedział, co to być mogło, bo niebo było pogodne, bez jednej chmurki, a ostatni deszcz padał poprzedniego dnia. Wyrzwał z szałas i zobaczył, że między konarami dębu a szałasem rozpięta jest wielka sieć pajęcza o nitkach ze złota. Siedział na niej wielki, niebieski pająk – nie mniejszy od jeża. Kiedy Cygan wychylił głowę, pająk potrząsnął silnie siecią, a wtedy z dębowych liści znów osypały się krople wczorajszego deszczu.

– Czego chcesz, pająku?! – krzyknął Cygan.

– Chcę ci coś powiedzieć – odrzekł pająk. – Wiem, że jesteś sam, biedny i głodny. Wiem też, że postanowiłeś pożegnać się jutro z życiem, jeżeli twój los nie odmieni się na lepsze. Posłuchaj mojej rady, a będziesz mógł odnaleźć szczęście, które cię opuściło. Idź w góry. Tam u wejścia do jaskini spotkasz piękną dziewczynę, która przędzie swoje własne złote włosy. Powie ci ona, co masz robić, aby zostać szczęśliwym...

Takie były słowa pająka. Nie rzekł już nic więcej, bo właśnie nietoperz wpadł mu w sieć, więc musiał się nim zająć.

Biedny Cygan długo nie mógł zasnąć, a potem spał krótko, zbudził się bardzo wcześnie i wyruszył w drogę. Szedł prędko, bo przynaglały go głód i ciekawość. Wkrótce znalazł się w górach. Słońce było jeszcze nisko, kiedy góry otaczały już Cygana ze wszystkich stron. Nie wiedział, jak ma iść, ani którądy, więc błądził prawie do zmroku, aż wreszcie o zachodzie słońca znalazł wejście do jaskini i zobaczył piękną dziewczynę, która przędła swoje własne złote włosy. Ścinała je wielkimi nożycami, a potem snuła długą, niekończącą się nić. Kiedy spostrzegła nadchodzącego, rzekła:

– Nareszcie! Może ten człowiek mnie ocali?

I opowiedziała Cyganowi o sobie. Oto jej opowieść:

– Przyszłam na świat z długimi, szczerozłotymi włosami. Matka moja umarła. Zła macocha sprzedała mnie potworowi, a on uwięził mnie tutaj. Odtąd muszę praść swoje włosy i tkać z tej przędzy płótno na ubranie dla potwora. Włosy odrastają mi szybko i ledwie zdołam

uprząść nici i utkać jedną sztukę płótna, już chwytam nożyce i zaczynam od początku. Moja praca nie kończy się nigdy. Czy chcesz mnie oswobodzić?

– Chcę! – powiedział Cygan. – Muszę cię oswobodzić!

– Ale ostrzegam – rzekła Złotowłosa – że to niełatwa sprawa. Wiele cierpień cię czeka i meczami.

– To trudno – rzekł Cygan. – Chciałem już pożegnać się z życiem i nie bałem się, więc i cierpień się chyba nie przestraszę. Usłyszawszy odważne słowa Cygana, Złotowłosa kazała mu iść z sobą do jaskini. Powiedziała, że gdy nocą potwór powróci i zapyta go o coś, nie może odpowiedzieć mu ani słowa. Potwór będzie pytał i pytał, ale on musi milczeć i milczeć, choćby potwór go bił, kopał, męczył i dręczył. Tak będzie przez godzinę, a potem potwór odejdzie i nie wróci już tej nocy, a wraz z jego odejściem wszystek ból zniknie.

Oboje, Cygan i Złotowłosa, weszli do jaskini i tam Cygan położył się, aby wypocząć. Leżał i tak myślał: „Przecież miałem zamiar odebrać sobie życie, więc mi całkiem wszystko jedno, czy zrobię to sam, czy też zły potwór mnie wyręczy”.

– Czy potwór przyjdzie o północy? – zapytał.

– Przyjdzie pięć minut przed dwunastą, a wyjdzie pięć minut przed pierwszą – odpowiedziała Złotowłosa.

Nagle stało się jasno w całej jaskini i ogromny potwór wszedł do wnętrza. Podeszedł do Cygana i zapytał grzmiącym głosem:

– Kto ty jesteś?!

Ale Cygan nie odpowiedział ani słowa.

– Czyś głuchy!! – ryknął potwór. – Mów, kim jesteś! Skąd się tu wzięłeś?!

Ale Cygan nawet ust nie otworzył, wciąż milczał jak zaklęty.

– Nie słyszysz mnie? – zapytał potwór groźnie. – A może udajesz, żeś ogłuchł?!

Ale Cygan nawet pary z ust nie puścił. Usłyszał właśnie, że zegar jaskiniowy wybił godzinę dwunastą: dwanaście kamiennych sopli spadło z brzękiem na ziemię. „To dopiero minęło pięć minut – pomyślał. – Jeszcze prawie cała godzina została”. I ze strachu włosy zjeżyły mu się na głowie. Teraz potwór zaczął go dręczyć; chłostał go swoją brodą, twardą jak miotła, przewrócił Cygana na ziemię i tańczył na nim, depcząc go i przytupując.

Ale i to nie pomogło. Cygan nie powiedział nic, nie jęknął nawet ani nie stęknął.

Kiedy potwór odszedł, złotowłosa dziewczyna uściskała i ucałowała Cygana za to wszystko, co dla niej przecierpiał.

– Jeszcze tylko dwa razy musisz wytrzymać taką próbę – rzekła – a będę uwolniona od tego potwora i oboje będziemy szczęśliwi! Cygan nie czuł już bólu ani trochę. Nazajutrz rano usiadł koło dziewczyny u wejścia do jaskini i rozmawiał z nią o tym, co będzie, jeśli uda mu się zwyciężyć potwora. Dziewczyna przedła swoje złote włosy, a potem – aż do zmroku tknęła ze złotego przedziwa wielką, złotą płachtę. Po zachodzie słońca weszli oboje do jaskini i Cygan zdrzemnął się trochę. Nagle zrobiło się jasno i zjawił się potwór, niosąc wielkie kleszcze i młot.

– Skąd tu przybyłeś? – zapytał znowu Cygana. – Czego tutaj szukasz?!

Gdy i tym razem nie było żadnej odpowiedzi, potwór schwycił kleszcze oburącz i zaczął szczypać nimi Cygana, a potem ujął młot i walił go nim ze wszystkich sił po grzbiecie. Tak minęła godzina i potwór, chcąc nie chcąc, musiał odejść z jaskini, jak zwykle o godzinie za pięć pierwsza.

Skoro tylko odszedł, ból minął Cyganowi bez śladu, a złotowłosa dziewczyna znowu uściskała go i ucałowała. Rankiem usiedli u wejścia do jaskini i tam spędzili cały dzień, a wieczorem weszli do skalnych lochów jak dnia poprzedniego. Cygan pomyślał ze zgrozą, że znów czekają go nieludzkie cierpienia, i rzekł do dziewczyny:

– Jesteś piękna i piękne są twoje włosy. Chciałem cię ratować, ale czuję, że nie wytrzymałbym już więcej tych uderzeń i boleści. Dość mam męczarni, pójdę już sobie stąd.

Ale Złotowłosa poczęła błagać go i zaklinać, aby tego nie robił i został jeszcze ten jeden jedyny, ostatni raz. Rzekła:

– Wiem, że mi nie odmówisz i zrobisz to dla mnie. To już ostatni raz. Tylko pamiętaj, kiedy potwór zechce odejść za pięć pierwsza, przytrzymaj go jeszcze chwilę, tak aby wyszedł z jaskini dokładnie o pierwszej godzinie.

Cygan zgodził się pozostać i kiedy potwór znów zjawił się w jaskini, zagryzł usta, zacisnął szczęki, żeby nie wyrwało mu się z ust ani jedno słowo. I nie wyrwało się ani jedno. Potwór chłostał Cygana i przypiekał ogniem buchającym z gęby. Na nic wszystkie wysiłki! Minęła godzina i potwór chciał już odejść, ale wtedy Cygan uczepił się oburącz jego brody i nie puszczał. Tak szamotali się przez kilka chwil, aż wreszcie potwór cisnął Cyganem o ziemię i wybiegł.

– Zaraz będzie bić zegar jaskiniowy godzinę pierwszą – powiedziała dziewczyna, nasłuchując uderzenia o skałę spadającego sopła kamiennego. Ale nie rozległ się żaden dźwięk.

– No, zwyciężyłeś złego demona! – zawołała Złotowłosa. Chodźmy, zobaczymy, co się z nim stało i dlaczego zegar nie wybił godziny.

Poszli i zobaczyli, że demon leży u wyjścia z Jaskini martwy, przebity kamiennym sopłem na wylot. A stało się to dokładnie o pierwszej godzinie po północy. Właśnie wtedy potwór wychodził i kamienny sopel ugodził weń śmiertelnym ciosem.

Dziewczyna była wolna! Cygan ożenił się z nią i było im dobrze, i nic im nie brakowało, bo za złote włosy, które obcinali raz na tydzień, dostawali dużo pieniędzy. A jeszcze więcej – za tkaniny ze złotych włosów. Dziewczyna nie musiała już tkać ich sama, tylko przywiązywała przedziwo do ogonków myszy jaskiniowych; one biegały same na krzyż – tam i z powrotem, tam i z powrotem...

I w kilka chwil potrafiły utkać ze złotej przędzy całe wielkie prześcieradło.

O Cyganie i czerwonym wężu

Miał Cygan Phuro dwóch synów. Młodszy z nich był posłuszny i dobry, a starszy nierób i zły. Co dzień powozili synowie końmi – raz starszy, a raz młodszy, na zmianę. Właśnie przyszedł czas jazdy i Phuro dał lejce swemu młodszemu synowi.

– Jedźmy – powiedział. – Ty dziś będziesz powoził.

Weszli dwaj Cyganie pod płócienną budę wozu, a młodszy syn trzasnął z bicia i konie ruszyły w drogę. Droga była piaszczysta i konie z trudem ciągnęły wielki cygański wóz. Koła skrzypiały miarowo i sennie, jakby ktoś śpiewał kołysankę. Toteż młodszy syn usnął wkrótce, a konie szły same prosto przed siebie.

Kiedy się młodszy Cygan ocknął, było już południe. Konie stały na rozstajach dróg.

– Wio! – zawołał Cygan. – Jedźcie w prawo!

Szarpnął lejcami, krzyczał, ale nic z tego. Konie szarpały wozem, przebierały nogami w miejscu – i tyle. Wóz stał nieporuszony, jakby korzenie w ziemię zapuścił.

Zeskoczył Cygan z kozła, żeby zobaczyć, co się stało, i ujrzał wielkiego, czerwonego węża, który wplótł się między szprychy tylnego koła, a ogonem owinął luśnię u wozu tak mocno, że koło wcale nie chciało się kręcić.

Sięgnął Cygan do swojej torby, wyjął kawałek pieczonego mięsa i dał wężowi. Wąż pomierdał ogonem z zadowolenia i połknął mięso, a potem odezwał się w te słowa:

– Dziękuję ci za twoje dobre serce. Nie jestem zwyczajnym wężem, ale dobrym demonem, opiekunem cygańskich wędrowek. Jedźcie w lewo.

To powiedziawszy, wąż ześliznął się z koła. Cygan wskoczył na kozioł i pokierował końmi w lewo.

Dobrze radził czerwony wąż! I droga była lepsza, i lasy większe. Na skraju dąbrowy, nad jeziorem.

Cyganie zatrzymali się, aby przenocować.

Nazajutrz rano Phuro dał lejce swemu starszemu synowi i rzekł:

– Jedźmy. Ty dzisiaj będziesz powoził.

I ruszył wóz, a na koźle zasiadł tym razem starszy brat. Koła śpiewały w drodze swoją skrzypiącą kołysankę, aż Cygan usnął. Zbudził się dopiero w południe i zobaczył, że znajduje się przy rozstajnych drogach, a konie stoją i jedzą trawę rosnącą nad rowem. Zerwał się starszy brat z kozła, aby zobaczyć, co się stało, ale nic nie dojrzał; droga była pusta. Trzasnął więc z bicia raz i drugi, konie szarpnęły, ale wóz nie ruszył z miejsca. Wtedy Cygan zszedł z wozu, aby go popchnąć. Wtem zauważył wielkiego, czerwonego węża, który wplótł się między szprychy tylnego koła, a ogonem owinął luśnię, tak że koło ani rusz nie mogło się kręcić.

– Czego mi przeszkadzasz, wstrętna gadzino?! – zawołał starszy brat, schwycił kij i zabił czerwonego węża.

W tej chwili wóz rozleciał się na tysiąc kawałków, a Cyganowi Phuro i młodszemu jego synowi tylko dlatego nic się złego nie stało, że upadli na wielką, kraciastą pierzynę, która była w wozie.

Przestraszone konie zaczęły brykać. Phuro schwycił je i przywiązał do przydrożnej wierzb. Młodszy brat podniósł z ziemi czerwonego węża i zaczął nań chuchać, aby mu przywrócić życie. Nic nie pomagało – wąż był martwy. Cygan zaniósł go więc na polanę, aby na jej środku wykopać grób i pochować biednego opiekuna cygańskich wędrowek. Kiedy grób był już gotów. Cygan ułożył w nim węża, zawinąwszy go w sto kręgów, aby się zmieścił w wykopanym dołku.

Nagle usłyszał głos:

– Dziękuję ci za twoje dobre serce. Opiekun cygańskich wędrowek nie umiera, więc nie umarłem. Twój zły brat zabił tylko węża, ale nie mnie. Zasyp mnie ziemią, a wyrosnę tutaj dębem. Będziesz strząsał ze mnie żołędzie, a będą to żołędzie złote. Sprzedawaj je i bądź bogaty. Ale dwa złote żołędzie miej zawsze przy sobie. One ci będą wskazywać dobre drogi.

Młodszy brat zrobił tak, jak mu wąż poradził. I już wieczorem rósł w tym miejscu wielki dąb, obsypany złotymi żołędziami. Cygan strząsał je z drzewa i dzielił się nimi ze swoim ojcem. A Phuro wypędził starszego syna w świat.

Odtąd Phuro i jego młodszy syn byli bogaci i odnajdywali zawsze najlepsze i najszcześniejsze drogi. A kiedy potrzebowali pieniędzy, wracali do wielkiego dębu i strząsali zeń złote żołędzie.

A co się działo ze starszym? Ruszył sam jeden, szedł od lasu do lasu, zabijał węże, zakopywał je w ziemi i na próżno czekał, że wyrosną w tych miejscach dęby złotodajne. Błądził i zdarzały mu się zawsze najgorsze drogi albo jeszcze gorsze od nich – bezdroża. Czasem potrzasał drzewami, aby natrząść sobie złotych żołędzi, ale płoszył tylko ptaki w gałęziach i zimna rosa z liści opadała mu za kołnierz.

O białej łani

To była naprawdę sroga zima! Ród Cyganów Aszani przysposobił sobie zimowe siedlisko na skraju wielkiej puszczy. Płótna namiotów stwardniały i zeszywniały jak deski i okryły się białą strzechą śniegu. Cyganki warzyły w garnkach sopłe lodowe na polewkę, a zmarznięte drzewa pękały z hukiem bez pomocy siekiery. Coraz trudniej było odnaleźć pod śniegiem jeżyny, a i pasza dla koni kończyła się; zapasy szczupły z każdym dniem. Dobrze było dzieciom ukrytym w ciepłych pierzynach. Starsi musieli porządnie nałykać się mrozu. Kiedy któryś z nich wędrował do miasteczka, brał ze sobą garść słomy i szmaty tłące się żarem, uwiązane do kija. Tym ogniem słomianym zagrzewał sobie zmarznięte nogi i ręce. Wódz plemienia nie opuszczał swojego namiotu i otaczał się tylko ciepłymi kłębam dymu z wielkiej fajki. Kto mógł, ten też chował się w namiocie, drżał na całym ciele, szcząkał zębami i myślał o tym, że – być może nadejdą jeszcze mroźniejsze dnie i noce.

Pewnego wieczora zebrali się Cyganie w namiocie wodza, aby się naradzić, co robić, bo mróz tężał z każdą godziną. Jeden z Cyganów radził rozpalić sto ognisk dla odstraszenia wilków i mrozu. Drugi Cygan prawił, że trzeba by wykopać głębokie nory w ziemi i w nich się ukryć. Trzeci Cygan krzyczał, że to wszystko na nic się nie zda, jeśli nie zażegna się złych czarów demona.

Wreszcie odezwała się Rika, piękna córka wodza rodu Aszani:

– Wadzicie się ze sobą na próżno. I cóż nam przyjdzie z tej zwady! Mróz jak jest, tak i będzie. Ledwo zdążycie powiedzieć pięć słów, kiedy z nieba spadnie pięćset tysięcy nowych płatków śniegu. Zanim skończycie tę gadaninę, śnieg może zasypać nas zupełnie. Nie ma co! Jak ma być, tak być musi. Zadbalibyście lepiej, co zrobić, żeby nam i koniom jedzenia nie zbrakło. Pomyślcie więc, jak upolować białą łanię, która co noc tu przychodzi i kradnie resztki siana naszym koniom!

– Nie ma na nią rady – odpowiedział jeden z Cyganów.

– Nie widzisz sposobu na białą łanię – zawołała Rika – a chciałbyś wynaleźć sposób na wielką, białą zimę, śmieszny człowieku!! Toć właśnie w białej łani mieszka dusza mrozu!...

Zamilkli wszyscy i nikt nie odezwał się ani słowem. Bo i jak zabić białą łanię? Niełatwa to sprawa. To prawda: wykradła ona co noc siano. A co począć z głodnymi końmi, kiedy siano zabraknie? Gdy nocą ludzie zbliżali się do białej łani, umykała szybko jak wiatr w głąb puszczy i w jednej chwili znikła im z oczu. Strzały z łuków i kule odskakiwały od jej piersi jak od kamienia. Nic też nie pomagały zasadzki i sidła; łania nie dawała się schwytać. Raz, kiedy uciekła w puszczy, jeden z Cyganów pobiegł za nią i cisnął w nią siekierą. Ale omylił się, chociaż księżyc świecił jasno. Siekiera ugodziła w okryty śniegiem jałowiec, biały jak łania, a ona zniknęła bez śladu. Nawet najdzielniejsi i najodważniejsi zaniechali już łowów, stracili nadzieję, że upolują nieuchwytnie zwierzę.

Pomilczeli Cyganie zebrani w namiocie wodza. Wódz też milczał, ćmiąc fajkę. A potem wszyscy rozeszli się na noc do swoich namiotów.

Nazajutrz rankiem gruchnęła w obozowisku radosna wieść: Rika zabiła białą łanię! O północy córka wodza plemienia zadała białej łani śmiertelny cios!

Chyba ze sto razy opowiedzieli sobie ludzie o tym, aż wieczorem udali się do namiotu wodza, którego nie widzieli przez cały dzień, aby jeszcze raz pogadać o tym nocnym przypadku.

W namiocie obok zgromadzonych mężczyzn stanęła Rika – najpiękniejszy kwiat rodu Aszani – i ukryła w dłoniach swoją twarz pociemniałą od smutku.

Cichym głosem powitała przybyłych, a kiedy jeden spośród nich zapytał o białą łanię, Rika wykrzyknęła:

– Ja nie zabiłam jej! To było kłamstwo! Ja nic nie zrobiłam!

– Co ty mówisz, Rika? – zawołali wszyscy ze zdumieniem.

– Nie zabiłam białej łani! – powtórzyła Rika. Cyganie pomyśleli, że córka wodza żartuje sobie z nich, i zaśmiali się głośno, a jeden powiedział:

– Jak to? Przecież sami widzieliśmy ją! Leży martwa na leśnej polanie. Trzeba tylko blisko podejść, żeby ją zauważyć, bo się wcale nie odróżnia od śniegu, jest śnieżnej maści. Widziałem też, jak ją zabiłaś, Riko. Chciałem nawet przyjść ci z pomocą, ale strach spętał mi nogi. Opowiedz nam prawdę, bez żartów. Jak ją zabiłaś?

– Dobrze – odrzekła Rika – opowiem wam wszystko. Wysłałam nocą z namiotu i zobaczyłam białą łanię, jedzącą siano z naszych zapasów. Schwyciłam wielki i ostry sopel lodu i cisnęłam nim w łanię. Ale sopel, zanim do niej doleciał, rozpułnął się w wodę, a łania podbiegła i z całej siły pchnęła mnie na ziemię. Runęłam na twardey lód i zabiłam się. Jeszcze tylko, zanim całkiem umarłam, zobaczyłam, że łania pochyła się nade mną i przyklęka. Spytacie, co mi zrobiła? Pocałowała mnie i tchnęła we mnie swoją duszę, a sama padła na ziemię bez życia. Ożyłam, ale dusza łani mieszka we mnie.

Rzekłszy te straszne słowa, Rika wyskoczyła z namiotu, wpadła w gęstwinę lasu i znikła Cyganom z oczu. Strach padł na wszystkich. Cyganie próbowali pocieszyć swego wodza, który tak zaczął płakać, że łzy zgasiły mu fajkę. Posmutnieli wszyscy, ale najbardziej zrozpaczony był młody Dimo, narzeczony Riki. Powłókł się do swego namiotu i opowiedział o wszystkim starej matce. Matka, wysłuchawszy jego słów, rzekła:

– To niedobra historia. Rika będzie przychodzić tutaj co noc i jeść nasze siano. Musisz zająć się na nią w noc gwiazdy Caraja, schwycić ją i zasypać śniegiem. A wtedy zobaczę, co trzeba dalej robić.

Nazajutrz Rika cały dzień spędziła w namiocie swego ojca. Była smutna i mrukliwa. Ale o zmierzchu wybiegła na dwór i powróciła dopiero o świcie śmiertelnie znużona. Tak działo się co dzień. Aż powróciły ze swej dalekiej wędrówki pierwsze skowronki, zelzały mrozy, a śnieg zaczął topnieć.

Nadeszła noc gwiazdy Caraja.

Dimo nie zasnął tej nocy. Utoczył z resztek zwilgotniałego śniegu wielką kulę i czekał ukryty w pobliżu zapasów siana. Nagle zobaczył w świetle księżyca Rikę, skradającą się w jego stronę. Wyskoczył zza drzewa, przewrócił ją na ziemię i przykrył śniegiem z kuli śniegowej.

Potem pobiegł do swej starej matki i zapytał, co ma robić.

– Wydobądź ją spod śniegu – powiedziała matka – i przynieś tutaj.

Dimo odgarnął śnieg i przyniósł do namiotu zamrożoną, martwą już Rikę. Stara matka wyjęła ze schowka czarodziejską skórę łasicy i zaczęła nacierać nią całe ciało Riki, poczynając od czoła i brwi, a kończąc na stopach.

Biedny Dimo przez cały czas trzymał dłoń Riki w swojej dłoni i nasłuchiwał, czy krew nie zaczyna krążyć w jej żyłach od nowa. Kiedy stara matka nacierała futerkiem łasicy stopy umarłej dziewczyny, Rika otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Dima. Powróciła do życia, do swojego, własnego życia, bo obudziła się w niej ludzka dusza, nie dusza białej łani!

Ale kiedy Dimo chciał puścić jej dłoń, okazało się, że zrosła się ona z jego dłonią!

– To dlatego, że tak bardzo się kochacie – powiedziała stara matka. – Teraz już jesteście na zawsze nierozłączni.

Właśnie wiosna zaczęła wypuszczać pierwsze zielone pąki i pędy, Dimo i Rika opuścili obozowisko i poszli we dwoje w głąb puszczy. Śpiewali sobie i cieszyli się, że nigdy się nie rozstaną.

Jeśli zobaczycie kiedy młodą parę wędrującą przez las i zauważycie, że prawa ręka młodzieńca zrosnięta jest z lewą dłonią dziewczyny, wiedźcie, iż są to właśnie nierozłączni Dimo i Rika.

Skarby

Był biedny Cygan, tak biedny, że nie miał nawet imienia cygańskiego i musiał się zadowolić zwykłym imieniem Józek, które mu ksiądz w kościele dał za darmo. Widać z tego, jak bardzo był biedny. Mówili o nim, że sypia pod zielonym namiotem, pod białą pierzyną i na złotym prześcieradle. I nie było w tym kłamstwa, bo namiotem były mu zielone gałęzie, pierzyną – mgła, co się snuje nad ziemią, a prześcieradłem – złote, z sosen opadłe igliwie.

W ciepłą, czerwcową noc Józek zasnął, jak zwykle, pod drzewem. Przyszła do niego we śnie jakaś kobieta w białej sukni. Kiedy ją w swoim śnie zauważył, rzekła:

– Wiem, że jesteś biednym Cyganem, i chcę cię wzbogacić. Idź w głąb lasu, a kiedy dojdiesz do gęstwiny, w której drzewa opierają się jedno o drugie, skręć w lewo, wkrótce zobaczysz bijące z ziemi srebrzyste źródło leśnej rzeki. W źródle tym kąpać się będzie piękna dziewczyna. Ona powie ci co powinieneś zrobić, by zostać bogatym. Czeka na twoje przyście.

Józek obudził się wczesnym rankiem i ruszył w stronę leśnej gęstwiny, tak jak mówiła mu biała kobieta ze snu. Doszedł do miejsca, gdzie tłum drzew był tak gęsty, że nie przepuściłby dalej wędrowca. Skręcił Józek w lewo i po dwóch stajaniach wędrowni ujrzał tryskające spod ziemi źródło. W samym jego środku stała piękna dziewczyna.

Cygan podszedł bliżej, pozdrowił ją i zapytał:

– Czy to ty czekasz na mnie?

– Ja – odpowiedziała dziewczyna, a jej słowa zabrzmiały jak śpiew z muzyką dźwięczących kropli.

– Kobieta ze snu mówiła – rzekł Józek – że spotkam cię przy srebrzystym źródle, a widzę, że źródło ma – oprócz srebrnego – także i czarny strumień.

– To nie źródłany strumień. To moje rozpuszczone włosy – odrzekła dziewczyna i wyszła ze środka źródła, bijącego strumieniami wody wysoko w górę.

– Powiedz – odezwał się Cygan – czy to, co widzę, to może są brylanty, które mi dasz, żebym był bogaty?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna – to krople wody, którymi opryskało mnie źródło... Ja tylko wskażę ci dalszą drogę. Sama muszę zostać tutaj i wpuszczać do źródła ryby, aby leśna rzeka nie była pusta i jałowa.

– Dokąd mam iść? – spytał Cygan.

– Idź – powiedziała – wzdłuż tej rzeki, która się tutaj zaczyna. Będziesz szedł, aż się natkniesz na ogromne, prastare drzewo. Pod tym drzewem są zakopane skarby, które mogą być twoje. Ale pamiętaj: kiedy będziesz kopał i rozgrzebywał ziemię u stóp tego drzewa, musisz mieć oczy zamknięte i robić wszystko po omacku, aż do chwili, gdy usłyszysz krzyk. Dopiero wtedy wolno ci oczy otworzyć. Inaczej – skarby przepadną.

Rzekłszy te słowa, dziewczyna odwróciła się od Cygana i weszła na powrót w źródło, a Józek poszedł brzegiem rzeki, aż dotarł do ogromnego, prastarego drzewa. Wtedy zamknął oczy i zaczął kopać.

Odrzucał gołymi dłońmi ziemię garść po garści i nagle poczuł, jakby zimne, oślizgłe węże wspinały się po jego ciele, jakby owijały się wokół jego szyi, jego rąk, ściskając jak pętle. Kopał jednak dalej i nie otwierał oczu, choć strach zrosił mu czoło potem.

Wydobył już chyba z tysiąc garści ziemi, kiedy ostry ból przeszył mu całe ciało i zarem przejął do szpiku kości, jakby go ktoś oblał wrzątkiem. Józek aż krzyknął z bólu. I już-już otworzyłby oczy, gdyby się w porę nie opamiętał. Przecież wolno mu było dopiero wtedy podnieść powieki, kiedy rozlegnie się czyjś krzyk, cudzy, a nie jego własny!

Zacisnął Józek zęby i na ślepo kopał dalej. Ale już po krótkiej chwili taki ziąb go zmroził, że zaczął drzeć na całym ciele i szczekać zębami. Oczy pod powiekami paliły go i kłuły, ale ich nie otworzył, tylko dalej kopał i kopał.

I znowu stało się coś dziwnego. Usłyszał tuż obok siebie przecudowny śpiew, który płynął razem z oddechem śpiewającej, a ten oddech pachniał leśnymi fiołkami. Czyjeś dłonie gładziły Cygana po głowie i za chwilę, kiedy śpiew ustał, rozległ się głos, szepczący te słowa:

– Jestem dziewczyną ze źródła. Już spełniłeś swój obowiązek i skarb należy do ciebie. Otwórz oczy i spójrz, jaka jestem piękna!

Ale Józek tylko mocniej zacisnął powieki, bo dobrze pamiętał słowa prawdziwej dziewczyny ze źródła, i zaraz domyślił się, że te namawiania za sprawą złych czarów wynikły.

Chociaż ręce omdlewały mu już ze zmęczenia, kopał dalej. Ale złe czarodziejstwa nie odstąpiły od niego, nie dały za wygraną. Za chwilę ziemia u stóp Józka zachybotała się i jęła się kołysać i trząść. Z trudem utrzymywał się na klęczkach w tych zachwianiach i zawrotach, zataczał się jak pijany, a wydobywana garściami ziemia zaczęła po trochu zsypywać się z powrotem do dziury. Mało tego! Coś uderzyło Józka z całej siły w głowę raz i drugi – aż się przewrócił na ziemię. I wtedy wreszcie rozległ się krzyk. Cygan otworzył oczy.

Zobaczył wokoło siebie mnóstwo koszy pełnych złota, a tuż koło niego siedziała piękna dziewczyna. Spojrzał na nią raz, spojrział drugi raz i trzeci. I tak powiada:

– Skąd się tu wzięłaś, piękna dziewczyno? Przecież niedawno jeszcze widziałem cię u źródła?

– Tu byłam cały czas, od dawna – odrzekła dziewczyna. – Zła macocha przemieniła mnie w to ogromne drzewo, pod którym kopałeś. Teraz, dzięki tobie, jestem znowu dziewczyną.

Cygan obejrzał się za siebie i ujrzał, że drzewo w istocie znikło bez śladu. Zdziwił się wielce, poskrobał się w głowę, pomyślał i rzekł:

– To nie jesteś dziewczyną ze źródła?

– I tak, i nie. Posłuchaj... Kiedy zmarł mój dobry ojciec, który był królem, macocha postanowiła się mnie pozbyć. Chciała także zagarnąć wszystkie bogactwa, które pozostały w skarbcu królewskim. Przemieniła mnie w drzewo, a sama wykradła złoto i zgromadziła je tutaj. I byłoby tak już na zawsze, gdyby nie źródło leśnej rzeki. Przywykło ono do tego, że co dzień kapałam się w nim i odbijałam się w jego wodzie. Odkąd przestałam tam przychodzić, źródło zasmuciło się bardzo i jego wysokie, tryskające krople, przedtem jaśniejące wesołym blaskiem, posmutniały i stały się podobne do łez. Ale ryby z leśnej rzeki widziały, co się ze mną stało, popłynęły więc do źródła i powiedziały mu o wszystkim. Ale ptaki siadające w moich gałęziach, odkąd zmieniłam się w drzewo, pofrunęły do źródła i wyśpiewały mu wszystko. Wtedy źródło wezbrało gniewnie wodą i wzburzona leśna rzeka ruszyła hucząc przed siebie, podmyła zamek, zatopiła go wraz ze złą macochą, a skarby zasypała naniesioną przez fale ziemią i mułem. Potem wody ucichły, rzeka złagodniała, a źródło zaczęło mnie wspominać każdą swoją kropelką, i choć nie było mnie tam, źródło odnalazło w wodzie moje dawne odbicie, zaczarowało je i zachowało sobie na pociechę. Co dzień pluskało się ono w strumieniach i kroplach leśnego źródła i przez wdzięczność pomagało źródłu w wypuszczaniu ryb do rzeki. To właśnie moje zaczarowane, żywe odbicie widziałeś tam rankiem.

Ucieszył się Józek, że uratował królową, i poprosił o jej rękę. Huczne wesele odbyło się w lesie, a po weselu zabrali się oboje tuż koło źródła do budowy domku, w którym szczęśliwie i bogato żyją aż do dzisiaj. A złota starczy im jeszcze na sto kilkadziesiąt osiem lat.

O dwunastu koniach i dziewczynie z Pływającej Wyspy

Był sobie cygański tabor. Wędrował, moi mili, tak jak ja wędruję, dzień po dniu, rok po roku z lasu w las i od wsi do wsi. Ale przyszedł dzień, że zmarł najstarszy Cygan w taborze, sędziwy Opowiadacz Bajek. Jeszcze piękniejsze niż ja prawił baśnie i wszyscy Cyganie lubili go słuchać wieczorami przy ognisku. I ja sam chętnie bym go posłuchał, choć znam niejedną piękną bajkę. Kiedy zabrakło starego bazarza, tabor przestał jeździć po świecie i osiedlił się w pobliżu mogiły Opowiadacza Bajek w podgórskiej wiosce.

Wtedy jeden z Cyganów, młody, czarnowłosy Kało, postanowił opuścić rodzinę i bliskich i samotnie ruszyć w świat. Ciężko mu było na sercu, ale nie mógł postąpić inaczej. Musiał wybrać jedno z dwojga: albo porzucić wędrowanie, albo rodzinę. Wolał więc pożegnać się ze swoimi i powędrować, bo wędrowka była mu najmilszą na świecie.

Był on kotlarzem i druciarzem, znał się też na wszelkiej kowalskiej robocie, więc miał nadzieję, że jakoś sobie poradzi w dalekim świecie.

Ruszył w drogę, szedł z miasta do miasta, od wsi do wsi. A kiedy w kieszeni nie zabręczały mu nawet dwa grosiki, ruszał na włóczęgę ulicami i uliczkami miast i miasteczek, zaglądał na podwórza i wołał:

– Garnki drutować! Rondle reperować!...

I zdarzało się, że dostawał tyle dziurawych rynek, garnków, rondli i kotłów, ile tylko zapragnął, a nawet więcej. Pozostawał wtedy na miejscu przez kilka dni, dopóki nie uporał się z robotą.

Mijały miesiące i lata, on ciągle jeszcze wędrował po świecie. Wędrował, wędrował, aż zawędrował w wysokie góry. Gdy szedł stromą górską ścieżką, spotkał jakiegoś starego człowieka. Stary człowiek powiedział:

– Jesteś kowalem, a ja mam dla ciebie pilną robotę. Chcę, żebyś mi dzisiaj podkuł dwanaście moich koni.

Rzekłszy te słowa stary człowiek zaprowadził go przed swój dom stojący na wielkiej skale i zawołał:

*Le, Ale, Pemle,
Sele, Kele, Kerele,
Dara, Fara, Harulo!
Zina, Rina, Wirulo!
Jak wiatr porywisty
przybywajcie wszyscy!*

Na to czarodziejskie zawołanie rozległ się tętent i w okamgnieniu dwanaście karych koni stanęło przed starym człowiekiem. Ten rzekł do Cygana:

– Masz tu cały worek podków, żebyś podkuł wszystkie moje konie. Zabrał się Kało do roboty, przybijał zwinnie podkowie po podkowie, aż nagle tak się przestraszył, że zamiast w końskie kopyto, stuknął się młotkiem w palec. Bo oto, gdy stary człowiek zamknął za sobą drzwi chaty, jeden z dwunastu koni odezwał się:

– Kiedyż wreszcie powrócimy do naszej ludzkiej postaci?

– Coś ty powiedział? – zdziwił się Kało. – Czyż wy, konie, byliście kiedyś czymś innym niż końmi lub źrebakami?

– Byliśmy ludźmi – odpowiedział koń. – Byliśmy dwunastu braćmi i żyliśmy szczęśliwie w naszej ojczyźnie razem z prześliczną siostrzyczką. Ale pewnego dnia zjawił się znienacka ten zły staruch i zażądał, żeby nasza siostrzyczka została jego żoną. Nie chcieliśmy się na to zgodzić, rzucił więc na nas zły czar i przemienił nas w konie, a potem przygnał cały tabun aż tutaj. Naszą siostrzyczkę porwał i zaniósł daleko, daleko na bezludną Pływającą Wyspę.

Kało zapytał:

– Powiedz, co trzeba zrobić, by przywrócić wam ludzką postać?

Koń cichutko odpowiedział, szepcząc Cyganowi do ucha:

– Najpierw trzeba uwolnić naszą siostrę z Pływającej Wyspy. Nie mogę dłużej mówić, bo stary czarnoksiężnik zaraz tu wróci...

– Skąd wiesz, że zaraz tu wróci? Przecież nie widać go jeszcze.

Kało był coraz bardziej zdziwiony i przestraszony.

– Nie widać go, to prawda – odrzekł koń. – Ale spójrz tylko... Kwiaty zwijają swoje płatki w popłochu i dla niepoznaki osłaniają się liśćmi. To znak, że zaraz będzie tu zły czarodziej... Schowaj do kieszeni cztery podkowy z tego worka, a jeśli kiedyś zdobędziesz konia, podkuj go nimi. Wtedy twój koń będzie wiedzieć wszystko i mówić jak człowiek.

Kało prędko schwycił cztery podkowy i wsunął je do kieszeni. Koń zdążył jeszcze szepnąć mu:

– Postaraj się zabrać czarnoksiężnikowi srebrny kubek, w którym zbiera łzy naszej siostrzyczki, oplakującej swój los na Pływającej Wyspie. Co miesiąc odwiedza ją tam i przywozi sobie tysiące jej łez, aby napełnić nimi srebrny kubek... Potem odejść. Spotkamy się.

Ledwo koń skończył mówić, nadszedł staruch. Kało odezwał się:

– Skończyłem robotę – twoje konie są już podkute. Tak się przy tym zgrzałem i zmachałem, że plecy mam całkiem mokre, a język całkiem suchy. Chciałbym się napić wody.

– Dobrze – powiedział staruch. – Sięgnij przez otwarte okienko do mojej izby, weź sobie miedziany kubek i zaczerpnij nim wody ze źródła, które tryska tutaj ze skały.

Poszedł Kało, wziął kubek miedziany, napił się wody, a odstawiając pusty już kubek na miejsce, schwycił stojący w kącie srebrny kubeczek pełen łez i ukrył go za pazuchą.

Potem wrócił do starucha po zapłatę. Stary czarnoksiężnik powiedział:

– Nie dam ci pieniędzy, boś jest biedak, a biedacy, kiedy się dorwą do bogactw, przepuszczają zaraz cały majątek na głupstwa. Dam ci worek, w którym znajdziesz wszystko, czego zapragniesz, byleś tylko głośno wypowiedział swoje żądanie.

I dał Cyganowi stary konopny worek, dobrze już wysłużony i całkiem pusty. Zwinął Kało wór, wziął pod pachę i ruszył w drogę. Ale stary zatrzymał go jeszcze, wołając:

– Pamiętaj tylko o tym, że nie wolno ci żądać żadnego żywego stworzenia, bo gdybyś tak uczynił, worek zniknąłby natychmiast po spełnieniu twego żądania i straciłbyś go raz na zawsze.

– Dobrze – powiedział Kało i ruszył w drogę.

Szedł całą noc, wczesnym rankiem zbliżył się do jakiegoś dużego miasta. Zmęczony usiadł koło murów miejskich, żeby odsapnąć troszkę po nocnej wędrówce.

– Ach! – westchnął. – Chciałbym pożywić się, zjeść coś dobrego...

Ledwo powiedział te słowa, poczuł, że wór spęczniał i stał się ciężki. Kało sięgnął do środka i wydobył wszystko to, na co miał właśnie największą ochotę. Były tam pieczone kur-

częta, kawał szynki wędzonej, metr węgorka i nieka maku utartego z miodem. Rozłożył to wszystko na trawie i zabrał się łapczywie do jedzenia, bo głodny był jak wilk w styczniu. Kostki pieczonych kurcząt trzeszczały mu smakowicie w zębach, a z metra węgorka zostały po krótkiej chwili tylko trzy cale. A on jadł i jadł, i o całym świecie zapomniał.

Właśnie zaczął jeść mak z miodem, kiedy zauważył wokół siebie gromadę kupców, przekupniów, kramarzy i straganiarzy, którzy przyglądali mu się z wielką ciekawością. A dalej nieco rozłożone były kramy pełne rozmaitych rzeczy na sprzedaż. Jeden z przekupniów podszedł bliżej i powiedział:

– Widzę, że masz czarodziejski worek, z którego wyjmujesz wszystko, czego zapragniesz. Sprzedaj mi go. Dam ci za niego sto złotych talarów.

Jeszcze nie zdążył Kało odpowiedzieć, bo miał w gębie pełno maku z miodem, gdy odezwał się drugi kramarz:

– A ja daję ci dwieście talarów złotych. Mnie sprzedaj, bo nie wypuszczę cię z tego miasta!

Przeląkł się Kało i pomyślał, gryząc i łykając powoli mak z miodem, który zalepił mu język i gardło:

„Cóż ja biedny zrobię? Nie sprzedam im worka, to mi go odbiorą, a nie mam przecież konia i nie zdołam im uciec piechotą. Jeślibym zapragnął pieniędzy, znalazłbym ich w moim worku pod dostatkiem. Ale dlaczego czaroksiężnik zabronił mi prosić o jakieś żywe stworzenie?... A niechby przepadł ten cały worek, byłem tylko miał wszystkowiedzącego, mówiącego konia – to już sobie dam radę. Ale musiałbym zażądać od worka konia naprawdę pięknego... Hm, ale chyba nie zrobię tego”.

Zaledwie worek usłyszał słowa: zażądać, buchnął kłębem dymu w nos Cyganowi i zniknął, a na jego miejscu zjawił się piękny, kary koń. Przekupnie rozbiegli się w przerażeniu na wszystkie strony, a koń potrząsnął głową i zarżał.

Wtedy Kało chwycił czarodziejskie podkowy i raz-dwa przybił mu je do kopyt. Koń skrzesał iskry na bruku i odezwał się ludzkim głosem:

– Worek już przepadł, ale za to ja jestem tutaj. Siadaj, Kało, na mnie, a pomkniemy do biednej, uwięzionej dziewczyny szybciej niż wicher.

Kało skokiem dosiadł konia, który wnet pogalopował tak szybko, że wiatr świstał im w uszach jak rozzłoszczona osa. Za kilka chwil znaleźli się nad brzegiem wielkiego morza i ujrzeli, że w oddali na wodzie sterczy wyspa-góra, która się obraca w kółko, wciąż płynąc przed siebie. Cała wyspa zarośnięta była czarną trawą i czarnymi kwiatami. Wiatr wiał z tamtej strony i aż do brzegu dobiegał zapach tych kwiatów; była to woń dziegciu i czadu. Wysoko na samym wierzchołku góry stał maleńki, żółty domek, w którym mieszkała śliczna dziewczyna, siostra dwunastu koni.

– Jak my się tam dostaniemy! – zapytał Kało. – Ja nie umiem pływać.

– A choćbyś nawet i umiał – odpowiedział koń – to też nic by z tego nie przyszło. Woda w tym morzu jest gorąca jak piekło i wszystko co by się w niej zanurzyło, natychmiast byłoby ugotowane. Czy masz srebrny kubek?

– Mam – odrzekł Kało i wyjął zza pazuchy kubeczek pełen łez uwięzionej na wyspie dziewczyny.

Koń powiedział:

– A teraz z blachy, którą masz przy sobie, sporządź małą łódkę.

Kiedy skropimy ją łzami, będziemy mogli śmiało i bez obawy dopłynąć aż do wyspy. I nic nam złego się nie stanie, bo żar morskiej wody nie będzie miał do nas dostępu.

Prędko rozpałił Kało ognisko na nadmorskim piasku i zbudował z blachy i ćwieków żelaznych małą łódkę. Pokropił ją łzami dziewczyny i bezpiecznie popłynął wraz z koniem w stronę wyspy. Długa to była droga, ale nie trapił się wcale, bo mieli pod dostatkiem jedzenia; w morzu pływały smaczne, gotowane ryby. Wreszcie dopłynęli do Pływającej Wyspy. Kało

pokropił ze srebrnego kubeczka czarną ziemię. W tej samej chwili zrobiło się ciemno, zajaśniały błyskawice i odezwały się grzmoty. I oto wyjrzało słońce, a wtedy okazało się, że nie ma już żadnej Pływającej Wyspy ani piekielnego morza, tylko tuż blisko stoi prześliczna dziewczyna, a koło niej dwanaście karych koni.

Kało dał im do wypicia po kropelce ze srebrnego kubka i w okamgnieniu stali się znów ludźmi.

Wielka była radość wszystkich, że zły czar minął i że znów są razem. Radość stała się jeszcze większa, gdy dziewczyna, Kało i koń dowiedzieli się od dwunastu braci, że stary czarnoksiężnik zamienił się w słup dymu w tej samej chwili, kiedy spadł zły czar z Pływającej Wyspy.

Ale to jeszcze nic. Radość była ogromna dopiero wtedy kiedy Kało poślubił prześliczną dziewczynę.

Odtąd wszyscy żyli szczęśliwie i wesoło. Koń rozmawiał z nimi po ludzku i wiedzieli o wszystkich najważniejszych sprawach: gdzie są zakopane skarby, jaka jutro będzie pogoda i gdzie się chowa wiatr, kiedy nie wieje. Ale najchętniej pomagał im jeździć dokądkolwiek, byle jaką drogą. Bo na każdej z dróg odnajdywali swój największy skarb: wędrowanie.

Gdybym to ja, mili moi, mógł podkuć moją starą szkapę takimi czarodziejskimi podkowami, to z pewnością znalazłbym sobie lepsze zajęcie niż siedzenie tu z wami i opowiadanie wam bajek.

Złote owce

W wielkim mieście żył król bogaty i okrutny. Okrucieństwo pomnożyło jego bogactwa, bo kazał zabić wszystkich majątnych ludzi i przywłaszczył sobie ich skarby, pieniądze i posiadłości. A potem rzekł swoim poddanym:

– Teraz nie musicie już się kłócić. Jesteście szczęśliwi, nie potrzebujecie zazdrościć sobie wzajemnie, bo żaden z was nic nie ma. Za to wszyscy macie wielkiego, bogatego króla. To jest wasze szczęście prawdziwe! To jest wasze bogactwo!

Poddani potakiwali chórem i bili czołem o ziemię, bo gdyby ktoś ośmielił się sprzeciwić słowom władcy, król natychmiast kazałby go uśmiercić. Poza innymi skarbami, ukrytymi w skarbcu, miał król tysiąc złоторunych owiec, jakimi żaden król na całym świecie nie mógł się pochwalić. Nikt nie mógł ich pasać na łące, bo rozbiegały się i same wracały do domu. Kiedy król przyjmował pasterza na służbę, mówił mu:

– Jeśli moje złote owce nie uciekną ci z łąki i nie wymkną się same do domu, to dostaniesz moją córkę za żonę. Mam ja trzy córki, jedną z nich wybierzesz sobie i będziesz królował razem ze mną. Ale gdyby ci się nie powiodło i owce przybiegłyby do domu, zginiesz marnie.

Wielu pasterzy zgładził już okrutny król, gdy dowiedział się o złotych owcach biedny Cygan, który mieszkał w wielkim lesie. Wziął do torby trochę chleba i mięsa – i wyruszył w drogę. Po drodze umył się w rzece do czysta, a potem rażno powędrował dalej, aż dotarł do wielkiego miasta. Od razu poszedł do króla i powiedział:

– Panie królu! Chciałbym paść twoje złоторune owieczki, ale dasz mi za to swoją córkę za żonę.

Król odpowiedział:

– Mam ja trzy córki. Dam ci jedną, jeśli owce nie przybiegną do domu. Ale gdyby przybiegły, pójdziesz na śmierć.

– Ano, spróbuję! – powiedział Cygan i pognął owce na pastwisko.

Ujrzała go najmłodsza córka króla, która była najpiękniejsza z trzech sióstr, i pomyślała sobie:

„Biedny chłopak! Okrutny król mu nie daruje, szkoda go! Muszę mu pomóc!”

Pobiegła za nim na łąkę i zawołała:

– Młodzieńcze! Zaraz uciekną ci złote owce! Weź ode mnie tę wierzbową fujarkę i zagraj na niej. Jeśli tak zrobisz, owce nie umkną ci, ale wiernie i posłusznie będą się ciebie trzymać. Nikomu tej fujarki nie oddawaj ani nie pokazuj, a gdyby ktoś tu przyszedł, ukryj ją przed nim.

Dała Cyganowi wierzbową fujarkę i pobiegła z powrotem do pałacu. W południe król spojrział na słońce i zawołał:

– Już południe!

Potem wezwał do siebie córki i powiedział:

– Moje córki! Cóż to się dzieje, że owce do tej pory nie wróciły? Ty, moja najstarsza córko, idź na łąkę i zobacz no, co tam robi mój nowy pastuch.

Najstarsza królewna poszła na pastwisko i zobaczyła, że wszystkie owce pasą się spokojnie. Zapytała więc Cygana:

– Pastuszkule, co zrobiłaś takiego, że owce zostały przy tobie?

Cygan odpowiedział:

– Nic wielkiego! Po prostu jestem taki silny, że ich nie puszczam, i basta!

Królewna przeraziła się, pobiegła do pałacu i powiedziała swemu ojcu:

– Ten pastuch jest tak silny, że nie puszcza z pastwiska ani jednej owcy!

– Moja druga córko! – zawołał król. – Idź teraz ty i zobacz, co ten pastuch wyrabia!

Druga królewna poszła na łąkę i zobaczyła, że wszystkie owce pasą się spokojnie. Zapytała więc Cygana:

– Pastuszkule, co zrobiłeś takiego, że owce zostały przy tobie?

Cygan odpowiedział:

– Nic wielkiego! Po prostu jestem taki silny, że choćby to był tysiąc rycerzy, a nie tysiąc owiec, tak samo potrafiłbym ich utrzymać na miejscu.

Druga królewna przeraziła się, pobiegła do pałacu i powiedziała swemu ojcu:

– Królu ojczule! Pastuch powiedział, że jest strasznie silny i choćby to był tysiąc rycerzy, a nie tysiąc owiec, tak samo potrafiłby ich przytrzymać na miejscu!

Usłyszawszy te słowa, król przestraszył się, aż mu się korona na głowie podniosła, i zawołał:

– Moja najmłodsza córko! Biegnij i przypatrz się, co ten pastuch robi!

Pobiegła najmłodsza królewna na łąkę i zawołała ze śmiechem:

– Pastuszkule! Mój ojciec strasznie się ciebie przeląkł! Kiedy wrócisz z owcami do pałacu, powiedz mojemu ojcu, że się nikogo na świecie nie boisz. I mnie weź za żonę!

Kiedy wieczorem Cygan przygnał owce z pastwiska, powiedział:

– Panie królu! Pasłem dzień cały twoje owce i spisałem się dobrze, jak nikt dotąd, daj mi więc najmłodszą córkę za żonę!

– Dobrze – rzekł król. – Jutro oddam ci ją.

Noc już zapadła i słudzy królewscy pokazali Cyganowi starą drwalkę, w której miał się przespać. Ułożył się Cygan w łóżku, stojącym w kącie drwalki, gdy do okna zapukała najmłodsza królewna. Cygan otworzył okienko, a królewna zaszeptała:

– Mój okrutny ojciec postanowił cię zabić tej nocy. Strzeż się więc, kochany. Posłuchaj mojej rady: tuż za drwalką leży zdechła koza. Przynies ją i połóż w swoim łóżku, a sam ukryj się w kącie.

Cygan zrobił tak, jak mu poradziła królewna. O północy weszli do drwalki słudzy królewscy z żelaznymi drągami w rękach i tak stłukli zdechłą kozę, że aż łóżko pod nią rozsypało się w proszek.

Po czym wrócili do króla i powiedzieli mu o tym.

Teraz już okrutny król był całkiem pewien, że Cygan nie żyje. Podskakiwał z radości, klasnął w ręce i z zadowoleniem całował swoje własne odbicie w lustrze, mówiąc do niego:

– Mądry z ciebie król! Sprytny z ciebie król! Pewno mówiłby jeszcze więcej i chwalił swój spryt jeszcze gorzej, ale nagle wszedł do komnaty Cygan i powiedział:

– Oto jestem, panie królu. Powiedz no, dlaczego kazałeś mnie bić? Spójrz, jestem taki mocny, że nawet nie poczułem uderzeń żelaznymi drągami! No, ale mniejsza z tym. Dawaj mi twoją najmłodszą córkę za żonę!

Król zatrząsł się ze strachu i oddał mu najmłodszą córkę, a potem zaczął uciekać, bo bardzo się bał Cygana. Do dzisiejszego dnia król nie przestał uciekać. Odpoczywa tylko co parę mil, a potem biegnie dalej.

Wygwane dzieci

W gęstym lesie mieszkał raz Cygan z dwojgiem dzieci – chłopcem i dziewczynką. Przez cały dzień pracował przy spławianiu drzewa, aby zarobić na kawałek razowca. Dzieci na długie dni pozostawały w pustym namiocie i wychowywały się same jak leśne zwierzęta.

Wreszcie rzekł do siebie Cygan:

– Muszę się ożenić jeszcze raz, bo odkąd mi zmarła żona, źle jest moim dzieciom. Ożenię się, a na pewno lepiej będzie nam się wiodło.

Jak powiedział – tak też zrobił. Ożenił się ze starą panną z pobliskiej wsi i wybudował małą chatkę. Od tej chwili zmieniło się wszystko, jakby w domu sam diabeł zagościł! To była zła kobieta! Całymi dniami i nocami zrędziła i kłóciła się o byle co, biła dzieci i mówiła Cyganowi, że powinien je wypędzić z domu. Spierał się z nią Cygan i prosił, aby pozwoliła dzieciom zostać przy nim, ale ona nie chciała słuchać nawet, tylko wrzeszczała:

– Musisz je wygnąć! Nie każę ci robić im nic złego, tylko wyprowadzić daleko w las i porzucić w dalekim lesie. O resztę możesz się już nie troskać, byleś tylko zrobił to, co ci każę. Jeśli mnie nie posłuchasz, zginiesz marnie. Pamiętaj.

Cóż miał zrobić biedny Cygan? Dręczył się, popłakiwał, aż wreszcie jednego wieczoru powiedział żonie:

– Dobrze. Spełnię to, czego żądasz. Jutro wezmę dzieci ze sobą do lasu i tam je zostawię. Bóg im dopomoże.

Usłyszała to córeczka Cygana. Zbudziła swojego brata i powtórzyła mu wszystko. Brat odrzekł jej na to szeptem:

– A ja miałem właśnie przedziwny i piękny sen! Śniło mi się, że wchodzimy oboje, ja i ty, do jakiegoś wspaniałego miasta. W mieście stało dużo ślicznych domów, a my mieszkaliśmy w najpiękniejszym z nich. Ten nasz dom był cały ze szczerego złota, a my oboje byliśmy tak pięknie ubrani, że ludzie na ulicach oglądali się za nami z podziwem.

Rzekłszy to, chłopiec odwrócił się na drugi bok i znów zasnął. Ale siostrzyczka nie mogła usnąć i popłakiwała przez całą noc aż do rana.

Wczesnym rankiem przybył Cygan, zbudził dzieci i powiedział:

– Czas już wstawać! Dziś pójdziecie do lasu razem ze mną. Ja będę pracował przy drzewie, a wy tymczasem nazbieracie sobie poziomek.

Kiedy dzieci wstały, Cygan poszedł do kuchni, przyniósł stamtąd woreczek popiołu i wyruszyli we trójkę do lasu, daleko, daleko, w taką okolicę, gdzie były tylko drzewa i krzaki, ale nigdzie wokoło nie widać było ani drogi, ani nawet ścieżki leśnej. Z woreczka wąską strużką sypał się popiół po trochu, aż do miejsca, gdzie się zatrzymali – głęboko w ciemnym boru.

– No, dzieci – powiedział Cygan – tu są piękne poziomek i grzyby. Zbierajcie je sobie, a ja tymczasem odejdę, bo muszę ściąć jedno drzewo.

Ucałował chłopca i dziewczynkę i za chwilę znikł im z oczu w gęstwinie leśnej. Dziewczynka zauważyła, że kiedy ojciec całował ją, oczy miał pełne łez. Rzekła więc swemu bratu:

– A jednak ojciec nas kocha, bo prawie płakał, kiedy się żegnał z nami. On nas nie opuści. Czy słyszysz głos jego siekiery, uderzającej w pień drzewa?

Chłopiec odpowiedział:

– Niech tam! Jeśli nas nawet porzuci tutaj, to i tak się uratujemy. Wiem, że mój sen się spełni i będziemy jeszcze szczęśliwi i bogaci, na pewno bogatsi i szczęśliwsi niż ci wszyscy, którzy kupowali od ojca chrust i drwa!

Prędko zapomnieli dzieci o swoim smutku i bawiły się wesoło, aż słońce zeszło nisko i zaczęło chować się na noc w swoim domu na samym brzegu ziemi. Wtedy dziewczynka powiedziała bratu:

– Chodźmy! Słyszysz jeszcze, jak ojciec rąbie drzewo! Chodźmy tam! Poszli prędko w tę stronę, z której dobiegał głos stukającej siekiery, i w końcu dotarli do wielkiego drzewa. Ale ojca nie znaleźli, tylko samotną siekierę wbitą w gałąź dębu. Wiał wiatr, poruszał gałęziami, a wtedy siekiera kiwała się to w górę, to w dół – stukała w pień.

– Oszukała nas siekiera! – westchnęła dziewczynka, a chłopiec wyrwał siekierę z drzewa.

Zerknąwszy na ziemię, ujrzał w jasnym świetle księżycy smużkę popiołu, ciągnącą się daleko na mchu.

– Popatrz! – zawołał. – Z woreczka sypał się ojcu popiół, znajdziemy drogę. Możemy wrócić do domu i nie zbłądzić!

I poszli. Późną nocą dotarli do swojej chaty, ale nie wchodzili do środka, tylko zajrzeli przez szparę. Zobaczyli, że ich ojciec siedzi smutny przy nietkniętej wieczerzy, usłyszeli też, jak mówi do swej żony:

– Chciałbym się podzielić tym jedzeniem z moimi dziećmi, inaczej ani jeden kąsek nie przejdzie mi przez gardło. Biedne moje robaczki! Takie głodne i zbłąkane w wielkim lesie!

Zła macocha zaśmiała się i rzekła:

– Złego diabli nie wezmą! Trujących grzybów nikt nie tknie! Możesz być o nie całkiem spokojny. Już one dadzą sobie jakoś radę, a my przynajmniej pozbyliśmy się ciężaru i dwóch gęb do miski!

Ledwo powiedziała te słowa, chłopiec zastukał do drzwi i zawołał:

– Daj nam jeść i pić! Jesteśmy głodni i spragnieni!

Ucieszył się stary Cygan! Myślał już, że dzieci nie spostrzegły popiołu i zabłąkały się w dalekich lasach. Wybiegł prędko na dwór i przyprowadził dzieci do izby. A macocha wpadła w dziką wściekłość i wrzasnęła:

– Wróciliście! Diabelskie nasienie! Diabeł was prowadził tutaj!

Ale dzieci nie zważały wcale na jej wrzaski i krzyki, tylko zjadły wieczerzę, a potem położyły się zaraz i usnęły. Nazajutrz Cygan zaprowadził dzieci do lasu, bo żona zagroziła mu śmiercią, jeśli tego nie zrobi. Stało się tak, jak dnia poprzedniego: Cygan rozsypał popiół po drodze, a wieczorem wróciły dzieci bez trudu prosto do domu ku wielkiej wściekłości złej macochy.

Kiedy poszły spać, macocha rzekła Cyganowi:

– Rozkazuję ci po raz ostatni: wyprowadź dzieci tak daleko, aby już nigdy nie odnalazły drogi do domu. Ostrzegam cię: jeśli znowu powrócą, zabiję je bez litości.

Nie spał Cygan noc całą, trapił się i smucił, a nazajutrz rano poszedł z dziećmi do lasu. Ale omylił się: zamiast wziąć ze sobą woreczek z popiołem, wziął woreczek prosa, które rozsypwał po drodze, aż do kresu leśnej wędrówki, a potem odszedł.

Wieczorem, kiedy dzieci chciały już wracać do domu, spostrzegły, że ptaki wydziobały wszystkie rozsypane ziarenka i ani śladu prosa nie zostało!

Zaczęły dzieci błądzić w nieschodzonej lesie i tak błąkały się cały tydzień, nie mogąc znaleźć drogi do domu. Siódmego wieczora ujrzały jakąś chałupkę i poprosiły starą kobietę, która w niej mieszkała, aby pozwoliła im wejść do izby.

Stara kobieta przyjrzała się dzieciom, pokiwała głową i rzekła:

– Oj, szkoda, szkoda!...

– Czego szkoda? – zapytał chłopiec.

– Powiedziała „szkoda” – odrzekła stara – bo mi was żal, że będziecie musieli zginąć tak marnie! Wiedząc bowiem, że mój brat jest smokiem i bardzo lubi pożerać ludzi. Jeśli was tu znajdzie nie pożyjecie długo. No, ale postaram się ukryć was gdzieś przed nim.

Kazała im wejść pod łóżko i siedzieć tam cicho jak mysz pod miotłą. Zaledwie dzieci znalazły się w kryjówce, rozległ się w lesie przeraźliwy huk, świst i szum, jakby potężny wichur dał w gęstwinie. Po chwili otworzyły się drzwi i wpadł do izby brat starej kobiety, smok przeraźliwy.

– Ojjoj! – jęknął smok. – To był paskudny dzień! Ale jakoś udało mi się wybrnąć! Pokonałem potężnego czarodzieja z tamtej strony gór. Popatrz no, siostrze! Przyjrzyj się, jaki łup przynoszę! Ta chusta ma taką właściwość, że kiedy się na niej usiądzie, można się wznieść w powietrze i lecieć wszędzie tam, gdzie się zechce! Ta woda w butelce chroni od śmierci! A w tym lusterku każdy zobaczy to, co właśnie chciałby widzieć. Dzięki tym trzem rzeczom stałem się najpotężniejszym na świecie smokiem i mogę teraz zgładzić wszystkie inne smoki, jakbym był panem i władcą całego świata! Ale niestety muszę czekać jeszcze siedem lat, bo dopiero wtedy te trzy łupy zaczną darzyć nowego właściciela swoim czarodziejstwem!

Rzekłszy, smok walnął o ziemię ogonem, aż zatrzęsała się cała chatka, a potem zasnął. Stara kobieta już też chrapała za kominem. Dzieci słyszały całą opowieść smoka i wszystkie jego przechwałki; widziały też ze swojej kryjówki, gdzie schował trzy cudowne zdobycze: chustkę, butelkę i lusterko. Podkraśli się cichaczem, wzięły smocze łupy i wymknęły się z chaty.

Wędrowały kilka dni, aż pewnego dnia znalazły się nad wielkim jeziorem. Braciszek rzekł:

– Tutaj zostaniemy, aż minie siedem lat i aż te trzy rzeczy, które zabraliśmy smokowi, nabiorą czarodziejskiej mocy.

Wybudowali sobie domek z drzewa i zamieszkali w nim. Chłopiec łowił ryby i raki, a dziewczynka gotowała. Mało mieli roboty, a czasu – bardzo dużo; całe siedem lat. Opowiadali sobie bajki i śpiewali piosenki. Byłem raz u nich w chałupce nad jeziorem, a oni nauczyli mnie piosenki, którą wam teraz zaśpiewam:

*Na zielonej, mokrej łące
siedzi ptaszę rechoczące.
Nóżki – cztery! Skrzydeł – brak!
Jakiś bardzo dziwny ptak.
W bystrej rzece, w czystej wodzie,
jakiś zając pływa co dzień,
srebrną łuską swą błyskając.
Jakiś bardzo dziwny zając!*

Minęło siedem lat, dzieci urosły: z chłopca zrobił się młodzieniec, a z dziewczynki – dziewczyna. Byli bardzo piękni i ładnie wyglądali w swoich przyodziewkach, które sobie utkali z puchu i piórek ptasich.

Pewnego wieczora, kiedy wrócili z polowania, dziewczyna powiedziała:

– Mieszkamy tu już siedem lat. Trzeba sprawdzić, czy nasze trzy rzeczy nabrały już czarodziejskiej mocy.

– Dobrze – rzekł brat. – Zobaczymy, co się dzieje z rodzicami. Zajrzeli do lusterka. Najpierw ukazał się ojciec, stary Cygan samotnie jedzący wieczerzę w swojej chatce w górach. Potem zobaczyli w lustrze cmentarz we wsi, a na cmentarzu grób złej macochy. Za chwilę obraz znikł.

– Lećmy prędko do ojca! – zawołała dziewczynka.

Chłopiec powiedział:

– Chciałbym jeszcze, zobaczyć to miasto, które dawno, dawno temu widziałem we śnie.

Zerknęli w lusterko jeszcze raz i zobaczyli przepiękne miasto, a w nim wielki, wspaniały dom. W domu, na jedwabnym pościeliu, leżał bardzo chory, umierający król.

Szybko usiedli na czarodziejskiej chuście i jak wiatr pofrunęli do miasta, w którym stary król jęczał na łóżku. Bardzo spieszyło im się do ojca, bo stęsknili się za nim przez tyle lat, ale nie mogli odmówić pomocy umierającemu. Mieli przecież butelkę pełną wody dającej zdrowie i zachowującej przy życiu!

O świcie dolecieli do miasta. Siostrzyczka została przy cudownej chuście, a młodzieniec pobiegł z butelką w kieszeni do chorego króla! A kiedy wchodził do złotego domu króla, zobaczył, że wszystko jest jak w jego śnie.

Podszedł do królewskiego wezłowania i powiedział:

– Chory królu! Wypij łyk z tej butelki, a nie umrzesz! Król zerknął nieufnie na przybysza, wziął fiaskę i powoli przytknął ją do ust.

Pociągnął jeden łyk – w tej samej chwili, zdrowy i silny, zerwał się z łóżka i zaczął tańczyć i śpiewać z radości! Był zdrowy jak ryba. Przytulił młodzieńca do piersi, ucałował go i zakrzyknął do wszystkich wielkich panów, którzy zbiegli się do komnaty:

– Ten młodzieniec będzie odtąd moim synem! Dam mu połowę mojego kraju i wszystko, czego jego serce zapagnie!

Młodzieniec podziękował gorąco królowi i rzekł:

– Zdrowy królu! Dziękuję ci, że chcesz mi ojcować, ale ja mam własnego ojca, za którym tęsknię bardzo. Nie mogę więc być twoim przybranym synem. Za połowę twego kraju też ci dziękuję, ale nie zda mi się na nic. Jeśli możesz, daj mi parę koni, mocnych koni. Pociągną one w świat wóz wędrowny, który sobie zbuduję. Dam ci chustę, która poniesie cię wszędzie, gdzie zechcesz. Mnie bardziej przystoi w wędrowce końmi się posłużyć niż chustą zaczarowaną.

Król podarował młodzieńcowi parę koni i sakwę pieniędzy na kupno cygańskiego wozu.

Młodzieniec dosiadł jednego konia, na drugiego skoczyła siostra i pocwałowali do chatki w górach, do swego starego ojca.

Dawno już tam dojechali i wszyscy są nareszcie szczęśliwi. Jeżdżą latem po lasach, a na zimę wracają do swojej chatki. Są zdrowi i starość nieprędko im dokuczy, bo mają jeszcze sporo wody w butelce.

O Cyganie i dziewięciu krukach

Wysoko w górach żył sobie stary Cygan z synem jedynakiem. Obaj byli biedakami i rzadko im się zdarzyło zjeść do syta.

Pewnego dnia stary Cygan poszedł do lasu po drwa, a młody został w domu, usiadł u progu chatki i płakał gorzkimi łzami z głodu. Wtem zobaczył dziewięć kruków, które leciały wysoko, tuż pod chmurami. Osiem kruków zniżyło swój lot i usiadło na dachu cygańskiej chaty, a dziewiąty sfrunął wprost na ramię chłopca i rzekł:

– Nie płacz, biedny synku! Dziś o północy przyjdź pod wielką topolę, co rośnie wysoko przy strumieniu. Znajdziesz tam jedzenie i picie.

Wykrakał te słowa i zaraz odleciał wraz ze swymi ośmiu towarzyszami. Kiedy zaczęło się ściemniać, młody Cygan poszedł pod wielką topolę, koło jej pnia ułożył się na trawie i zasnął. Tuż przed północą obudził się i zobaczył stojącą pod drzewem dziewczynę o złotych włosach.

Piękniejszej dziewczyny nie było z pewnością w całym kraju. Pocałowała chłopca i rzekła:

– Poczekaj chwileczkę, zaraz przyjdą moi bracia i przyniosą ci jedło i napoje.

Klasnęła trzy razy w dłonie i po chwili nadleciało osiem kruków, przynosząc w dziobach kociołki i dzbany pełne rozmaitych potraw i wina. Cygan najadł się do syta, wytarł usta do czysta liściem topoli, a potem ucałował dziewczynę i serdecznie podziękował za poczęstunek.

Noc się kończyła, i wstawał błydy brzask. Dziewczyna pożegnała Cygana i rzekła:

– Przyjdź tu znów o północy pod tę wielką topolę!

Rzekłszy, zmieniła się w kruka i wraz z ośmioma braćmi-krukami odleciała kracząc wniebogłosy.

Wziął Cygan dzbanek, w którym pozostało jeszcze sporo wina, zebrał do torby resztę jada i zaniósł to swemu staremu ojcu. Opowiedział mu dokładnie o wszystkim, co mu się zdarzyło.

Stary Cygan z wielkim apetytem i radością zjadł smaczne mięso i popił mocnym winem.

To był wesoły dzień dla obu Cyganów – i dla ojca, i dla syna! A kiedy zapadł wieczór, młody Cygan znów powędrował tą samą drogą aż do wielkiej topoli, a rankiem powrócił, tak samo jak wprzód przynosząc torbę jada i dzbanek wina swemu ojcu. Podobało się takie życie staremu bardzo, bardzo! Przestał pracować, nie zbierał już chrustu na sprzedaż, ale zarabiał sprzedając chłopom w pobliskiej wsi mięso i wino, których sam nigdy nie mógł zjeść do końca i wypić do dna. Co dzień za sprzedane jedło dostawał od chłopów garść pieniędzy. Co dzień też szedł z tymi pieniędzmi do karczmy i przepijał je do ostatniego grosza. Potem wracał do swojej chaty w górach, a tam już znajdował świeże jedło i picie, które syn właśnie przyniósł spod wielkiej topoli. Zabierał się więc stary Cygan do jedzenia, a to, co pozostało, zanosił znowu na wieś, sprzedawał chłopom i za cały zarobek pił w karczmie. Czego zaś nie przepił, to przegrał w karty. Tak mijały dnie, jeden po drugim.

Ale karczmarz był ciekaw, gdzie stary Cygan zdobywa codziennie jedzenie na sprzedaż. Był to bardzo ciekawski karczmarz, postanowił więc śledzić Cygana. Pewnego dnia cichaczem wykradł się z karczmy i usłyszał, jak młody Cygan opowiadał ojcu o złotej dziewczynie, o wielkiej topoli i smacznych potrawach.

Wieczorem karczmarz ukradkiem poszedł za młodym Cyganem i ukrył się za pnem wielkiej topoli. O północy zjawiała się śliczna dziewczyna, a kruki przyniosły znów kociołki z jałdłem i dzbanki z winem. Kiedy dziewczyna usiadła obok Cygana, karczmarz podkraść się bliżej i obciął jej długi, złoty warkocz! Dziewczyna w jednej chwili przemieniła się w kruka i kracząc odleciała, a wraz z nią odfrunęły wszystkie.

Rozeźlił się Cygan strasznie, schwycił karczmarza za brodę i uniósł go w górę, kręcił nim w powietrzu młynka tak szybko, że kiedy go wreszcie puścił, karczmarz poleciał na wszystkie strony świata jednocześnie ze straszliwym furkotem. Wtedy Cygan otarł pot z czoła, podniósł z ziemi odcięty złoty warkocz i schował go do torby.

Wieczorem znowu przyszedł pod topolę, ale czekał na próżno aż do świtu. Nie przyszła dziewczyna, nie przyleciały kruki. Przez kilka tygodni, dzień po dniu, przychodził pod topolę i czekał na dziewczynę i kruki, ale daremne było jego czekanie. Rozpłakał się biedny i tak popłakiwał co dzień; nie z głodu, choć bardzo był głodny, ale z tęsknoty. Wreszcie opuścił ojca, który znów musiał się wziąć do pracy. Młody Cygan postanowił wyruszyć w świat i nie wracać, dopóki nie znajdzie kruków i złotowłosej dziewczyny.

Poszedł w góry pod topolę, aby jeszcze raz ujrzeć to miejsce, gdzie kiedyś był szczęśliwy. Wtem spostrzegł pod topolą norę, której tam przedtem nie było.

Nora była tak duża, że z łatwością mógł się w niej zmieścić. Zaciekawiony zszedł więc w nią i zagłębiał się w ziemi, aż natknął się na złote drzwi. Nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się! W małym, złotym pokoiku siedział na złotym krześle jakiś starzec i karmił malutkiego węża. Kiedy zobaczył Cygana, powiedział:

– Wiem, dlaczegoś tu przyszedł: szukasz dziewięciu kruków. Te kruki to moje dzieci – ośmiu synów i jedna córka. Przed wielu laty byłem potężnym królem, a kiedy królowa, żona moja, umarła, wtedy pewna Urma chciała mnie poślubić i zostać królową. Ale nie zgodziłem się na to i Urma zemściła się na mnie i na moich dzieciach. Moje bogate królestwo, mój urodzajny kraj przemieniła w to górskie pustkowienie, ludzi przedzierzgnęła w kruki, a mój wspaśniały złoty pałac w tę oto izdebkę podziemną. Teraz w dodatku porwała mi moje dzieci i zamknęła je w swoim mieście, otoczonym przez Płomienistą Rzekę. Moją córkę złotowłosą, która zdołała jej umknąć, dogoniła także, przedzierzgnawszy się w starego karczmarza, i zamieniła ją w kruka na zawsze. Wiem, że chciałbyś zdjąć zły czar z mojego kraju i moich dzieci, dlatego cię tutaj sprowadziłem. Dam ci tego węża, który kiedyś był moim sługą. To był mój najlepszy sługa, więc mściwa Urma zamieniła go w węża, aby musiał pełzać po ziemi i aby nie mógł towarzyszyć moim dzieciom-krukom w ich napowietrznych wędrówkach. On powie cię do złej Urmy i do moich dzieci przemienionych w kruki. Potem sam będziesz musiał sobie radzić.

Cygan wziął złotego wężyka, pocałował starca w rękę i poszedł. Wędrował prosto przed siebie, nie błądząc wcale, bo przez cały czas wąż złotym łebkiem jak palcem wskazywał mu drogę, którą iść należało. Kiedy Cygan dotarł do stóp wysokiej góry, rzekł mu wąż:

– Mój kochany, połóż mnie teraz na ziemi i idź za mną tam właśnie, gdzie popelzną.

Dziewięć dni i dziewięć nocy wpełzał wąż na wysoką górę coraz wyżej i wyżej, nie zatrzymując się ani na chwilę. Za nim podążał Cygan śmiertelnie zmęczony. Kiedy w końcu znaleźli się na samym wierzchołku góry, wąż powiedział:

– Tutaj musimy zacząć się i czekać, aż kruki będą wracać do Urmy.

Nie potrzebowali czekać długo, bo ledwo godzina minęła od ich przybycia na szczyt góry, gdy dziewięć kruków nadleciało na wierzchołek. Kiedy zobaczyły Cygana, najmniejszy z nich przyleciał doń i zawołał:

– Ty masz mój złoty warkocz! Uważaj pilnie, aby ci go ktoś nie ukradł! Wyrwij jedno piórkę z mojego skrzydła, a kiedy przybędziesz nad Płomienistą Rzekę, włóż węża do torby, w której jest mój złoty warkocz, a moim piórem machnij w powietrzu dziewięć razy wokół siebie – będziesz mógł wówczas przelecieć ponad Płomienistą Rzekę.

Cygan wysłuchał pilnie rad kruka, wziął jedno pióro z jego skrzydła, a potem wraz z wężem począł wędrować dalej drogą, która teraz wiodła w dół po przeciwległym zboczu wysokiej góry.

Kruki, kracząc głośno, odleciały.

W dolinie spostrzegł Cygan jabłoń objuczoną przepięknymi owocami i rzekł do węża:

– Muszę zjeść jabłko! Ono mnie wzmocni, bo już ledwo idę z głodu!

To mówiąc zerwał piękne jabłko i zjadł ze smakiem, żarłocznie: nawet ogryzka ani ogonka nie wyrzucił! Ledwo to uczynił, zapadł w twardy sen. Wówczas wypełzła z wysokiej trawy ropucha, powolutku zbliżyła się do śpiącego i wlała do torby, gdzie był złoty warkocz. Ale był tam przecież także złoty wąż! Opasał swoim ciałem ropuchę i tak mocno ścisnął, że zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy. Od tego wrzasku obudził się Cygan, złapał torbę i wyciągnął z niej ropuchę. Już miał wyrzucić ją precz, bo nie zauważył złotego węża, który oplótł jej cielsko. Ale wąż zawołał:

– Weź prędko pióro i leć z nami dalej! Kiedy przybędziemy nad brzeg Płomienistej Rzeki, wtedy dopiero ją wyrzucisz!

Cygan pomachał piórem dziewięć razy i uniół się jak ptak w powietrze. Wkrótce byli już nad Płomienistą Rzeką i Cygan rzucił z wysoka złą ropuchę prosto w płomienie. Ale co to?! Niebo pęka, drży ziemia, a Cygan usypia snem gwałtownym jak śmierć od pioruna!

Kiedy się ocknął z tego snu, zobaczył, że leży oto we wspaniałej komnacie na jedwabnej pościeli, a przed nim stoi i uśmiecha się prześliczna złotowłosa dziewczyna!

– Co się stało? – zapytał zdumiony Cygan.

Dziewczyna odrzekła:

– Dziękuję ci za to, żeś nas odczarował i oswobodził! Urma przemieniła się w ropuchę, bo chciała skraść mój złoty warkocz. Wiedziała dobrze, że bez tego warkocza nigdy już nie będę dziewczyną, że na zawsze pozostanę krukiem. Na szczęście zła Urma zginęła w ogniu Płomienistej Rzeki! I wtedy czar spadł ze wszystkiego, co było odmienione. Tylko ja nie mogłam porzucić czaru, bo warkocz był w twojej torbie. Dopiero dobry sługa, który był wężem, podał mi warkocz, a wtedy i ja powróciłam do swojej ludzkiej postaci!

Kiedy to rzekła, wszedł stary król ze swymi ośmiu synami, ze starym Cyganem i ze swym dobrym sługą, który do niedawna był złotym wężem.

Wszyscy cieszyli się bardzo, a młody Cygan poślubił Złotowłosą...

Opowiedziałbym o nich więcej, ale bardzo się śpieszę. Znalazłem dziś zaczarowane piórko kruka. Pomacham nim w powietrze i doleczę do ciepłych krajów, bo już noce są zimne. Wrócę wiosną i opowiem wam tę historię do końca.

O siedmiu braciach i o diable

Było raz siedmiu braci. Mieszkali wraz ze swoją piękną siostrzyczką w budzie pod lasem. Byli z nich nie byle jacy muzykanci, toteż grywali na weselach i na chrzcinach w całej okolicy. W dni świąteczne byli syci, ale w powszednie przymierali głodem.

Pewnego razu siedzieli w chacie i głowili się, co by tu zrobić, aby pozbyć się biedy, gdy nagle ktoś zakolał do drzwi. Bracia zawołali:

– Proszę wejść!

I wszedł do izby człowiek w długim płaszczu. Rzekł:

– Wiem, że chcielibyście się wzbogacić, a nie wiecie, co zrobić, aby dojść do jakich takich pieniędzy. Dam wam radę. Wybuduję przez jedną noc wspaniały zamek dla was i dam wam tyle drogocennych skarbów, że staniecie się najbogatsi w całym kraju. Ale musicie mi przyrzec, że wasza siostra nie wyjdzie za mąż. To jest mój warunek.

Bracia przyrzekli uroczyście i ugościli nieznanego kawałkiem chleba i okrawkiem słoniny, bo nic lepszego nie mieli. Tymczasem noc skończyła się i za oknem pojaśniało. Wtedy przybysz wyprowadził siedmiu braci na próg, pokazał im wspaniały zamek, którego wieże sięgały aż do chmur, i rzekł:

– Spójrzcie, pałac jest już gotów! Możecie się przeprowadzać.

Rzekłszy te słowa, obcy człowiek znikł. Siedmiu muzyków z siostrą przeniosło się do pałacu, gdzie znaleźli mnóstwo skarbów i kosztowności. Teraz zaczęło się wesołe życie! Wkrótce zaprzyjaźnili się z wieloma ludźmi, sąsiedzi często odwiedzali ich i bawili się razem w pałacowych komnatach.

Zdarzyło się raz, że siostra muzyków zakochała się w gościu, który przybył na zabawę do pałacu. Ów młodzieniec chciał się z nią ożenić. Na próżno bracia błagali ją, żeby nie wychodziła za mąż, jeśli nie chce, aby spadło na nich nieszczęście. Uparła się przy swoim i nic nie było w stanie odwieść jej od tego postanowienia.

Ogłoszono wesele. Zjechały na zamek tłumy zaproszonych gości i odbyły się uroczyste zaślubiny. Wtem nadszedł człowiek w długim płaszczu, przywołał siedmiu braci i rzekł:

– Przez niecałą noc zbudowałem wam ten wspaniały pałac i sprawiłem, że z dnia na dzień staliście się bogaczami. A wy co? Nie dotrzymaliście przyrzeczenia i pozwoliliście siostrze wyjść za mąż. Wiedźcie więc, kim jestem. Jestem diabłem i ukarzę was wszystkich. Siostra wasza urodzi koziołka, który jadać będzie tylko srebro i złoto! Oto moja kara!

Po tych słowach diabeł znikł, a rodzeństwo powróciło do zgromadzonych gości. Ale nie mogli się już bawić, ani śpiewać, ani nawet rozmawiać, bo radość zatruiły im myśli o koziołku złotożernym, który się miał narodzić.

Czas mijał w smutku, aż na Wielkanoc siostrze siedmiu braci urodził się koziołek. Od pierwszej chwili umiał mówić po ludzku i skakać po całym pałacu. Gdzie tylko znalazł coś złotego lub srebrnego, natychmiast zjadał to jak najlepszy smakołyk. Po kilku dniach w całym zamku nie było już ani okruszka złota, ani odrobiny srebra. Wszystko zjadł żarłoczny koziołek. Bracia musieli teraz sprzedawać swoje konie, karety, woły, a nawet pola należące do zamku, aby kupować złoto i srebro dla koziołka, który miał ogromny apetyt. Dnia pewnego rzekł koziołek do siedmiu braci:

– Spróbujcie tylko przez jeden dzień nie dać mi nic do zjedzenia, a zobaczycie, co się z wami stanie. Zjem was wszystkich po trochu, choć nie jesteście ze złota ani nawet ze srebra, i tak was będę pożerał po kolei, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto mnie wybawi!

Po pewnym czasie bracia zauważyli, że koziołek co noc wybiega gdzieś i przepada w ciemnościach. Zapytali więc swej siostry:

– Czy nie wiesz, dokąd twój syneczek-kozioleczek wybiega każdej nocy?

– Pytałam go raz o to – odrzekła siostra – ale on w odpowiedzi tak mnie ubódł swoimi różkami, że tchu nie mogłam złapać. Nie spytam go już drugi raz, dokąd biega nocami. Nie spytam za żadne skarby!

Poszli więc bracia do męża swej siostry, który był ojcem żarłocznego koziołka, i spytali go:

– Czy nie wiesz, dokąd twój syneczek-kozioleczek wybiega w każdą noc?

– Nieraz myślałem o tym – odpowiedział. – Kiedyś spytałem go, a on dźgnął mnie swoimi diabelskimi różkami, aż upadłem i wszystkie gwiazdy zabłyśły mi w oczach. Drugi raz już go o nic nie zapytam, choć nie mam zielonego pojęcia, gdzie go nosi po nocach. Jeśli chcecie się dowiedzieć, to sami go zapytajcie. Może wam odpowie... Ja powiem wam tylko jedno: jeśli wasza siostra urodzi jeszcze jednego koziołka, odchodzę stąd na zawsze i porzucam was wszystkich!

Posmutnieli bracia bardzo i postanowili zacząć się na koziołka. Kiedy wybiegł nocą na dwór, bracia podążyli za nim i zobaczyli, że wypłuuwa on wszystko złoto i srebro, które pożarł w dzień, a potem zagrzebuje je głęboko w ziemi. Usłyszeli też, jak koziołek rzekł do siebie samego:

– Gdyby moi rodzice i wujkowie wiedzieli, gdzie ukrywam wszystko złoto i srebro, które zjadam w dzień, nie musieliby się martwić wcale! Ale nie mogę im tego wyznać, bo diabeł natychmiast porwałby mnie do piekła i jeździłby na mnie jak na koniu.

Rzekłszy te słowa, odbiegł, a bracia wyszli ze swej kryjówki i zaczęli kopać w miejscu, gdzie koziołek schował srebro i złoto. Wkrótce znaleźli zakopane skarby, a było ich mnóstwo – wszystko, co koziołek zjadł, odkąd się urodził. Wzięli dużą część skarbów i przynieśli do domu. Od tej pory pozbyli się troski, bo mogli karmić koziołka złotem i srebrem wydobywanym z ziemi.

Po pewnym czasie matka koziołka urodziła prześliczną dziewczynkę. Wielka radość zapanaowała na zamku! Wszyscy pokochali malutką. A najtroskliwiej i najpilniej opiekował się swoją siostrzyczką koziołek, strzegąc jej dniem i nocą i nie spuszczać jej z oczu. Tylko w nocy odbiegał od niej na parę chwil, aby jak zwykle, wypłuć zjedzone w dzień srebro i złoto i zakopać je w ziemi.

Minęły lata i dziewczynka stała się piękną dziewczyną, która całymi dniami uganiała się po lesie ze swoim braciszkiem-koziołkiem. Raz usłyszała, że brat płacze. Stał przy płocie i mówił przez łyżę:

– Jakże szczęśliwa jest moja siostrzyczka! Jest człowiekiem i wszyscy ludzie ją kochają, a ja, brzydki koziołek, nikomu nie jestem potrzebny! Ach, gdyby ona wiedziała, że można mnie wybawić i uczynić człowiekiem, z pewnością poszłaby do Króla Mgieł i poprosiła go o radę. Ale nie mogę o tym powiedzieć mojej siostrzyczce, bo diabeł wzięłby mnie do piekła i jeździłby na mnie jak na koniu!

Piękna dziewczyna usłyszała lamenty koziołka i kiedy odszedł od płotu, pobiegła za nim i rzekła:

– Kochany braciszku! To prawdziwe nieszczęście, że masz wygląd koziołka. Gdybyś był człowiekiem, lepiej by było i tobie, i nam wszystkim. Pójdę do Króla Mgieł po radę.

Zdumiony koziołek spytał:

– A jakąż to radę ma ci dać Król Mgieł?

Siostrzyczka zaczęła opowiadać:

– Miałam ja przedziwny sen. Widziałam w nim Króla Mgieł, który mi rzekł, że powinnam do niego przybyć, aby mi wyjawiał, jak mogę wybawić ciebie. Jutro wyruszam w drogę do domu Króla Mgieł, a kiedy powrócę, wybawię cię z każdej postaci i będziemy dopiero żyć wszyscy w szczęściu i radości!

Zabeczał koziołek ze wzruszenia i powiedział:

– Kochana siostrzyczko, ja też dam ci radę na drogę. Kiedy spotkasz człowieka czy zwierzę, słowem – kogoś, kto ci będzie służył swoją radą, przyjrzyj się najpierw jego lewej nodze. Jeśli będzie ona całkiem zasłonięta albo podobna do gęziej nogi, to nie bądź posłuszna radom, które usłyszysz. Bo pamiętaj, że diabeł, jakkolwiek by się odmienił, zawsze ma lewą nogę gęsią! Jego rada doprowadziłaby cię do zguby!

– Będę posłuszna, braciszku, twoim radom i przestrogom powiedziała siostra – i jeszcze dziś wyruszę w drogę do Króla Mgieł.

Poszli we dwoje, nie zwlekając, do swoich rodziców i do siedmiu braci i opowiedzieli im o swoim zamiśle.

Wyruszyła dziewczyna w świat.

Po długich i błędnych wędrówkach spotkała kulawego lisa, który spytał ją:

– Dokąd idziesz, piękna panno?

– Do Króla Mgieł – odpowiedziała.

– Ja cię zaprowadzę – rzekł kulawy lis. – Chodź ze mną!

Dziewczyna zaśmiała się głośno i odrzekła:

– Nie trzeba mi kulawych przewodników! Idę szybko i nie mogę czekać co krok na ciebie. Idź sobie sam, a ja też pójdę i sama znajdę drogę do Króla Mgieł.

Kulawy lis znikł i piękna dziewczyna podążyła w dalszą drogę. Nagle nadleciał kruk, przycupnął na gałęzi i wrzasnął:

– Dzień dobrrrry jesteś naprrrrawde piękna jak krrrólewna! Dzień dobrrrry! Dokąd wędrrrujesz?

– Do Króla Mgieł – odpowiedziała.

– To dobrze trrrrafiłaś! – zawołał kruk. – Ja terrraz, frrrrunę do niego, aby mu dać podarrrek od mego pana, Krrróla Nocy! Jeśli prrragniesz tam trrrrafić, to sprrróbuju iść za mną, ja pofrrrrunę i będę cię prrrrowadzić!

Dziewczyna przyjrzała się krukowi i zauważyła gęsią nogę. Rzekła więc:

– Leć, gdzie chcesz. Nie potrzeba mi pomocy, sama sobie znajdę drogę do Króla Mgieł.

Kruk odleciał, kracząc, a dziewczyna usiadła pod drzewem, aby odpocząć nieco.

Wtem nadjechała karetka, zaprzężona w cztery karę konie. Piękny, młody pan wychylił się przez okienko, kazał zatrzymać powóz i rzekł:

– Dokąd idziesz, piękna panno?

– Do Króla Mgieł – odrzekła dziewczyna.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną – powiedział piękny pan. A do Króla Mgieł jeszcze daleko, daleko. Wsiądź do karety; jadę właśnie tamtędy, będę przejeżdżał tuż koło domu Króla Mgieł, mogę cię więc zabrać ze sobą i podwieźć.

Dziewczyna przyjrzała się pięknemu panu i spostrzegła, że jego lewa noga owinięta była czarną chustą. Rzekła więc:

– Jak widzę, masz chorą nogę, nie chcę ci więc sprawiać kłopotu. Jedź dalej; nie lubię podróżować razem z chorymi ludźmi.

Ledwo rzekła te słowa, pan krzyknął na konia i karetka pomknęła naprzód jak wiatr. Za chwilę już nie było jej widać. A dziewczyna poszła dalej, prosto przed siebie, aż dotarła do stóp wysokiej góry. Tam wyleciał jej na spotkanie biały gołąb, usiadł na ramieniu dziewczyny i spytał:

– Dokąd idziesz piękna panno?

– Do Króla Mgieł – odrzekła.

– Idź więc prosto przed siebie tą ścieżką. Wkrótce już będziesz w domu Króla Mgieł – rzekł gołąb. Dziewczyna przyjrzała mu się i zobaczyła, że gołąb ma dwie nóżki jak należy i żadna z nich nie przypomina gęsiej nogi. Rzekła więc:

– Dziękuję ci, śliczny gołębiu! Będę szła dalej tak, jak mi radzisz.

Gołąb machnął białym skrzydłem na pożegnanie i odleciał, a dziewczyna szła i szła, aż znalazła się w okolicy, gdzie nie było widać nic prócz gęstej, białej mgły. Przez mgłę zobaczyła jakiś blask i wkrótce stanęła u wejścia do jaskini, gdzie płonął wielki ogień, a wokół niego leżały senne wilki. Gdy ją ujrzały, zerwały się na równe nogi i zawyły straszliwie. Wówczas z jaskini wyszedł ślepy starzec z bielmem mgły na oczach.

– Wiem, po co przychodzisz. Chciałabyś wybawić swego brata-koziółka. Słuchaj więc: weź kociołek pełen rosy zebranej z leśnych pajęczyn i postaw na ogniu, aby się zagotowała, a potem natrzyj nią twojego brata-koziółka. Wtedy zmieni się w pięknego młodzieńca.

Piękna dziewczyna podziękowała Królowi Mgieł i udała się w powrotną drogę.

Kiedy przybyła do domu, uczyniła tak, jak jej Król Mgieł poradził. I spójrzcie tylko! Koziółek przemienił się w pięknego młodzieńca! A razem z tą przemianą nastąpiła druga szczęśliwa przemiana: smutek zamienił się w radość!

Biały płomień

Na wielkiej, bezludnej równinie rozłożyli swe obozowisko Cyganie z plemienia Leila. Mieli obfite zapasy żywności, nie wyruszali więc nigdzie, tylko jedli, tańczyli, śpiewali i przypatrywali się zabawnym sztuczkom trzech oswojonych niedźwiedzi. Gdy zapadała noc, Cyganie syci i szczęśliwi kładli się spać w namiotach. Wtedy na cichej równinie słychać było chrapanie śpiących, ujadanie psów, pohukiwanie sów i czyjeś westchnienia. Któż to tak wzdychał po nocach?

To Curu, sierota, najbiedniejszy chłopak w całym taborze, nie mógł zasnąć i wzdychając siedział u wejścia do swego poszarpanego namiotu. Kochał Curu całym sercem Pame, piękną córkę wodza, a i ona go kochała. Ale kiedy Curu powiedział o tym wodzowi taboru, wódz odrzekł:

– Ty, najbiedniejszy ze wszystkich, chcesz ożenić się z moją córką! Śmieszne to zachcianki! Idź pilnować niedźwiedzi, no i uważaj na swój grzbiet, żebym go nie musiał zamalować kijami na czerwono, na zielono i na niebiesko!

O, Curu wiedział dobrze, jak wódz potrafi zbić kijami nieposłusznych! Nie powiedział więc już nic, tylko odszedł do swojego namiotu. Zmartwienie gnębiło go tak bardzo, że już trzecią noc nie zmrzył oka do snu.

Zrobiło się chłodno i biedny Curu poszedł do niedźwiedzi, żeby się przytulić do ich ciepłych kudłów.

Była północ, kiedy Curu zauważył w ciemności biały, zimny płomień, unoszący się nad ziemią. Za chwilę płomień zgasł, potem znów zajaśniał białym światłem. Powtórzyło się tak trzy razy. Po cichu, na palcach odszedł Curu od niedźwiedzi, wziął motykę i zaczął kopać w tym miejscu, gdzie przed chwilą lśnił biały ognek. Po krótkim czasie motyka zazgrzytała o żelazo; płytko pod ziemią natrafił Curu na żelazne drzwiczki. Z trudem otworzył je i wszedł do ciemnej izby podziemnej. Tam po omacku odnalazł drugie drzwi, prowadzące jeszcze głębiej. Przez szczelinę przeświecało stamtąd wątłe światelko. Curu odemknął drzwi i ujrzał małego człowieczka siedzącego przy palącej się świecy. Ręce i nogi małego człowieczka były związane.

– Uwolnij mnie z tych więzów – powiedział człowieczek – a ja za to uczynię cię bogatym.

– Uwolnię cię i bez zapłaty – odrzekł Curu – tylko mi powiedz, kto cię związał i zamknął pod ziemią i za co?

Człowieczek westchnął i odpowiedział:

– Mieszkałem daleko stąd, w górach, wraz z moimi braćmi. Pewnego dnia rankiem wyruszyliśmy na polowanie. Z początku wiodło się nam świetnie; ustrzeliliśmy cztery kozice i schwytałyśmy osiemnaście tłusciutkich jeży. Ale koło południa zabiliśmy żonę Króla Łasic. Król Łasic dowiedział się zaraz o tym, zaczął się na mnie w gęstwinie, związał mnie i zamknął w tym lochu podziemnym.

– Jeśli tak to wygląda – powiedział Curu – to chętnie cię oswobodzę.

Rozwiązał powrozy z łyka, którymi człowieczek był związany, i ze śmiechem przypatrywał się, jak karzeł z radości tańcować zaczął, skacząc z kąta w kąt podziemnej izby. Skakał i

przytupywał, aż świeca przewróciła się i zgasła. Ale karzeł wyciągnął piękny świecący pierścień, który był dotąd ukryty w gęstych kędziorach jego brody. Dzięki pierścieniowi znów jasność zapanowała pod ziemią.

– Ten pierścień tak jasno świeci – powiedział karzeł – że blask jego przenika ziemię, a nawet kamienie. Czyś widział zapalający się i gasnący biały płomień?

– Widziałem! – zawołał Curu. – Ten płomień właśnie wskazał mi twoją kryjówkę!

– Otóż wiedz – rzekł człowieczek – że to właśnie ja dawałem znaki spod ziemi tym pierścieniem. Teraz muszę jak najprędzej biec do domu, do moich braci, bo wkrótce przyjdzie tu, jak to co noc czyni Król Łasic, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i czy przypadkiem nie uciekłem. Żegnaj, dziękuję ci!

– Żegnaj karzełku! – powiedział Curu i wyszedł.

Wyskoczył karzełek z nory w ślad za Curu, zamykając za sobą po kolei dwoje żelaznych drzwi. Potem przysypał wejście do lochu ziemią z igliwem i rzekł jeszcze:

– Słuchaj, Curu! Mógłbym ci dać mnóstwo złota, wskazać ci miejsce, gdzie są zakopane skarby. Nie chciałeś jednak tego; obiecałeś mi, że mnie uwolnisz bez żadnej zapłaty, i dotrzymałeś obietnicy. Przyjmij więc, jako dowód mojej wdzięczności, ten oto świecący pierścień. Będziesz mógł nim przyświecać sobie w czasie nocnych wędrówek, a może też przyda ci się do czego innego!...

Rzekłszy te słowa, maleńki człowieczek włożył pierścień na środkowy palec lewej dłoni Curu i znikł w ciemnościach. Curu też oddalił się szybko od nory, aby nie spotkać się z zagniewanym Królem Łasic. Wrócił do swego namiotu i przypomniał sobie o wszystkim: o złym wodzu taboru, o ukochanej Pami, która nie będzie żoną biednego Curu – i o własnej biedzie. Było już sporo po północy i coraz silniej wiał zimny wiatr. Ręce Curu zeszywniały od chłodu, zaczął je więc rozcierać. A przy tym rozcieraniu przekręcił mu się pierścień na palcu lewej dłoni. W tej samej chwili Curu spostrzegł w świetle pierścienia, że na dłoni ma trzy złote dukaty. Pokręcił pierścień jeszcze raz – i znów zjawyły się trzy dukaty. Kręcił więc pierścieniem i kręcił, a z dłoni sypały się na mech dukaty ze szczerego złota.

Do rana nazbierała się już spora gromadka złota. Curu zabrał dukaty i zaniósł je wodzowi taboru, ten zaś pozwolił na ślub swej córki z Curu, który był już teraz najbogatszym Cyganem w całym taborze. Zaraz odbyło się wesele. Córka wodza taboru uradowana była i szczęśliwa, bo od dawna chciała być żoną biednego Curu. Nie mogła zrozumieć, co się stało, że srogi i zawsze nieubłagany wódz pozwolił tym razem na zaślubiny z biedakiem. Nie wiedziała bowiem o niczym: ani o Królu Łasic, ani o białym płomieniu, ani o karzełku, ani o cudownym pierścieniu. Ojciec zagarnął wszystkie dukaty i nie rzekł jej o tym ani słowa.

Po weselu Curu zaprowadził Pamę do swego podartego namiotu i rzekł:

– Ojciec twój był niedobry dla mnie i dla ciebie, bo nie pozwalał nam, byśmy się pobrali, a nawet groził mi kijami. Nie chcę tu dłużej zostawać pod jego rozkazami. Zaprzęgnę konia, zwinę namiot – i odjedziemy.

– Dobrze – odpowiedziała Pama. – Pojadę z tobą wszędzie, gdzie zechcesz. Co z tego, że odejdę od swoich! Bylebym tylko nie musiała rozstać się z tobą, mój Curu! Co z tego, że będziemy biedni! Wolę biedę z tobą niż bogactwo bez ciebie.

Usłyszawszy to, Curu uśmiechnął się i przekręcił pierścień na palcu. I jeszcze raz i jeszcze! Na kolana pięknej Pamy sypały się dukaty! Ucieszyła się z tego bardzo, bardzo, aż tańczyć jej się zachciało. Ale nie było na to czasu. Curu zaprzęgnął konia do wozu i wyruszyli we dwoje w świat. Po drodze Curu opowie jej z pewnością całą historię o białym płomieniu, o człowieczku i o Królu Łasic.

*I będą żyli w szczęściu i zgodzie, bez waśni.
Bo bardzo się kochają. Oto koniec baśni.*

O ropusze i o biednej wdowie

Była stara wdowa tak biedna, że tylko dwa razy w tygodniu kupowała sobie trochę chleba. Nie miała pieniędzy, bo na starość osłabła i nie mogła już ciężko pracować. Ba, gdyby miała synów lub choćby jednego syna, z pewnością nie zaznałaby nędzy i głodu. Gdyby miała dobre córki, też nie zostawiłyby jej samej. Ale biedna wdowa miała tylko trzy złe córki, które powychodziły za mąż i wcale nie troszczyły się o swoją biedną matkę. Gdyby wdowa miała w swej izdebce jakieś sprzęty czy choćby suknie niepodarte, złe córki przyszłyby do niej w odwiedziny, aby jej odebrać wszystko, co miałyby jakąś wartość. Nie miała jednak nic, więc córki nie przychodziły do niej wcale. Do kogo się odezwać, kiedy sąsiedzi mają tyle własnych spraw na głowie, że nie chce się im rozmawiać z biedną wdową?

Pewnego wieczora, usiadła staruszka przed progiem swojej izby i popłakiwała cicho.

Nagle spod progu wylazła wielka, okropna ropucha, która mogła mieć ze sto lat chyba, i rzekła:

– Widzę, że złe myśli cię trapią, widzę też, że ciężkie jest twoje życie. I dlatego chcę ci pomóc. Pozwól mi tylko wejść do twojej izby i zamieszkać za piecem, a jeśli zechcę wyjść – wypuszczaj mnie, a jeśli zechcę wrócić – wpuść mnie. Za to co dzień będę ci znosić tysiące dukatów.

Stara wdowa zaprosiła ropuchę do izby i zaprowadziła ją za piec. W piecu od dawna już nikt nie palił, ale to nic, bo ropuchy bardzo nie lubią ciepła.

Nazajutrz rano, zaraz po przebudzeniu, wdowa zajrzała za piec i zobaczyła, że ropucha siedzi na gromadce złotych dukatów. Zeskoczyła ropucha ze złota, które zniosła w nocy, podrywała do drzwi i rzekła:

– Teraz wypuść mnie. Niedługo wrócę. Weź sobie dukaty z za pieca!

Staruszka wypuściła ropuchę na dwór, wzięła dukaty, poszła do karczmy i tam najadła się i napiła za wszystkie czasy. A wydała tylko jednego dukata, pozostałe pieniądze mogła sobie schować na później. Kiedy wróciła do domu, ropucha czekała już pod drzwiami. I znowu stało się tak samo jak pierwszego dnia. Ropucha schowała się za piecem. Było już chyba popołudnie, kiedy staruszka usłyszała jej skrzeczący głos:

– Znow zniosłam ci trochę pieniędzy. Wypuść mnie i weź je sobie. Niedługo wrócę!

Stara wdowa otworzyła drzwi i wypuściła ropuchę na dwór. Potem wzięła kilka dukatów, poszła do karczmy i zjadła suty obiad: kwaśny barszcz z wiśni i pieczoną gęś. Wieczorem znowu wydarzyło się wszystko tak samo. Ropucha poszła na przechadzkę, wdowa do karczmy na wieszanie. Przed nocą wróciła do domu złotonośna żaba, a wdowa przyniosła sobie jeszcze z karczmy piwa.

Tak było codziennie przez wiele lat i tygodni. Ropucha znosiła złote monety, a staruszka jadła, piła, a resztę dukatów chowała w starym kufereku. I wkrótce nie było już wcale miejsca na pieniądze, choć kuferek był spory i wiele mógł w sobie pomieścić.

Tymczasem złe córki przyszły któregoś dnia do karczmy i karczmarz opowiedział im, że co dzień ich stara matka je najlepsze potrawy i płaci złotymi dukatami. Zdumiały się trzy córki i zaczęły się głowić nad tym, skąd ich stara matka mogła dostać złote dukaty. Głowiły się, głowiły, ale nic nie wymyśliły.

Poszły więc do matki w odwiedziny, żeby się o wszystkim koniecznie dowiedzieć. Dawno już nie byli u niej, więc i zapomnieli trochę, jak się tam idzie.

Pobłądziły po wsi, zanim ktoś im wskazał drogę. Najstarsza córka zapukała do drzwi.

Kiedy stara matka otworzyła, córki ucałowały ją jak nigdy przedtem i zaczęły żalić się na swoje ciężkie życie.

– Mateczko kochana! – powiedziała pierwsza córka. – Tak mi się niedobrze żyje, że prawie nic nie jadam!

– Mateczko kochana! – powiedziała druga córka. – Wiem, że jesteś biedna, ale na pewno ja jestem biedniejsza od ciebie!

– Mateczko kochana! – powiedziała trzecia córka. – Całymi dniami i nocami pracuję na kawałeczek suchego chleba, to dlatego od tak dawna nie mogłam znaleźć wolnej chwili, aby cię odwiedzić!

Staruszka nie wiedziała, że córki kłamią. Żal ścisnął jej serce na wieść o tym, że jej rodzone córki głodują i żyją w nędzy. Otworzyła swój stary kuferek i podzieliła wszystkie zaoszczędzone dukaty między trzy córki, sprawiedliwie. Schwyciły pieniądze, ale ocknęła się w nich chciwość i nie dość im tego było.

– Powiedz, mateczko – spytały – skąd masz tyle pieniędzy? Czy znalazłaś zakopane skarby?

– Nie znalazłam – powiedziała staruszka. – To czarodziejska ropucha, która zlitowała się nad moją biedą, co dzień znosi mi za piecem złote dukaty.

To rzekłszy, pokazała córkom ropuchę siedzącą za piecem. Na widok ropuchy córki spluły z obrzydzeniem i zawołały:

– Tfu! Tfu! Tfu! Jaka to wstrętna poczwara!

Zabrały swoje pieniądze i wróciły do domów. Każda z nich złapała sobie ropuchę, posadziła za piecem – i zaczęło się czekanie na złote dukaty. Długo tak mogły czekać, bo przecież ropuchy znoszą całkiem co innego, a nie żadne złoto!

Postanowiła więc pierwsza córka, że ukradnie czarodziejską ropuchę swej starej matce. Zakradła się do matczynej izby rankiem, kiedy staruszka była właśnie w karczmie na śniadaniu. Zabrała zza pieca czarodziejską ropuchę i przyniosła ją do swego domu. Ale ropucha powiedziała:

– Muszę się przespać z tobą, bo inaczej nie zniosę ani jednego dukata!

– Trudno – jak trzeba, to trzeba. Wzięła więc najstarsza córka ropuchę do łóżka. Ale rankiem nie było już ropuchy, znikła bez śladu. Za to całe ciało córki starej wdowy było tak swędzące, że musiała się drapać przez tydzień.

A co się stało z ropuchą? Czarodziejską drogą wróciła do starej wdowy. Druga córka też nie mogła się doczekać na to, żeby zwykła ropucha zniosła jej dukaty. Postanowiła więc ukraść zaczarowaną ropuchę swej matce. Zakradła się do jej izby w południe, kiedy staruszka jadła właśnie w karczmie obiad. Zabrała ropuchę i zaniósła ją do swego domu. Ale ropucha powiedziała:

– Muszę się przespać z tobą, bo inaczej nie zniosę ci nic.

Wzięła druga córka ropuchę pod pierzynę. A gdy obudziła się rano – nie było już ropuchy. Tylko całe ciało złej córki swędziało tak, jakby je pchły pogryzły raz przy razie. Zaczęła się więc drapać i drapała się przez cały rok. A ropucha wróciła czarodziejskim sposobem do starej wdowy.

Wreszcie trzecia, najmłodsza córka ukradła swej matce zaczarowaną ropuchę. Wzięła ją do łóżka, a rano nie miała ani ropuchy, ani złota, ani nic – tylko okropne swędzenie. Zaczęła się więc drapać i drapie się bez przerwy aż do tej chwili.

Przyszła dzień, że staruszka umarła. Sąsiedzi zeszli się do jej izby, żeby pochować zmarłą i pomodlić się za nią. Ale na łóżku leżał tylko jej codzienny przyodziełek. Z tego przyodziewku, jak ze skorupki kurzego jajka, wyszła ta sama wdowa, tylko młodzieńka znowu i

piękna, i opuściła dom, odchodząc w świat razem z zaklętą ropuchą. Odtąd już nikt nigdy i nigdzie nie widział ani jej, ani ropuchy czarodziejki.

Tej samej nocy, gdy się to stało, córki przybiegły, aby zabrać złoto z kufra. Ale przemieniło się ono w jedną chwilę w kamień, które jakoś nie przydały się im na nic.

Krótką bajeczka

Był raz sobie chłop i zaprzął pewnego dnia swoje woły do pługą. A kiedy już woły były zaprzęgnięte, pognął je w pole na orkę. Na polu pług wyorał ze skibą ziemi skrzynkę z żelaznym wieczkiem. Uniósł chłop żelazne wieczko tej skrzynki znalezionej w ziemi, aż tu nagle wyskoczył z niej zajac i pobiegł w pole. Zajac ten miał maleńki króciutki ogonek. A że ogonek zajęczy był taki krótki to i ta bajka musi być krótka. Z pewnością gdyby zajac miał ogonek dłuższy, dłuższa byłaby i moja bajka, ale

*mały ogonek miał zajaczek
więc już maleńką bajkę kończę.*